Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr – 12 stron | Warszawa, 1 maja 1952 r. | Nr 18 (110) Rok III

W NUMERZE M. IN. **Włodzimierz Majakowski** — Mój Maj (przekład Leona Pasternaka) Z poematu „Dobrze" (przekład Artura Sandauera); **Wisława Szymborska** — Ten dzień nadejdzie; **Tadeusz Drewnowski** — „Księga otwarta w przyszłość"; **Józef Ozga-Michalski** — Powstali, których gnębił głód; **Leonard Borkowicz** — Bereza; **Wanda Karczewska** — Wiek, który przyjdzie; **Paweł Beylin** — Prawdziwa legenda o Chopinie; **Adam Ważyk** — O filmie „Młodość Chopina"; **Stanisław Wygodzki** — Do młodych przyjaciół; **Lucjan Rudnicki** — Matka; **Irena Krzywicka** — W dniu Pierwszego Maja 1890 r.; **Jadwiga Żylińska** — Egzamin; **Zygmunt Szymański** — Dwa mecenaty; **Marceli Ranicki** — Wybitne dzieło realizmu krytycznego; **Józef Kozłowski** — O twórcy rewolucyjnej „Warszawianki"; Listy hiszpańskie (2); **Bolesława Hajdukowicz** — Przed finałem; **Regina Michalak** — Z notatnika instruktora; **Wiech** — Baraninka po królewsku.

ANDRZEJ BRAUN

Kiedy stare zderza się z nowym

Wciepły, kwietniowy wieczór wracaliśmy z Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Z tego domu, w którego podziemiach obracają się ruchome schody, zmontowane przez inżynierów i robotników moskiewskiego „Metrostroju", po których zjeżdżają z piskiem przestrachu chłopki z wycieczki kurpiowskiej w staroświeckich, nakrochmalonych czepcach. Z tego domu, gdzie wprost z nowoczesnej — powiedziałbym lekko formalistycznej — sali obrad, na której dyskutujemy o schematyzmie, braku dramatyzmu walki klasowej w naszych książkach, przez okna widać w zasięgu dotknięcia ręki zielony, zygmuntowy miecz kolumny, na której siadają przelotne żurawie oraz stare, a jednocześnie tak dziwnie nowe, pachnące świeżym wapnem i błyszczące czerwienią dachówek mury katedry świętego Jana. Z tego domu, gdzie młody syn fornala spod Miechowa, składając w swych wierszach pokłon matce-chłopce i tłumacząc jej, czym jest spółdzielnia produkcyjna, uczy się czystości poetyckiej frazy od poety, który nie jest już młody i któremu jeszcze szkoda trochę „zachodów" promienistych" i „róż", i „marmurów"... a który z kolei uczy się miłości ludzi od robotnika-prezydenta.

Na ulicy było tłoczno, panowało ożywienie. Z jednej strony, pod murami kościoła św. Anny tłoczyła się grupa ludzi, przeważnie kobiet, odwiedzających „groby", z drugiej strony ulicy w jaskrawym blasku reflektorów stała najnowocześniejsza, zmontowana na specjalnym samochodzie radziecka maszyna do wiercenia szybów i badania gruntów pod przyszłe metro. Obok z Miodowej skręcały trolleybusy, obwieszone przez pasażerów niczym — jakby powiedział Wiech — „winogrona". Maszyna w błysku lamp poruszała się cicho i sprawnie, tłoki i korby połyskiwały oliwą, robotnicy pracowali w skupieniu. Maszynę otaczał tłum. Twarze ciekawe, zaintrygowane — nowe ciągnęło. I tak te dwie grupy stały po dwu stronach jednej ulicy. Niejeden przeżywał rozterkę — czy stanąć tu czy tam, na co patrzeć. Niejeden ulegał żywej, ludzkiej ciekawości, podchodził do maszyny, która symbolizowała nową Warszawę. Widziałem pobożną starą pannę, która z rękoma skrzyżowanymi jeszcze na piersi, sunęła kroczek za kroczkiem od kościoła w stronę maszyny. Przypomniałem sobie wtedy, jak popękana, grożąca zawaleniem absyda św. Anny ujęta została pewnej podobnej nocy w żelazne klamry i betonowe podpory, jak pod kierunkiem uczonego polskiego skawalono grunt skarpy, jak silne ręce tych samych robotników utrzymały mury pamiątkowej budowli od zawalenia się.

I oto mieliśmy przed oczyma jeden z wielu kontrastów, z wielu codziennych a jakże wymownych konfliktów dni idących niepowstrzymanym pędem ku socjalizmowi, zderzania się starego z nowym. O, nasze dni są burzliwe, są wielkie. W tych samych dniach kiedy młody ładowacz Wójcik, pomocnik Blauta, kończył w dwudziestym którymś miesiącu wykonywanie u siebie pod ziemią planu 6-letniego, w tym samym czasie jego rówieśnicy w Ząbkach, zbydlęceni wzorami bohaterów atlantyckiego świata, bestialsko wepchnęli pod pociąg kolegę. Koła obcięły mu rękę i nogę. Jak to się mogło stać? — zapytacie. Jak to się mogło stać, że w siedem lat po wojnie w Polsce Ludowej wyrastają takie potwory? Nasze dni są dniami wielkiego bohaterstwa i największych zbrodni. I dlatego wymagają od nas mądrości i odwagi. W tych dniach, kiedy idea obrony „kultury zachodniej" stała się obroną „amerykańskiego stylu życia", krawatów z bombą atomową, gumy do żucia, coca-cola, kiedy romantyzm krzyżowych raubritterowskich „tubylców" zmienił się w szczurzą, nędzną, trucicielską robotę przy pomocy zadżumionego pierza, cholerycznych stonóg i tyfusowych pająków, kiedy tiara i korona, berło i rektorski łańcuch zmiatają proch przed Wielkim Chamem z pieniędzmi, w tych dniach nasz świat przeciwstawia przodownika pracy Wójcika — pijanemu „bikiniarzowi"

Tak niewiele dni temu chłodnym świtem marcowym z więzienia ateńskiego wyjechały samochody za miasto. Było jeszcze ciemno, dobiegała końca najkrótsza i najdłuższa noc Belojannisa. W odludziu, w strachu przed spojrzeniem świata, żołdacy bez twarzy, cienie mające tylko plecy i lufy karabinów, stanęli wobec czterech twarzy ludzkich, oświetlonych wiarą w zwycięstwo sprawy wolności silniej niż blaskiem samochodowych reflektorów. Gdzieś za wzgórzami stały proste kolumny Partenonu, gdzieś za rzekami robotnicy budujący socjalizm wracali z nocnej zmiany, a tutaj w blasku latarń czarne płomienne oczy i brwi Belojannisa.

Na naszej warszawskiej ulicy widzę inne obrazy. Oto plac MDM-u. Przypominają się dni końcowych prac przy trasie W—Z. Tam wielki wąwóz w ziemi, mrowiący się tysiącem łopat, spychaczy, kopaczek-samochodów, ludzi. Tutaj wąwóz między ścianami wielopiętrowych gmachów, między wieżami rusztowań, pniami niebotycznych kolumn. Mury rozstępują się, otwierają płaszczyznę dla słońca, zmiatają gruzy parterowych sklepów prywatnej inicjatywy. Wyłania się gigantyczny stadion pracy, otoczony portalami, kolumnami, frontonami ośmiopiętrowych bloków. Nocą inne reflektory oświetlają ten amfiteatr. Żurawie dźwigów przecinają szafir, potężne piece o żelaznych rurach toczą czerwoną łunę na ściany kamiennych płaskorzeźb. Huczą motory, biją dłuta, płynie beton. To Twoi towarzysze w świetle tych latarń, Belojannisie. Dla kogo te bloki piramid, dla kogo prężą się mokre, napięte łuki grzbietów, mięśni? Patrz, tam murarz biały od wapna, czerwony od cegły, brunatny od słońca, kiedy otrze pot z czoła i zmruży oczy z dumą wodząc nimi po perspektywie budowy, pójdzie na pierwsze piętro gmachu zamykającego plac od południa. Tam w oknie, zakrytym jeszcze pajęczyną rusztowań, tam w oknie otoczonym płaskorzeźbą z piaskowca, tam w oknie zobaczysz jego głowę. Tam przebiera się i odpoczywa, tam mieszka w domu, który wybudował. Lud przyszedł do śródmieścia.

A tutaj obok pękają mury, otwierają się jak wrota, którymi wypływa szeroka, czerwona rzeka tłuczonej cegły. Jeszcze grzęźnie w rumowisku, w kamieniołomach dziwacznych czynszówek, okopconych, czarnych, posklejanych jak jaskółcze gniazda z wąskimi oknami oficyn, przez które rzucało się grosze owinięte w papierek śpiewającemu w dole nędzarzowi. Ale przerwie, spłucze ten zator rzeka cegły, zakrzepnie betonem przyszła arteria, Nowa Marszałkowska.

Jeśli szukasz bohaterstwa i uroku, jeśli chcesz wielkich czynów i romantyzmu, młody rówieśniku Wójcika, przyjdź tutaj. To nie Alaska, nie złota tu szukamy, choć obraz podobny jak u Londona. Szukamy czegoś, co gardzi zakrwawionym złotem — szczęścia.

Z parterowych ruin Warszawy wyrastał dziurawy, ponury gmach przy placu Napoleona. Z pańska patrzał na stłoczone, obdrapane głowy nędznych czynszówek „mocarstwowej" stolicy. Oto największy bastion kosmopolitycznego kapitału towarzystwa ubezpieczeń „Prudential".

Dzisiaj tłumy ludzkie ciągną z biur i warsztatów na plac, gdzie z wykopów ziemnych, mogących pomieścić dziesięć „prudentialów", wystrzeli wieża wieńcząca nową stolicę, Pałac Nauki i Kultury. Nasze dni dają Warszawie gmach, który będzie wyrażał życie nowego człowieka. Jakże wielu z brnących przez ceglaną kurzawę nie wie, co oznaczają te słowa. Jakże wielu jeszcze na dyskusjach literackich prosi o książki „do poduszki", „z życia hrabiów", „po-

(Dokończenie na str. 2-ej)

ARNOLD SŁUCKI

NA BUDOWĘ GMACHU PRZYJAŹNI

Pod kolumnami wysokimi
Kiedyś za sto lat o zmierzchu
Chłopiec spotka się z dziewczyną,
Przyjdą schronić się przed deszczem,
Lub w południe, w upał letni
Strop osłoni ich stuletni.
Może marmur zmatowieje,
Profil ludzki zamajaczy...
Pozostanie kształt nadziei
W trwałym dziele kamieniarzy.
Wieku niezatarte pi[illegible]o,
Wspólnej walki, wspólnych tęsknot
Budzić będzie wyobraźnię —
Człowiekowi człowiek
Dzieje przekaże przyjaźni.

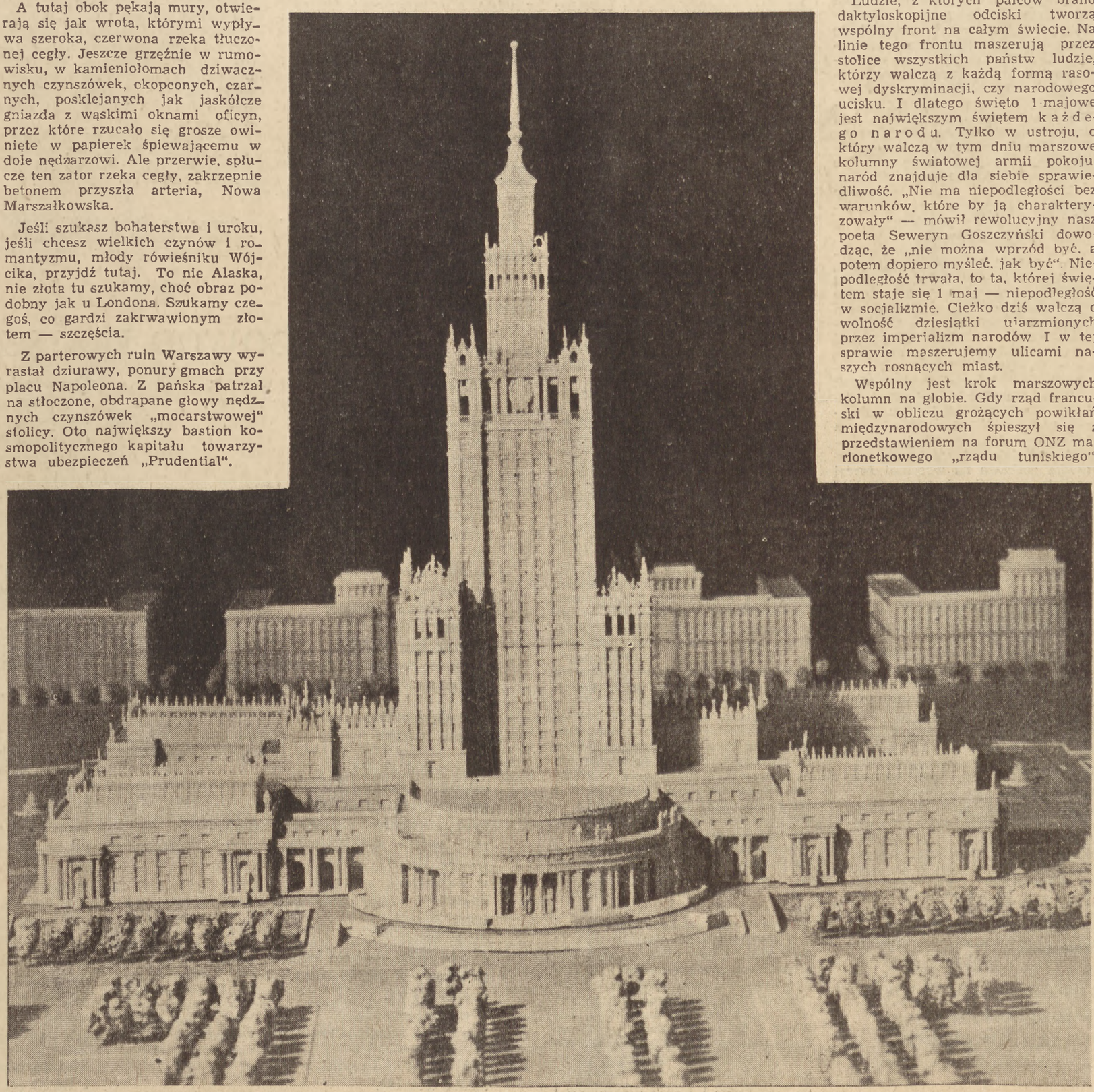

ROMAN BRATNY

Maj, wieczny rewolucjonista

Powód daktyloskopowania: komunizm. Wśród archiwalnych dokumentów historii życia naszego Prezydenta jest i dotyczący go wyciąg z policyjnej kartoteki. Możemy tam przeczytać te słowa. Dziś u nas komuniści sami „daktyloskopują" swoje palce — murarze na cegłach rosnącego MDM-u, mechanicy na stali montowanych elementów konstrukcji.

Każdy pierwszy dzień miesiąca wiosny ma — jak inne — 24 godziny, ale dawniej płaciła zań polska klasa robotnicza setkami lat więzienia, które odsiadywali jej przywódcy „za komunizm". Były to czasy, w których w przeddzień 1 maja „nasz" premier urządzał manewry policji, z okresu tego pochodzi generalski dowcip: — Jak świetnie wyglądają w Polsce bezrobotni! — powiedział wesołek wskazując agentom burżuazyjnej prasy — godziwsza to nazwa niż dziennikarz — na spasione gęby golędzinowskich pupilów odgrywających role atakowanych komunistów. Premier z zawodu był lekarzem, ale śmiechu jego nie mąciła świadomość, że śmiertelność dzieci w rodzinach robotniczych osiągnęła procent nieznany nawet większości krajów kapitalistycznych.

W tych samych latach o losach obywateli państwa, gdzie rządził ów głupi premier, więcej niż z jego mocarstwowych deklaracji można było się dowiedzieć z francuskiego pisma literackiego, w którym wykwintny esseista pisząc o „Poezji Rozkładu Jazdy Pociągów" wspomina, że „drogi żelazne stały się dziś tym, czym ongi były doliny najazdowe, gościńce wędrówki ludów... Pociągi warszawskie, zwane pociągami wszy, przewoziły do kopalń francuskich całe osiedla polskie, wraz z nauczycielem i księdzem. Pociągi powrotne, w których wracali rugowani w okresach kryzysu polscy górnicy, zwane były pociągami płaczu!" Nie ze szczęścia płakali bezrobotni wracając do „ojczyzny" pana premiera.

I w tej sprawie wychodzili wówczas ludzie na 1-majowe ulice. W Polsce i we Francji. To było dawno, ale w tych dniach, w czasie debaty parlamentarnej w Izbie Gmin, poseł laburzystowski oświadczył: „Dwie kategorie robotników, które są zawsze najszybciej wyrzucane z pracy — zamężne kobiety i Polacy— zostały już wyrzucone. Jest słuszne, że Polacy muszą być wyrzucani wcześniej aniżeli nasi ludzie...".

Ludzie, z których palców brano daktyloskopijne odciski tworzą wspólny front na całym świecie. Na linie tego frontu maszerują przez stolice wszystkich państw ludzie, którzy walczą z każdą formą rasowej dyskryminacji, czy narodowego ucisku. I dlatego święto 1 majowe jest największym świętem k a ż d e g o n a r o d u. Tylko w ustroju, o który walczą w tym dniu marszowe kolumny światowej armii pokoju, naród znajduje dla siebie sprawiedliwość. „Nie ma niepodległości bez warunków, które by ją charakteryzowały" — mówił rewolucyjny nasz poeta Seweryn Goszczyński dowodząc, że „nie można wprzód być, a potem dopiero myśleć, jak być". Niepodległość trwała, to ta, której świętem staje się 1 maj — niepodległość w socjalizmie. Ciężko dziś walczą o wolność dziesiątki ujarzmionych przez imperializm narodów I w tej sprawie maszerujemy ulicami naszych rosnących miast.

Wspólny jest krok marszowych kolumn na globie. Gdy rząd francuski w obliczu grożących powikłań międzynarodowych śpieszył się z przedstawieniem na forum ONZ marionetkowego „rządu tuniskiego", jedno z burżuazyjnych pisemek paryskich tłumaczyło nową zwłokę ogłoszenia składu tego gabinetu zdrajców koniecznością „uszycia nowym ministrom odpowiednio wytwornych ubrań, co musi potrwać..." Widziałem kiedyś przed wojną w maleńkiej, zgubionej wśród błot osadzie zakład fotograficzny, w którym delikwent, chcąc być na zdjęciu odpowiednio wytworny, wchodził za wymalowany na desce „garnitur", rodzaj płaskiego manekina, i wystawiał głowę z obwiedzionego białą farbą kołnierzyka. Swoboda ruchów takiego amatora wykwintnej fotografii była identyczna ze swobodą decyzji tego rodzaju egzotycznych quislingów. Francja trzyma w dobrze skrojonym garniturze cesarza Bao-Dai. W jego kraju „francuskie samoloty ostrzeliwują vietnamskie łodzie na rzece, pożarów już nie widać: wszystkie wsie okoliczne są spalone. Widziałem rodziny vietnamskie, uciekające na tonących dżonkach; dzieci zabite, z poszarpanymi wnętrznościami. Czy wspominałem wam już o kapelanie wojskowym, który dobijał rannych Vietnamczyków, chcąc — jak mówił — ulżyć ich cierpieniom..." — pisał w liście do rodziców 23-letni marynarz Henri Martin, skazany na lata więzienia.

Francja ma Bao-Dai, Ameryka — Li Syn-mana. Wyrzuconemu na bruk, obałamuconemu polskiemu ex-żołnierzowi w Londynie ofiarowują przebranego za wodza Andersa. Garnitury zdrajców wycierają się szybko.

I w tej sprawie, by kreatury nie miały prawa wpływania na losy narodów, pójdzie ulicami przodownik pracy ze Starachowic, zetempówka z Ostrołęki i skąpany w afrykańskim słońcu robotnik tuniski.

Gdy w Brazylii więzienia okazywały się za małe, aby pomieścić wszystkich, sprowadzono największy statek „Pedro I" i na nim trzymano uwięzionych. W tym czasie policja brazylijska poszukiwała obok „Rycerza Nadziei" — Prestesa, osoby niejakiego Wiktora Hugo, „którego książki zagrażają ustrojowi". Niechby go dostali w swoje ręce!

Przeciw temu barbarzyństwu będzie maszerował w naszym szeregu bezpartyjny profesor uniwersytetu i ty, młody poeto, który trzymasz drążek transparentu. Na czerwonym jego tle białe litery wołają o zaszczytnej służbie kultury sprawie socjalizmu. Drugi drążek niesie przewodniczący przodującej spółdzielni produkcyjnej. Wygłaszałeś tam odczyt w setną rocznicę śmierci Wiktora Hugo, którego dziś poszukują barbarzyńcy. Będziecie szli obok placu powstającej budowy Pałacu Nauki — pięknego daru ZSRR dla polskiej kultury. Kraj Rad, który sprawił, że kultura stała się własnością ludu, buduje jej 30-piętrową polską metropolię.

Ogromne hasła niosą się górą. Pod nimi ludzie. Oto w szeregu para trzymająca się za ręce. Nad nimi łopocą słowa o pokoju, który uratują ludy. Kochasz ją? — chłopcze w studenckiej czapce. Aby jej serce nie biło, na to idą miliony wojennych budżetów. One są po to — dziewczyno w zetempowskiej koszuli — aby on odszedł od ciebie, stukając żołnierskimi butami. Ostatnio Komisja Rozjemcza w Panmundżon obradowała sześć minut. Debaty nad wojennymi budżetami ciągną się tygodniami. Latami krzyczą o wojnie — 6 minut poświęcają rozmowom o pokoju! Dusiciele ludzkości usiłują zacisnąć na jej gardle stryk wojny. Ich wódz, Truman, w przemówieniu wygłoszonym z racji wymierzonego przeciw stalowemu strajkowi zarządzenia o przymusowej rekwizycji hut i stalowni USA powiedział: „Nie żyjemy w normalnych czasach, lecz w czasach wojny".

Prawda, nie żyjemy w „normalnych czasach". Zbrodnicze rządy nie mogą już nad głowami ludów decydować o ich głowach. Nie! Trumanie, to nie są czasy wojny! Nad naszym pochodem kołysze się na transparentach imię człowieka, które stało się imieniem pokoju. Stalin z nami!

Historia zna hasło królewskiej reakcji, sprzymierzonej przeciw Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „Raczej pustkowia niźli zbuntowane ludy". Imionami przywódców rewolucji chrzcimy nasze fabryki, szkoły. Imiona królów zna już tylko inwentarz historii, gdzie notowani są pod kolejnymi numerami Ludwikowie, Ferdynandy i Edwardy. Historia zna chorobotwórczy spisek przeciw ludzkości. Imiona Trumanów, Eisenhowerów można pseudonimować strasznymi nazwami cholery i

tyfusu. Angielscy ubodzy kuzyni amerykańskiego imperializmu próbują dotrzymać im kroku. Na terenach opanowanych przez malajskie oddziały wyzwoleńcze brytyjskie wojska używają chemikalii do niszczenia zbiorów. Do tej pory kradli ludowi chleb, rabując jego pracę. Gdy upomniał się o swe prawa, chcą mu chleb zabić.

I w tej sprawie przejdą naszymi ulicami ludzie spółdzielni produkcyjnych, w których wspólnie sieje i zbiera człowiek — brat człowieka.

Morderców wolności trzeba mieć na oku. Groźni są zabójcy chleba. W parlamencie australijskim deputowany Alfred Hiley oświadczył w czasie dyskusji nad ograniczeniem czasu polowań: „Wygłodzone ptaki, które przybywają z Syberii do Australii w celu nabrania tuszy, a wracają tam, aby być zjedzone przez Rosjan, nie powinny znajdować się pod ochroną!" Ludzie w naszym pochodzie idą uśmiechnięci. Nie zapominając o czujności, śmiejmy się z ogłupiałego wroga, który chce już mordować ptaki, jako naszych sojuszników!

Boją się nas żywych, boją się naszych poległych. Gdy amerykańscy okupanci zamordowali francuskiego robotnika Gadois, do jego miasteczka słali bataliony francuskiej policji. Słusznie. Każdy nasz poległy ma milionową armię żywych towarzyszy. Napoleon nakazał swemu dyplomacie traktować papieża „tak jakby miał on jeszcze 200-tysięczną armię". Siła moralna poległego robotnika jest większa niż siła żywych cesarzy i papieży. Gdy w naszym szeregu ginie człowiek, na jego miejsce przybywa nowy potężny bojownik: pamięć bohatera. W gigantycznym pierwszomajowym pochodzie ludzkości idą setki tysięcy tych, których nazywam zaciągiem Belojannisa. To ci, których serce na wieść o tym mordzie zabiło oburzeniem, rodzącym nienawiść i gniew. Z gniewu rodzi się siła, która porazi morderców. W przeddzień śmierci Belojannisa Izba Reprezentantów udzieliła azylu w USA niejakiemu Kowerdzie, który w 1927 roku zamordował w Warszawie radzieckiego posła, Wojkowa. Po to, aby prędzej wybiła godzina, gdy będą udzielali azylu płutonowi morderców Belojannisa, łotrowskim kompaniom rządów, panujących i mordujących pod ich dyktando — pójdą ludzie ulicami miast i wsi greckich.

Towarzysze z mego szeregu — pisarze! „Wyżej transparenty koledzy!" Każdy z nas kocha swój język, kochajmy go dziś po dwakroć za to, że możemy w nim szczerze i głośno rzucać nasz protest przeciw krzywdzie, gdziekolwiek ona istnieje. Język naszego narodu zdobył sobie prawo do prawdy dopiero w tym ustroju. O to prawo dla swojego narodu walczył Belojannis. Trybunał wojskowy w Klarissa wydał znów zaocznie wyrok śmierci na 30 młodych Greków-demokratów. Ich prawo jest gąszczem, w którym można bezkarnie niewinnego człowieka zabić i obłupić. Trybunał w Lucera w południowych Włoszech wydał wyrok w sprawie 110 ciu robotników, aresztowanych dwa lata temu w San Severino, w czasie manifestacji na rzecz przyjęcia do pracy bezrobotnych. Policja i faszyści napadając na pochód zabili jednego z robotników. By przerzucić odpowiedzialność aresztowano 110 i zainscenizowano proces o „zbrojne powstanie przeciw państwu". Wyrok uniewinniający zdemaskował po dwóch latach chadecką prowokację. Radujmy się! Po włoskich ulicach idzie 110 naszych towarzyszy. Jeszcze bladzi są po więziennym mroku, ale oczy ich błyszczą nadzieją.

Daktyloskopijne odciski palców tych 110-ciu zostały w kartotekach włoskiej policji. Za jakiś czas będziecie mieć, włoscy towarzysze-historycy, cenny materiał w swoich archiwach z czasów ucisku.

Po to, by straszne d z i ś stało się u nich jak najszybciej przeszłością, po to również wylegliśmy na ulice. W tłumach są wśród nas i tacy, którzy na froncie walki o pokój i socjalizm już bez mała fizycznie należą do przyszłości. To ci, którzy swoją pracą przegonili nasze śmiałe plany — nasi przodownicy. Każda zdobyta przez nich tu godzina przekreśla godzinę ucisku — tam. Również po to, by ich uczcić, wyszliśmy dzisiaj na ulice. Niech się święci nasz maj — maj, wieczny rewolucjonista, młody maj szczęścia i solidarności ludów.

Roman Bratny

KIEDY STARE ZDERZA SIĘ Z NOWYM

(Dokończenie ze str. 1-ej)

zwalające oderwać się od wszelkich mądrości". Jakże wielu jeszcze krzywi się na studia syna czy córki radząc im, aby pomyśleli o „forsie". Biedni, karmieni ochłapami drobnomieszczańskiej filozofii i owego „stylu życia", który na „bibisiackich" transparentach zastępuje „kulturę". Ale idą i tam, bo Nowe, niejasne jeszcze i niezupełnie uświadomione sobie walczy ze starym, zastarzałym a martwym.

Oto wiosna, towarzysze, zieleni się świeżymi listkami drzew i zbóż, oto przegląda się w szklanych dachach hal fabrycznych Nowej Huty i Żerania, w czysto wymytych szybach Muranowa i MDM-u. Oto pierwsze nasze samochody dokonują próbnych kursów na szosach, wznosząc kurz w ciepłe wiosenne południa. Oto nasze zboże, o które walczyliśmy w trudnym miesiącu, listopadzie, oto zielenieją nasze zbiory, o które musimy walczyć całą wiosnę. Oto nasze fabryki, które biją się o plan, oto nasi bohaterowie, nasi ludzie, którzy pokazują, jak plan wykonać. A oto bierna masa tych ,którzy jeszcze wahają się, którzy „odwalają" robotę, dla których to jeszcze nie stało się krwią ich serca, treścią ich myśli. Ale my porwiemy ich, rozpłomienimy miłością, umocnimy nienawiścią i pójdą z nami w jednym szeregu, milionowym krokiem hucząc o bruk zmartwychwstałego miasta, o bruki wszystkich miast na kuli ziemskiej. Pójdą pod czerwonym sztandarem, wznosząc pięść do góry.

Staremu światu nasza pogarda
a za nowy damy krew...

Pójdziemy razem przed nowy gmach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, którego dziedziniec i arkady mają w sobie coś z Biblioteki Jagiellońskiej i Socjalistycznego Jutra, i który już nierozerwalnie pozostanie częścią nowej Warszawy. Pójdziemy na Plac Czerwony przed Mauzoleum Lenina, pójdziemy przed pałac cesarski w Pekinie, przed Łuk Triumfalny w Paryżu, przejdziemy przed gmachami Unter den Linden. Przyjaciele, którzyście pojechali w delegacjach pierwszomajowych do Moskwy, do Chin — pozdrówcie towarzyszy całego świata.

Pójdziemy, ale nie będzie z nami Belojannisa, nie będzie Juliusza Fuczika, nie będzie Janka Krasickiego. Nie będzie ich uśmiechów, ich pięści podniesionych wśród naszych rąk. Może tylko milczenie, może kwiaty... „Żyłem dla radości i umieram dla radości, i byłoby krzywdą, gdybyście mi na grobie postawili anioła żalu... Niech nigdy smutek nie łączy się z moim imieniem".

Towariszczi w tiurmach
w zastienkach chołodnych,
wy z nami, my z wami
chot' niet was w kołonnach...

Towarzysze, niech nam nie zbraknie sił i mocy ducha na ten rok, który może będzie rokiem niełatwym, ale na pewno będzie zwycięskim. Przyjaciele, podajmy sobie ręce: dziś pierwszy maja!...

Andrzej Braun

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

MÓJ MAJ

Wszystkim,
którzy na ulice wyszli,
ciała strudzone przez maszyny mając —
wszystkim,
Ku ziemi pochylonym,
do wypoczynku wzdychającym —
Pierwszy maj!
Pierwszy dzień maja
witajmy towarzysze
głosem pieśnią brzmiącym.

Wiosną świat strój.
Śniegu w słońcu taj!
Robotnikiem jestem —
to jest maj mój!
Chłopem jestem —
to jest mój maj!

Wszystkim,
przyczajonym do mordu,
w piekielnym zygzaku okopów —
wszystkim,
kórzy z pancerników
na braci
armat kierują gardła
Pierwszy maj!
Pierwszy dzień maja
witajmy,
dłonie splatając,
których uścisk wojna rozdarła.
Niechaj ucichnie bój!
Z bronią u nogi trwaj!
Marynarzem jestem —
to jest maj mój!
Żołnierzem jestem —
to jest mój maj!
Wszystkim
domom,
placom,
ulicom,
skutym lodową zimą —
wszystkim wyżartym przez głody
stepom,
lasom
i niwom —
Pierwszy maj!
Pierwszy dzień maja
głośmy —
wylewem ludzi,
płodności
i wiosny.
Śpiewaj zieleni pól!
Syreno fabryk — graj!
Żelazem jestem —
to jest maj mój!
Ziemią jestem —
to jest mój maj!

1924 r.

Przełożył **Leon Pasternak**

NOTATKI SPRAWOZDAWCY

18 kwietnia i 1-szy maja. Te dwie daty połączyły się ściśle w tym roku. Niby od 18 kwietnia do 1-szego maja to spory szmat czasu dla tych co pojmują czas jako rzecz nieodmienną — zawsze jednakie kartki z kalendarza. Bo ci, co czas mierzą swoją pracą, zobowiązaniami podjętymi *jednocześnie* dla uczczenia święta 1-szomajowego i urodzin Prezydenta, postawili między tymi dwiema datami znak równania.

Właśnie praca połączyła starą, znaną rewolucyjną datę z datą nową, dotychczas nieznaną ogółowi. W tym roku obie — prawie jednocześnie — zanotowane zostały zarówno przez sprawozdawców jak i przez uczonych z instytutów historii Polski współczesnej.

✠

18 kwietnia był „zwykłym dniem". W świadomości drobnomieszczanina pojęcie święta symbolizował czarny pięknie zaprasowany garnitur. okrzyki „niech żyje" na defiladzie miejscowego garnizonu, wieczorem *recepcja* w ratuszu. W świadomości człowieka naszych czasów święto kojarzy się coraz częściej z roboczym kombinezonem. Dziś w dużej mierze charakter świątecznym dniom nadaje związane z nimi współzawodnictwo pracy. *Odświętna praca* — ten zwrot — nie jest bynajmniej metaforą, lecz rzeczywistością dostrzegalną nawet przez zwykłego ulicznego przechodnia; spójrzmy jego okiem na ulice Warszawy w dniu 18 kwietnia:

Od Żoliborza jedzie zatłoczony tramwaj. Przez otwarte okna przenika do wnętrza wozu śpiew.

— *Zdobywczym krokiem idziemy*
w radosny świat!...

To młodzież ZMP porządkuje plac, przekopuje trawniki. Przez wiadukt nad Dworcem Gdańskim ciągnie długi sznur nowych mechanicznych kopaczek. Żelazną surowość potężnych maszyn rozjaśnia zieleń gałęzi (skąd je wzięli kierowcy, tu, w centrum Warszawy?) i czerwień transparentów. Marszałkowska. Obok zczerniałych płyt kościoła Zbawiciela tym jaskrawszy kolor świeżej cegły bloków MDM-u. Nad murem jednego z nich przytykającego niemal do kościoła, jakaś brygada murarska zatknęła na wysokiej żerdzi wycięty z gazety, krzywo przybity do deski portret Prezydenta. Portret zwraca uwagę, z jezdni widać go wyraźnie na błękitnym tle wiosennego nieba. Pusty, poplamiony wapnem rękaw marynarki zawieszonej na brzegu deski z portretem chwiejąc się wahadłowym, inwalidzkim ruchem wskazuje w dół na żywo poruszające się postacie murarzy.

Tyle widzieli pasażerowie tramwaju jadąc rano do pracy z Żoliborza. Wracając ujrzeli w tym samym miejscu niecodzienną scenę: Właściciel marynarki zawieszonej na desce obok portretu czynił ekwilibrystyczne sztuczki, aby ją dosięgnąć. Przez jeden dzień pracy mur podskoczył wysoko w górę. Portret zmienił tło: znajdował się teraz na tle cegieł. Murarz podtrzymywany przez kolegów wyciągał ze szczytu muru ręce po marynarkę — bezskutecznie. Pasażerowie wychyleni przez okna tramwaju, śmieli się wesoło. Tramwaj był już daleko od miejsca budowy, a oni wciąż odwracali głowy, w tym kierunku. Murarzy nie było już widać, odczytywali tylko murarski transparent: *Wykonaliśmy swoje zobowiązanie na 18 kwietnia!*

Pasażerowie jechali wagonem, którego remont przeprowadzony został jako zobowiązanie na urodzinv Prezydenta.

✠

W dniu 18 kwietnia czytelnicy gazet codziennych dowiedzieli się, że:

Załoga PAFAWAG-u wykonała zobowiązanie na dwa dni przed terminem w 107, 97%. Wykonano m. in. ponad plan 23 wagony towarowe, dwie 60-tonowe platformy i 16 wapniarek.

Załoga Huty Stalowa Wola dała 558 ton ponadplanowej produkcji stali. Brygady wielkich pieców skróciły czas wytopów z 7 godz. 50 min. do 6 godz. 40 min.

Załoga S/S „Poznań" wykonała na zaoszczędzonym paliwie i smarach dodatkowy rejs Hamburg — Antwerpia.

Podczas pełnienia Warty Bierutowskiej brygada młodzieżowa Mieczysławy Góreckiej ze Śląskich Zakładów Mechaniczno-Optycznych osiągnęła krajowy rekord przekroczenia normy — 588,5%...

Ale dopiero sumaryczna statystyka daje pojęcie o ogromie akcji. Do 18 kwietnia zobowiązania produkcyjne podjęły — 13 tys. zakładów przemysłowych, 17 tys. szkół i instytucji, 20 tys. gromad wiejskich, 3 mln. robotników i techników, 870 tys. pracowników administracyjnych i oświatowych. Ogółem wartość ponadplanowej produkcji osiągnęła do dnia 18 kwietnia około 900 mln. złotych.

Jednego nie można jednak wymierzyć żadną techniczną miarą: uczuć. Oklaski i okrzyki na licznych masówkach w dniu 18 kwietnia to były zewnętrzne oznaki stanu uczuciowego, który sprawozdawcy nazywają „spontanicznym entuzjazmem". Był taki spontaniczny entuzjazm we wszystkich zakładach pracy podejmujących zobowiązania.

To uczucie. ten entuzjazm jest też jak najbardziej osobistą sprawą każdego robotnika. Bo przecież tysiące robotników i chłopów oklaskujących na masówkach wykonanie zobowiązań oklaskiwało nie tylko Partię i jej kierownika, ale jednocześnie — samych siebie, swoje własne osobiste zwycięstwo.

W uroczystościach 18 kwietnia nie było nic z „czcigodnego jubileuszu". Nie było żadnych granic między tym, który był czczony, a tymi którzy czcili.

„Lud pracujący głęboko kocha i czci towarzysza Bieruta, bo wie, że całe jego piękne, ofiarne życie jest wypełnione pracą i walką o socjalne i narodowe wyzwolenie Polski, bo widzi w nim uosobienie najlepszych cech polskiego rewolucjonisty, patrioty i internacjonalisty, wiernego kontynuatora i spadkobiercę wspaniałych tradycji postępowych naszego narodu, niezawodnego nauczyciela, przyjaciela i wodza robotników i chłopów, inteligencji i młodzieży, wszystkich postępowych klas i warstw wyzwolonego narodu polskiego...

Towarzysz Bierut zdobył sobie serca milionów robotników i chłopów, uczonych i artystów, nauczycieli i dzieci, kobiet i młodzieży, partyjnych i bezpartyjnych patriotów polskich dzięki swej stalinowskiej nieskazitelności ideowej i niezłomności przekonań, dzięki swej nieugiętej walce o zwycięstwo demokracji ludowej, o Polskę socjalistyczną, o pokój i szczęście naszego narodu, o umocnienie braterskiej przyjaźni Polski ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, o zwiększenie naszego narodowego wkładu w wielkie międzynarodowe dzieło obrony pokoju i postępu" — mówił o Bolesławie Bierucie w dniu 60-lecia jego urodzin Edward Ochab.

✠

Bolesław Bierut mówił na tej samej akademii:

...Polski ruch robotniczy, w którego zorganizowanych szeregach miałem szczęście uczestniczyć wraz z wieloma towarzyszami obecnymi tu na tej sali, w ciągu przeważającej części swego życia, bierze za wzór sławną, bohaterską i pełną zwycięstw drogę WKP(b). Od wielkiego i genialnego wodza WKP(b), Józefa Stalina — wielkiego teoretyka socjalizmu, kontynuatora nauki marksizmu-leninizmu, opartej na doświadczeniach międzynarodowego ruchu robotniczego — Polska Zjednoczona Partia Robotnicza uczy się kierować walką mas pracujących i ich ofiarną pracą nad budownictwem fundamentów socjalizmu...

Źródłem sił umysłowych i moralnych, źródłem wzrostu i rozwoju każdego z nas są idee, o wcielenie których walczy nasza partia — kiedy jesteśmy stopieni z nią czynem, sercem i myślą w jedną całość w każdej chwili swego życia, jeśli stanowimy nieodłączną cząstkę siły partii, jeżeli jesteśmy bezgranicznie wierni jej wskazaniom ideologicznym. Miliony ludzi bezpartyjnych darzą dziś partię naszą bezgranicznym zaufaniem, ponieważ dzieje partii, jej walka, jej ideologia, jej program, jej osiągnięcia, jej wskazania odpowiadają ich uczuciom, ich potrzebom, ich poczuciu słuszności. Ufność mas, ich wiara w słuszność wskazań partii, poparcie mas dla haseł partii — to właśnie niezawodne źródło jej siły...

...Szczególnym wzruszeniem napełnia mnie ta potężna fala twórczych zobowiązań i czynów produkcyjnych, ten szeroki, ofiarny odzew mas pracujących, które pracą swą i serdecznym wysiłkiem dla swej Ojczyzny, dla Polski Ludowej — dają dziś wyraz swym uczuciom, wypowiadają — jak zawsze — w twórczy i dobitny sposób swój stosunek do spraw uznawanych za ważne. A ważną sprawą jest w tym wypadku, oczywiście, nie moja osoba, nie moje 60-lecie, lecz ważnym i istotnym jest to, co niewypowiedzianie drogie jest dla nas wszystkich: dla partii, dla klasy robotniczej, dla mas pracujących, dla narodu—idea wyzwolenia człowieka, wielka idea socjalizmu...

To ostatnie zdanie warto zapamiętać bez komentatorskich ozdóbek. Zdanie to jest — najlepszym portretem Prezydenta.

✠

Życzenia z okazji 60-tej rocznicy urodzin nadesłali Prezydentowi Bolesławowi Bierutowi: Stalin, Mao Tse-Tung, Szwernik, Pieck, Grotewohl, Kim Ir Sen, Ho-Chi-Ming, Gottwald, Rakosi...

Nadeszły też i inne życzenia:

„W Polsce przedwrześniowej żyłem w nędzy, wyzyskiwany przez obszarników, a dzisiaj mogę sobie spokojnie żyć i pracować dla swojego kraju gdzie nie ma kapitalistów. Pracuję dlatego, żeby nasza Polska była najpiękniejsza. A jako członek ORMO przyrzekam przyczynić się do zdemaskowania wszystkich wrogów i spekulantów na terenie Miechowa. Przyjm drogi Prezydencie te życzenia od robotnika, Ostrowskiego Stanisława".

Lub:

„Ja, przodownik pracy odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II-go stopnia, wierny uczeń Pstrowskiego, zasyłam Ci kochany Towarzyszu życzenia długich lat życia dla dobra Ojczyzny. Wiem, że Tobie zawdzięczamy Kartę Górniczą i nową, ostatnią podwyżkę zarobków. Więc od dnia Twoich urodzin przez cały miesiąc kwiecień i maj dam 300% normy. Rębacz Julian Wójcik".

I jeszcze:

„Życzę Ci szczęścia zdrowia żebyś długo żył (właśnie tak, bez znaków przestankowych — sk.). Na Twoje urodziny będę zachowywać się grzecznie i odtąd poprawię się w nauce. Łucja Iwan, uczennica Szkoły Nr. 2 w Sędziszewie".

Jest pewien konwenans (pocztowcy nazwą to „wzorcem") adresowania listów. Ale w dniu 18 kwietnia pocztowcy doręczali do Belwederu listy adresowane wbrew wszelkim wzorcom ot chociażby jak ten; po prostu: „Do *Ukochanego* Towarzysza Bieruta".

Szczerość przełamuje konwenanse.

sk

WISŁAWA SZYMBORSKA

TEN DZIEŃ NADEJDZIE

I wy myślicie, że sąd was ominie,
że wasze zbrodnie unikną wyroku,
że w niepamięci człowieczej zaginie
zaraza siana z waszych samolotów?

Ja już was widzę, jak przed trybunałem
gniewnych narodów stoicie pojmani.
Twarze w chrapliwej trwodze skamieniałe,
nikczemne ręce skute kajdanami.

Będziecie stali bez jednego słowa.
Zadrżysz, lotniku, boś wiedział co wieziesz,
zbledniesz, lekarzu, boś ty śmierć hodował
i pychę całą postradasz, bankierze.

A nagle z tłumu wyjdzie wolnym krokiem,
zbliży się ku wam straszliwie wpatrzony
starzec. Spróbujcie zmierzyć się z tym wzrokiem.
— Starcze, kim jesteś?
— Ojcem zadżumionych.

EDWARD HOŁDA

RODOWÓD PRZYSZŁOŚCI

Był kołowrót prawiecznych mgławic,
darły wszechświat wybuchy magmy,
wir się własnym rozpędem dławił,
szumiał,
szarpał,
popielał,
tworzył,
wrzało ognia spienione morze,
grzmot się wznosił łoskotem nagłym,
aby runąć,
w niemą zapadłość,
w postrzępiony
śródgwiezdny wyłom,
trysnąć lawą,
stoczyć się na dno,
znów się wrzenia naporem dźwignąć,
żarem strzelić i w głaz zastygnąć...

Tak się z ruchu
ziemia rodziła.

Czas pchał dzieje,
człowiek powstawał,
odłam życia siebie świadomy,
trud kształtował człowiecze sprawy,
rosły mózgu zawiłe zwoje,
więdła zieleń
w kurzawach wojen,
miażdżył rozwój epok ogromy,
jeden grabił,
drugi pracował,
drżała ziemi garbata kora
tratowaną bitwą klasową,
wielką bitwą,
o wielką prawdę,
krwawym starciem nowego z dawnym.

Tak z krwi i krzywd
tężało wczoraj.
Ten zwyciężył,
co władał sierpem,
ten zwyciężył,
co rządził łomem,
odtajały zmarzliny cierpień,
młoda sosna korzenie wparła
w koleiny wystygłych armat,
dłoń tworzyła słoneczne domy,
dłoń tworzyła
i tworzy ciągle,
aby uśmiech dzwonił nad krajem,
by się rumor czołgów nie rozległ,
by mógł traktor
stalowouzdy
zmieniać miedze
w spółdzielcze bruzdy,

Tak świat nowy
z pracy powstaje.
W naszych rękach
gnie się żelazo,
naszym dziełem
barwy
i wonie,
ludzkie serce nam drogowskazem,
po to siła złączonych kroków,
po to światu mówimy:
pokój,
aby ludzkie serce obronić,
aby wszystkich ojczyste strony
wspólną więzią złączyła przyjaźń,
jak rytm w pęki
zgromadza tony,
jak wiatr iskry w płomień
zespala,
jak nurt krople jednoczy w fale...

Tak się jutro
z walki rozwija.

TADEUSZ DREWNOWSKI

„KSIĘGA OTWARTA W PRZYSZŁOŚĆ"

Żeby pisać o dobrej, prawdziwej poezji, nie wystarczy przeczytać i przestudiować wiersze, trzeba z nimi obcować, trzeba — jak z przyjaciółmi — współżyć. „Nadzieję" czytałem wiele razy, mój egzemplarz pokrył się gęsto zapiskami. Trudno jednak mi przyjdzie spłacić dług wobec tych wierszy. Tyle nasuwa się spraw, spostrzeżeń, odczuć, od się spraw, spostrzeżeń, odczuć, od drobnych, którymi trudno czytelnika absorbować — do wielkich, które często przerastają recenzenta.

„Nadzieja" objęła wiersze Władysława Broniewskiego z lat 1945 — 1951. Zasobny i niezwykle różnorodny jest ów zbiór powojennych wierszy, wyznaczających dalszy etap dwudziestosześcioletniej już dzisiaj marszruty poetyckiej Broniewskiego, której kierunek wyznaczały przed laty — u progu twórczości — wiersze rewolucyjne w „Wiatrakach". W „Nadziei" odnajdujemy przedwojennego Broniewskiego, odnajdujemy kontynuację najwyższych zdobyczy poetyckich związanych z jego imieniem. Ale też poezja ta wezbrała nowymi treściami, jest w niej Broniewski nowy, wzbogacony. Bo jakże mogła ta poezja nie wezbrać, nie rozkwitnąć jeszcze mocniej, nie uderzyć w jeszcze potężniejsze tony, skoro spełniła się jej największa nadzieja — „państwo robotników i chłopów". Nowy tom przynosi nam dorobek poetycki o jeszcze większej pełni, jasności i dojrzałości w porównaniu z twórczością dawniejszą.

Z palestyńskiego brzegu dobiega pierwsze powitanie nowej Polski, powitanie z nieodłącznym — jak zwykle u Broniewskiego — wezwaniem do czynu. Z drogi „Do domu" Broniewski wzywa:

Górnicy, do wind i w głąb!
Niech się sroży kilof i świder
Dalej w pokłady! Kuj i rąb,
to coś ziemi ojczystej wydarł.

Pojedzie to czarne złoto
do Szczecina, do Gdyni, do Gdańska
roboto, roboto, roboto,
robocza Polsko, nie pańska.

Wielki patos tych wierszy, ich nowego zdobywczego entuzjazmu uwielokrotniają jeszcze narzucające się porównania. Czytając je warto pod drugą ręką mieć poezje z „Troski i pieśni", czy z „Krzyku ostatecznego", gdzie poeta pisał:

Po gniew moja pieśni najgłębiej
w serce ziemi się wwierć.
Węgiel dobywa Zagłębie,
Zagłębie dobywa śmierć.

(„Zagłębie Dąbrowskie").

W roboczej Polsce autor „Krzyku ostatecznego" stawia swej pracy inne zadanie: „chcę rozpowiedzieć radość — wszędzie". Dawne marzenia poety i wielu towarzyszy z kręgu jego wierszy — komunisty Jana z celi 13, łódzkiego robotnika idącego w pochodzie pierwszomajowym i krawca Icka Gutkinda — przekuwają się teraz w konkretną poezję czynu. „Pieśń majowa", „Most Poniatowskiego", „Związki zawodowe", „Byt określa świadomość" — to wiersze, które bezpośrednio odtwarzają pierwsze kroki życia w Niepodległej, początki odbudowy i budownictwa socjalistycznego. W wielkiej przenośni poetyckiej ujmują zamkniętą bezpowrotnie przeszłość i tętniącą radosnym wysiłkiem teraźniejszość, przerzucają mosty w dawniej mglistą, dziś konkretną — przyszłość.

Lud,
co przed wrogiem
karku nie schylał,
dźwiga za przęsłem przęsło
Filar pod niebo!
Łuki na filar!
Wzwyż!
W dal!
W socjalizm!
W zwycięstwo!

(„Most Poniatowskiego").

Dawne obrazy Zagłębia, Łodzi, Warszawy — głównych ośrodków zarzewia rewolucyjnego między wojnami — powracają teraz w nowych wersjach, w nowej poetyckiej transpozycji. Opiewając nową rzeczywistość umie poeta optymizm przepajający jego wiersze oprzeć na głębokich, filozoficznych podstawach. Tak jest np. w wierszu „Byt określa świadomość", gdzie sugestywny obraz poetycki („Hałdy, hałdy, osada..."), podstawiony pod tezę filozoficzną, prowadzi do optymistycznego, obrazowo - filozoficznego zakończenia:

Jeszcze czarne pod kopalniami
hałdy i widma demostw.
Przyszłość przed nami.
Byt określa świadomość.

Więź z klasą robotniczą, która rozluźniła się w latach wojennej tułaczki, powraca w powojennych wierszach z nową siłą. Górnik, hutnik, włókniarz — to główni bohaterowie poezji Broniewskiego, ich byt, ich awans społeczny — to główna sprawa poetycka. O tej serdecznej więzi mówią wprost pewne wiersze. W zdarzających się przed wojną — w okresach depresji i niewiary — wierszach dekadenckich rozczarowanie do świata, niepewność co do sensu walki wiązały się ze zwątpieniem w wielkie powołanie poezji („w wiersześ wylał niestety resztki człowieczej krwi"). Dzisiejsze wiersze, skierowane wprost do swego wielkiego i wciąż rosnącego audytorium, przepojone są niezachwianą pewnością w wielkie powołanie poety, jego rolę w kraju wznoszącym socjalizm. Przed utworem „Dla kogo wiersze?" znalazło się rzeczowe wprowadzenie: „w łódzkiej tkalni kolorowej ZPB im. Harnamana druga brygada młodzieżowa przybrała imię Władysława Broniewskiego".

Wyrazić to co czują miliony,
i jeszcze coś im poddać,
myśleć jak oni,
im się oddać

w imię ogromnej sprawy:
człowieka!...
Wierszu łaskawy,
Sprawa czeka.

W takim razie
warto pracować w rymie.
Dziękuję Wam, łódzcy włókniarze,
za moje imię.

Oto program, oto źródło natchnienia, oto krzepiąca pewność w celowość pracy nad rymem. Gdzie indziej, przytaczając w wierszu słowa „Robotnika z Radomia", który utraciwszy synka zwraca się do poety ze swym bólem, głęboko ludzką istotę poezji — a dodajmy od siebie: również oddziaływania własnych wierszy — poeta wyrazi w słowach:

Nie wiem, co to poezja,
jest w niej coś z laski Mojżesza,
strumień dobędzie ze skały,
umie zabijać i wskrzeszać.

Wielką bliskość Broniewskiego wobec klasy robotniczej przed wojną, wynikającą ze wspólnej walki poety z masami pracującymi, wspomaga w wierszach powojennych ta zażyła i serdeczna łączność z masami czytelników, dawnych i nowych, młodych i starych, których wolę, uczucia i pragnienia wyraża.

Do wierszy historycznych, stanowiących znakomitą część przedwojennej poezji autora „Elegii o Waryńskim", „Nadzieja" dołącza nowe. Zresztą nawrotom w historię poświęconych jest wiele strof z wierszy współczesnych. Zwykle są one właśnie zbudowane na tym kontraście. Do antologii poezji Broniewskiego o tradycjach walki rewolucyjnej włączyć trzeba „Pierwszy Maja", „Związki zawodowe", a przede wszystkim dwa znakomite utwory: „Cytadelę" i „Pięćdziesięciu". Pierwszy z nich — wiersz o bojownikach proletariatu, powieszonych na stokach cytadeli warszawskiej, którzy w nowej Polsce „wyrastają z żywymi oczami" — jest urzekającym prostotą lirykiem, przykładem pięknej aktualizacji wiersza historycznego. Drugi — poemat o pięćdziesięciu rozstrzelanych przez hitlerowców bohaterach PPR-u to trwały pomnik walk klasy robotniczej w czasie okupacji. Przez spokojny, o epickim toku wiersz przedziera się dławione wzruszenie.

Wreszcie na pograniczu historii dawniejszej i obecnej znajdują się dwa poematy, które stanowią najwyższe osiągnięcia w całej dotychczasowej twórczości Broniewskiego. „Opowieść o życiu i śmierci Karola Waltera Świerczewskiego, robotnika i generała" oraz „Słowo o Stalinie", w którym pióro Broniewskiego wzniosło się na szczyty mistrzostwa — leżą w zasadzie na linii tego samego rodzaju, co słynna „Komuna Paryska". Ale dowiódł nimi Broniewski, że nie tylko odległy temat historyczny potrafi zamknąć w poetyckiej syntezie, że z co najmniej takim samym powodzeniem zamyka w strofy dzieje nieostygłe.

Poemat o Swierczewskim — to utwór ściśle biograficzny, upoetyzowana biografia. Jego mistrzostwo polega na wyborze z życia generała Waltera tych momentów i scen, które najwymowniej, najdramatyczniej i najkonkretniej obrazują rysy człowieka epoki proletariackiej rewolucji. Prosty czterowiersz akcentowy, swą ulubioną strofę, wymienia poeta na inną miarę w strofach rysujących szersze tło biografii. Proletariackie dzieciństwo na Wolskiej, przykład ojca, nauka socjalizmu, „gdy pokumał się z czerwonymi..." — ta twarda edukacja proletariackiego dziecka, zarysowana w lakonicznych słowach, stanowi rodowód bohatera. Robotnik warszawski walczy o granice republik radzieckich. Motywem internacjonalizmu równie wspaniale brzmi fragment o dowódcy „Czternastej Brygady" w pierwszej walce z faszyzmem w Hiszpanii.

Mieszaninę, zaczynie wolności,
wielojęzyczna gromado,
ty własnymi kośćmi grasz w kości,
buntownicza Czternasta Brygado.

Faszystowska prze na ciebie banda,
Żyły ludu wypruć gotowa,
a tyś wzniosła i czerwona jak sztandar,
tyś — Międzynarodowa.

Pieśń dalsza, wzruszająca umiłowaniem ziemi ojczystej, opiewa powrót Waltera na czele Drugiej Armii nad Wisłę, w drodze na Berlin. Na skraju nowej Polski — w walce z resztkami band faszystowskich — ginie nad Sanem bohater polskiej i międzynarodowej rewolucji. Jakimi środkami wydobywa wielkość, jak stwarza monumentalizm postaci Broniewski? Połączeniem losu wielkiej jednostki z wielką sprawą rewolucji.

Inaczej poeta ukształtował „Słowo o Stalinie". Bezpośrednich nawiązań biograficznych jest tu mniej. „Słowo o Stalinie" musiało się stać poematem o epoce, która przybrała dumną nazwę — stalinowska. Święci tu największy triumf zdolność poetyckiego syntetyzowania. Zarówno w stwarzaniu nastroju przez wydobycie jakichś wymownych akcesoriów („wiek dziewiętnasty gasł, jak gaśnie gazowa latarnia na ulicach fabrycznych osad"), jak w dobitnych określeniach historycznych. O minionym wieku poeta pisze: „wiek, w którym proletariat nie mógł ziemi wysadzić z posad"; o dwu fazach rewolucji (od powstania rewolucyjnej teorii do jej historycznego zwycięstwa):

„Rewolucja — to parowóz historii"
powiedział Marks, zdziałał Lenin.

Ta marksowska metafora z „Walk klasowych we Francji" stanie się osią w obrazowaniu dużej części poematu, rozwijana wielorako, coraz bogaciej. Oddaje ona znakomicie dynamikę historii, rozpęd dziejów, prowadzi konsekwentnie do centralnego obrazu:

Pędzi pociąg historii,
błyska stulecie — semafor.
Rewolucji nie potrzeba glorii,
nie trzeba szumnych metafor.

Potrzebny jest maszynista,
którym jest On,
towarzysz, wódz, komunista —
Stalin — słowo jak dzwon.

Trzy szczególnie momenty uwydatnia „Słowo o Stalinie", trzy podkreśla fakty, związane nierozerwalnie z imieniem Stalina: wielki wkład Stalina w zwycięstwo i umocnienie władzy radzieckiej na szóstej części świata, który w poemacie symbolizuje Carycyn; powalenie przez Związek Radziecki pod wodzą Stalina hitlerowskiego faszyzmu (symbol — Stalingrad), wreszcie rolę Stalina w walce o pokój, w walce rewolucyjnej „od Chin po biegun". Po mistrzowsku w wizji dzisiejszego świata, przy pomocy jednej metafory przeciwstawia dwa procesy: imperialistyczne dążenie do wojny („atom zawisnął nad światem") i udaremniający je wielki ruch narodów o utrzymanie pokoju, o rozsadzenie od wewnątrz gnijącego starego świata („świat stary pęka jak atom"). Tory, po których świat pójdzie, kreśli poeta w pięknych strofach o komunistycznym budownictwie:

Odwrócimy łożyska rzek
i pustynię woda użyźni,
poręczymy dwudziesty wiek
ku szczęściu Światowej Ojczyzny.

Nie są to wiersze jedyne, rzutujące wizje przyszłości. W przepięknym finale poematu góruje motyw, który dla świata prowadzonego przez Stalina jest najbardziej charakterystyczny: niczym nieskrępowanego postępu, zwycięstwa ludzkości, wielkich perspektyw przeobrażenia świata:

Piękne i groźne jest morze,
gdy pędzi po falach szkwał,
piękny jest w niebie orzeł
nad szczytami urwistych skał.

Piękny jest napór i trwanie,
piękny jest lot i polot:
morze zatrzyma granit,
orła wyprzedzi samolot.

Myśli wyprzedzą czyny,
czyny legną opoką...
Chwała imieniu Stalina,
pokój światu, pokój...

Imponująca jest w „Słowie o Stalinie" skala poetyckich środków wyrazu, rozmaitość poetyckich tonacji. Na ogół w poemacie dominuje strofa bohaterska, obok niej poeta nie zawaha się użyć w pewnym fragmencie zrytmizowanej prozy, jak też na pół elegijnej nuty, przynoszącej najbardziej osobiste wyznania. Intymny temat dyktuje inną strofę:

Na mojej ziemi
miliony mogił,
przez moją ziemię
przeszedł ogień,

przez moją ziemię
przeszło nieszczęście,
na mojej ziemi
był Oświęcim...

Wielki realizm historyczny w wydobyciu momentów przy tym największym temacie współczesności najistotniejszych, majestatyczne w swej prostocie ujęcie postaci Stalina — „towarzysza, wodza, komunisty", osobiste natchnienie i żar, jaki poeta tchnął w wiersze tego poematu — temu wszystkiemu przypisać należy potężną wymowę „Słowa o Stalinie".

„Radzieckiej sprawie" poświęcony jest w „Nadziei" jeden jeszcze wyjątkowo piękny wiersz — „Pokłon Rewolucji Październikowej". Cechuje go właściwa Broniewskiemu prostota i trafność, historyczna dialektyka ujęcia tematu dziejów przyjaźni dwu narodów. Ale wiersz ten przede wszystkim zwraca uwagę jako namacalne świadectwo nawiązywania przez poetę do tradycji naszej wczesnej poezji socjalistycznej. Dostrzegamy je nie po raz pierwszy w „Pokłonie Rewolucji Październikowej", rzucało się to w oczy w wierszach przedwojennych, w takich jak „Elegia o Waryńskim", „Bezrobotny" i in. W omawianym wierszu znajdują się nie tylko treściowe nawiązania do czasów wspólnej walki z kańczugiem carskim, ale w atmosferze i wyrazie „Pokłonu" mocno pobrzękują tony „Mazura kajdaniarskiego".

Wiąże się to ze sprawą ogólniejszą: z programowo narodowym charakterem sztuki poetyckiej Broniewskiego, w wielekroć przez krytykę podnoszonym związku poezji Broniewskiego z tradycją rewolucyjnego romantyzmu, pieśni rewolucyjnej i gminnej. Potwierdza to sam Broniewski w swych przedwojennych artykułach o poezji. Słusznie pisze o tym w essayu o dwudziestopięcioletniej drodze poety Ryszard Matuszewski: „Władysław Broniewski, pierwszy w dziejach stu ostatnich lat naszej poezji, nawiązał do postępowego nurtu w polskim romantyzmie w sposób twórczy. Mógł zaś to uczynić dlatego, że zespalając się z ruchem rewolucyjnym polskiej klasy robotniczej odkrył nierozerwalną nić wiążącą romantyzm tego ruchu z romantyzmem walk wolnościowych przed stu laty. Tę nierozerwalną, chociaż wątłą nić ciągłości z postępową tradycją romantyzmu stanowiła przede wszystkim polska pieśń rewolucyjna. Pieśń Ehrenberga, Czerwieńskiego, Święcickiego, „Mazur kajdaniarski" Waryńskiego, obok nuty wspólnej z dziesiątkami innych pieśni patriotycznych i powstańczych o rodowodzie romantycznym, zawierały ów nowy ton, którego brakowało, aby dawnym formom poezji romantycznej nadać treść rewolucyjną, ale zawierały go w postaci nierozwiniętej, zaczątkowej. Dosłuchanie się tego tonu, wydobycie go i podniesienie do potęgi strof „Pieśni o wojnie domowej", „Elegii o śmierci Ludwika Waryńskiego" czy „Ballady o Placu Teatralnym" stanowi o prawdziwej wielkości dzieła poetyckiego Władysława Broniewskiego."*)

Pragnę tę znaną sprawę rozszerzyć na przykład, w praktyce poetyckiej Broniewskiego dotychczas niespotykany. Bowiem obok dwu wspomnianych poematów do „Nadziei" wszedł inny poemat, będący w poezji Broniewskiego nowością. Mam tu na myśli „Mazowsze". Wspomnienia i nawracanie do świata dzieciństwa pojawiało się u Broniewskiego często, szczególnie w wierszach wojennych, pisanych na obczyźnie.

...ziemia zielona, ziemia najdroższa
błogosławiona słońcem Mazowsza —
i pochód szumnych topól nad Wisłą,
gdzie mi na chwilę szczęście zabłysło,
gdzie ta, co serce me trzyma w ręce...
I już nic więcej? Chyba nic więcej.

Cóż mi zostało? tęsknić i iść
tulać się — wiatrem porwany liść...

(„Nic więcej...").

Teraz w poemacie o Mazowszu („skąd wziąłem skrzydła do lotu") już nie w tej nostalgiczno-tragicznej postaci powracają wspomnienia dzieciństwa, dzieje życia i sztuki. Po szarpiących, tragicznych krajobrazach ojczyzny w wierszach przedwojennych, krajobrazach Zagłębia, Łodzi, ulicy Miłej, poeta zwraca oczy ku innemu krajobrazowi, żeby dać wyraz umiłowaniu ziemi ojczystej, jej pięknu, jej dawności:

Równino mazowiecka
rozpostarta szeroko
po tobie błądzi moje serce dziecka
i męża oko.

Z Tumskiej spoglądam Góry
na Królewski Las,
zaciera jego kontury
czas.

Opromienione wspomnieniem dzieciństwa powstają obrazy ziemi mazowieckiej, rozmaitych Borowiczków i Dobrzykowców, wśród których przepływa Wisła. Niezwykła prostota tego cyklu liryków wpada w prosty, szczery, niestylizowany ton balladowy, z typowym dla niego umyślnym prymitywizmem wyobrażeń, poza którym kryje się cały ogrom doświadczenia życiowego.

W polskiej Kępie są śliwki — węgierki,
w Cieślach las, a w nim — maliny.
szedłem do tego lasu
— maleńki —
po skarby
i znalazłem je,
i zgubiłem.
Skarbie mojego dzieciństwa
daj się odnaleźć.

„Mazowsze" — jeśli chodzi o typ poezji, nie jest odosobnione. Otokiem poematu są takie wiersze jak „Najbliższa ojczyzna", „Dzwon w Płocku", który temat ziemi ojczystej ujmuje w płaszczyźnie historycznych, pradawnych tradycji. W owych „najpolściejszych szumach", nie mających w sobie ani odrobiny tradycjonalizmu widzę ważne osiągnięcie poetyckie, mieszczące się również na linii rozwojowej naszej najlepszej poezji Z polskości, z piękna tradycji, walki, postępu wyrasta pień narodowej poezji:

Mowo polska, Wisło rodzinna,
miłości, od innych słów prostsza.

Mowo wysoka, rzeko głębinna,
mowo i rzeko Mazowsza.

W „Mazowszu" wiersz wyswobadza się z wszystkich omalże dostrzegalnych zewnętrznych rygorów poetyckich, lecz trafność jego jest niezawodna. Rytm — zmienny i nieregularny — narzuca się sam przez się, gubią się regularne rymy czy asonanse na rzecz przypadkowych — na pozór — współbrzmień. Na taką poetycką celność słowa, na takie wewnętrzne tylko uorganizowanie i umuzykalnienie wiersza może się zdobyć jedynie poeta, który — po długiej szkole „pracy w rymie" — ma w uszach miarę muzyczności i taktu wiersza. Broniewski „za pan brat" obcuje tutaj z polszczyzną.

Sporą część „Nadziei" zajmują wiersze na wskróś osobiste, wśród których znowu spotykamy szaloną rozmaitość: od wierszy — programów do najdrobniejszych refleksji i wzruszeń. Pięknym obrachunkiem doświadczeń całego życia jest wiersz „Moja biblioteka". Przed biblioteką, ocalałą przez czas wojny z dziurawymi od kul książkami poeta zadaje pytanie: „co mi zostało na ostatek jako lekarstwo". W korowodzie obrachunku przechodzą najwspanialsze duchy literatury.

Nie, nie to mi zostało z książek ocalałych,
ale jakiś przewspaniały związek,
który łączy świat cały.
Ja na taborach radzieckich
w dziewiętnastym, dwudziestym (ledwie przypominam)
czytałem (podporucznik) prawie dzieckiem
książki Lenina
...Noc już świtem farbuje
i życiu już późna pora...
Towarzysze, dziękuję
za pocałunek Almanzora.

Ta mickiewiczowska pointa „Mojej biblioteki" w kontekście wiersza jest kapitalnym odwróceniem ideowego sensu metafory. W „Konradzie Wallenrodzie" Almanzor podstępnie posiał zarazę wśród wrogów tu „pocałunek Almanzora" był pocałunkiem ozdrowieńczym, „zaraza" — wybawieniem, „wróg" — najbliższym towarzyszem. W tym ostatecznym przewartościowywaniu życiowego doświadczenia lektura książek Lenina na taborach radzieckich w dziewiętnastym i dwudziestym roku, dająca jakiś przewspaniały „związek, który łączy świat cały" jest zdobyczą, jakiej nic zaprzepaścić w życiu poety nie zdołało.

Tragizmem i smutkiem zaznaczyły się w niektórych wierszach ciężkie przeżycia osobiste poety. Są to wiersze wstrząsające („Oświęcim" „Obrączka", Lot"). Ale gdy się powojenne wiersze osobiste Broniewskiego porównuje z dawnymi wyraźnie dostrzec można jedno: nie ma w nich jątrzących rozterek i wahań, nie ma jakiejś sprzeczności między poezją osobistą a poezją agitacyjną, rewolucyjną, która zwłaszcza w okresach depresji ruchu rewolucyjnego przybierała przed wojną na sile. Tragedie, smutki, krzywdy, porażki — one również są pełne humanistycznej afirmacji życia.

Przekwita wszystko, przekwita
i kwita.
Wyrasta wszystko, przerasta
i basta.
A ja wyrosłem, i przerosłem,
doniosłem to, co niosłem —
myślicie, że kilka łez jak kamienie —
nie! — moje życie i moje sumienie.

(„O przekwitaniu")

Gdybym wierszy pisać nie umiał,
może by las pięknej szumiał,
może z jakiegoś strumyka
oświeciłaby mnie nagle muzyka
jakąś wiedzą o sprawach serdecznych,
radosnych i krwawych i wiecznych,
ale ja słuchać nie umiem,
sam szumię.

(„O szumie")

Jest w tych wierszach piękna zaduma nad życiem, któremu już późna pora, jest w nich ciężar doświadczenia, niezrównane mistrzostwo słowa. Gdy je czytam, przypominają mi się liryki łozańskie Mickiewicza — jednego z widomych mistrzów i patronów Broniewskiego. Wśród tych krótkich liryków są i inne, w których góruje młodzieńczość, pogoda, radość. W nich zawiera się niemniej niż w wierszach o „Moście Poniatowskiego" pochwały nowego życia.

Pomyśl — już widno prawie,
a nie zmrużyłem oka.
Majowa noc w Warszawie
jak Prudential wysoka.

A księżyc tam, gdzie mieszkam
w Alei Róż i Słowików
upadł — orzeł czy reszka? —
pod oknem na chodniku.

Słowicze wokół belcanto
wysadza bzy w powietrze,
więc chyba milicjantom
też chce się pisać wiersze...

(„Majowy nocny wiersz na imieniny Joanny").

„W tym pełnym ciepła i spokoju utworze poety, który przed kilkunastu laty pisząc o Warszawie mógł opisać tylko ulicę Miłą, na której „ani jedno drzewko nie rośnie" i „w maju ludzie nie wiedzą o wiośnie" — pisze o zacytowanym wierszu Wiktor Woroszylski*) — w tym wierszu nie o pracy, nie o walce, nie o robotnikach, ale po prostu o Alei Róż Słowików — też trzeba umieć odczytać rewolucję". Bo w liryce nie temat, nie obiektywna ważność faktów, lecz treść przeżycia decyduje o światopoglądowej wymowie wiersza. A piękne liryki Broniewskiego przynoszą treść, esencję poetycką myśli, przeżyć i wzruszeń człowieka socjalistycznego.

Nowy tom wierszy i poematów Władysława Broniewskiego — na długo przed rewolucją prekursora poezji realizmu socjalistycznego w Polsce — jest dziś przykładem możliwości horyzontów, siły poezji walczącej o pokój, o postęp, o socjalizm. Nazwał go poeta „Nadzieją". Bo „Nadzieja" — to nie tylko tytuł otwierającego tom poematu, to nie tylko powtarzające się zawołanie wielu jego wierszy, to wybieganie tej poezji z jej pragnieniami i hasłami naprzód, to jej główna tonacja ideowa. „Nadzieja jest", żeby użyć słów poety o sobie samym, „księgą otwartą w przyszłość". Dawne nadzieje poezji proletariackiej Broniewskiego urzeczywistniła rewolucja, i te nowe nadzieje spełnią się również niezawodnie, gdyż służą sprawie najdroższej i najsłuszniejszej.

Tadeusz Drewnowski

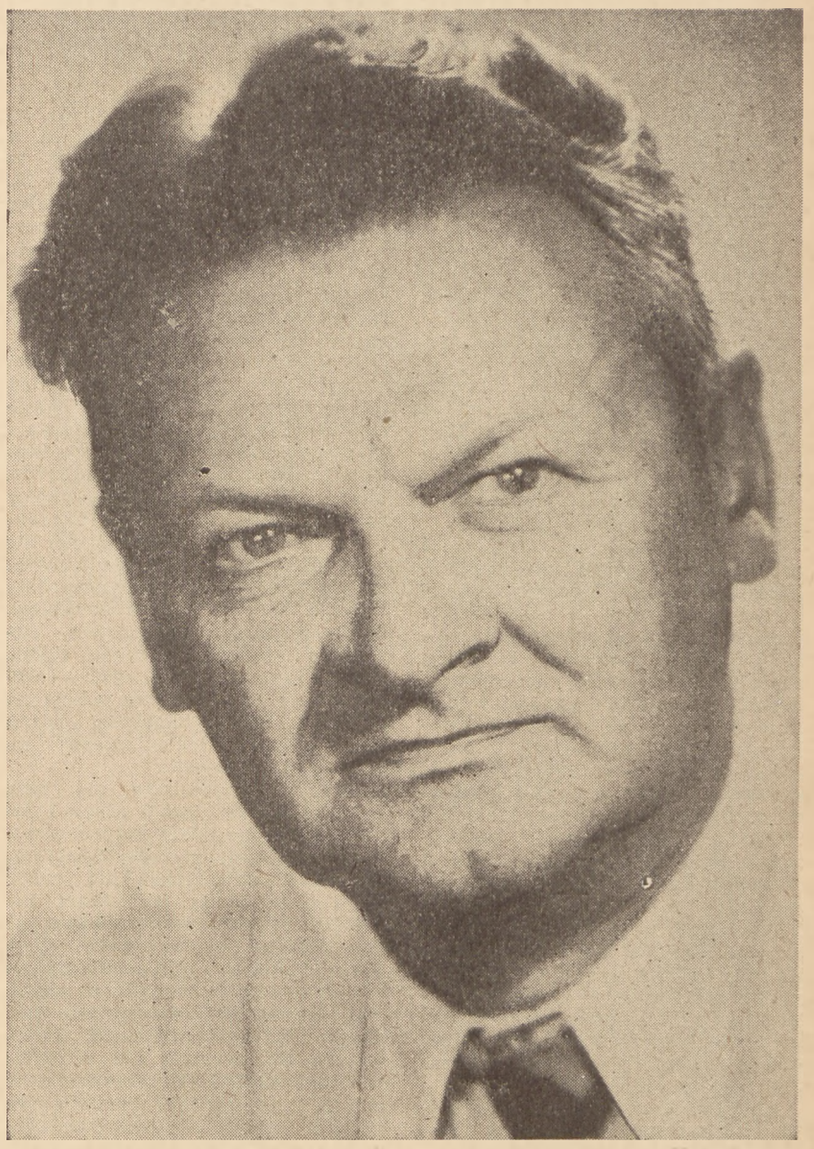

Foto Dorys

Władysław Broniewski

*) R. Matuszewski — Literatura na przełomie, str. 24-25.

*) Droga rewolucyjnego poety, Nowa Kultura nr 27, 1950 r.

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

POWSTALI, KTÓRYCH GNĘBIŁ GŁÓD

(Z zagajenia narady uczestników strajków chłopskich z pisarzami, która odbyła się w Domu Kultury dnia 23.IV)

W roku bieżącym przypadają okrągłe rocznice zbrojnych walk chłopskich przeciw sanacyjnemu faszyzmowi. Przed dwudziestu laty — w maju i czerwcu 1932 r. rozpoczęła się *pierwsza* wielka fala starć chłopów z sanacyjną policją, starć o charakterze zbrojnych powstań. Przed 15-tu laty — w sierpniu 1937 roku — podstawowe masy chłopskie przystąpiły do wielkiego strajku chłopskiego, który w wielu powiatach przerodził się w powstania zbrojne. Był to szczytowy punkt *drugiej* wielkiej fali chłopskich walk w latach trzydziestych.

Lata trzydzieste, to lata ostrego i przewlekłego kryzysu gospodarczego, który wstrząsnął całym kapitalistycznym światem, a zarazem lata rządów sanacji, tej specyficznie polskiej odmiany faszyzmu. W kraju rosła nędza szerokich mas robotniczych i chłopskich, ograbianych równocześnie z resztek praw politycznych i obywatelskich. Były to czasy nieprawdopodobnej nędzy na wsi, dzielenia zapałek na czworo, nawrotu do łuczywa — z braku pieniędzy na naftę — kilkakrotnego posługiwania się jedną porcją soli bydlęcej rozpuszczonej w wodzie — z braku pieniędzy na sól kuchenną, zaszywania dzieci w worki z sieczką w okresie zimy, bo nie było pieniędzy na buty i odzież, były to czasy, kiedy na wsi powracano do gospodarki naturalnej, do handlu wymiennego, czasy, w których dla setek tysięcy rodzin chłopskich przednówek oznaczał widmo śmierci głodowej.

Ale równocześnie były to lata walki przeciw ustrojowi nędzy i terroru, były to lata wzbierającego radykalizmu politycznego w podstawowych masach chłopskich, lata wzbierającej antysanacyjnej i antykapitalistycznej rewolucji, w obawie przed którą sanacja coraz bardziej, coraz jawniej i bezczelniej faszyzowała kraj odbierając ludowi resztki praw poprzez faszystowską konstytucję i ordynację wyborczą, ustanawiając wzorem hitlerowskim obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej, zawierając pakt z Hitlerem.

W r. 1932 potężnie wezbrała fala strajków robotniczych organizowanych przez bohaterską Komunistyczną Partię Polski. W lutym miał miejsce powszechny strajk górników, w marcu — 17-dniowy okupacyjny strajk robotników w hucie „Hortensja". Za przykładem klasy robotniczej do walki przystąpiły masy chłopskie.

Maj, czerwiec, lipiec, a więc miesiące ostrego przednówka, stały się widownią walk, w których polała się chłopska krew. 15 maja 1932 roku doszło do walki chłopów z sanacyjną policją na wielkiej demonstracji w Lubli, pow. Kresno — padli zabici i ranni. 5 czerwca na wielotysięcznym obchodzie Święta Ludowego poległo 5 chłopów w Łapanowie, pow. Bochnia. 11 lipca padło od kul sanacyjnej policji 4 chłopów w Jadowie, pow. Radzymin, gdzie chłopi proklamowali strajk. Nie jest to bynajmniej pełna lista walk i ofiar chłopskich. W latach 1932 i 1933 chłopi zrywali się wielokrotnie i w wielu powiatach do walki z sanacją. Różne były bezpośrednie przyczyny chłopskich wystąpień, zaczynało się np. od przepędzenia sanacyjnego sekwestratora, który przybył zabrać biedakowi ostatnią krowę, albo od buntu przeciw jakiemuś policyjnemu zarządzeniu, jak to było np. w czerwcu 1933 r. w Grodzisku, gdzie chłopi nie usłuchali policyjnego zakazu tradycyjnego strzelania z moździerzy w dzień Bożego Ciała. Był to okres, w którym jedna iskra wywoływała pożar walki.

Walki z sanacyjną policją obejmowały szerokie połacie kraju, zwłaszcza w Małopolsce, gdzie nędza i przeludnienie były największe. Walki te toczyły się pod hasłami obalenia znienawidzonych rządów nędzy i terroru, rządów pałki gumowej w interesie krajowych i zagranicznych karteli, walki te toczyły się o ziemię i o władzę. O zasięgu narastającego wśród chłopów radykalizmu świadczy masowość ówczesnych wystąpień chłopskich. Zarówno w obchodach Święta Ludowego, jak i w demonstracyjnych marszach na miasta powiatowe brało udział po kilkadziesiąt tysięcy chłopów.

Wielkie demonstracje i manifestacje chłopskie w latach 30-tych organizowane były przez ówczesne Stronnictwo Ludowe. Ale prawicowo-agrarystyczne kierownictwo SL bynajmniej nie prowadziło chłopów do rewolucji. Kierownictwo to przeciwstawiało się wprawdzie sanacji, ale na gruncie zachowania ustroju kapitalistycznego. Była to zaiste bezzębna i niegroźna dla sanacji opozycja obawiająca się antykapitalistycznej rewolucji jeszcze bardziej, aniżeli sanacyjnego faszyzmu, którego metody uważała tylko za zbyt brutalne. Kierownictwo SL reprezentowało interesy kułaków, podczas gdy olbrzymią większość szeregów członkowskich stanowili mało i średniorolni chłopi, zwłaszcza zaś małorolni. Stąd nieuchronna dwoistość politycznego oblicza wszelkich masowych wystąpień chłopskich w owych czasach. Władze centralne SL chciały za pomocą tych manifestacji wymóc na sanacji ich współudział w rządach i dlatego starały się tym manifestacjom nadawać charakter legalnego protestu przeciw sanacyjnemu terrorowi, natomiast podstawowe masy chłopskie parły żywiołowo do zbrojnej walki z sanacją, do obalenia sanacji. Tak było m. in. w Nowosielcach, w r. 1936, kiedy to wbrew instrukcjom kierowników SL manifestujące tłumy w liczbie 200.000 chłopów krzyczały pod adresem Śmigłego-Rydza „precz z sanacją", tak było i w okresie wielkiego strajku chłopskiego w sierpniu 1937 r. zorganizowanego przez władze SL na żądanie mas.

„Może to było źle, może dobrze, niewątpliwie jednak aczkolwiek Stronnictwo zapewniło, że będzie spokój, to władze bezpieczeństwa i ja powinniśmy byli wiedzieć o mafii istniejącej w tym stronnictwie, która zrobi zamieszki w tajemnicy nawet przed całością władz stronnictwa. Niewątpliwie żeśmy o tym nie wiedzieli, to jest mój i władz stronnictwa błąd" — oto wypowiedź obersztupajki Sławoja - Składkowskiego demonstrującego sanacyjnym posłom po krwawym stłumieniu chłopskich wystąpień strajkowych — widły i kosy zdobyte przez policję na chłopach. Dalej groteskowy patron budownictwa „higienicznego" na ówczesnej wsi mówił:

„Przebiegu wypadków nie będę kolegom odzwierciedlał, wiecie koledzy, że one nie miały jedynie strajku na względzie, nie były działalnością całego stronnictwa, ale mafii, która w tajemnicy podburzała nie chłopów pełnorolnych, posiadających gospodarstwa, bo tam gdzie chłop posiadał rolę, to akcja spaliła na panewce — lecz podburzała w sposób podstępny chłopów bezrolnych, albo chłopów na gospodarstwach karłowatych, którzy nigdy nie sprzedawali do miast, i których zawsze raziło to, że ich sąsiedzi wracali z pieniędzmi z miasta — mówił dalej Sławoj. — Oni sami nie sprzedawali swoich produktów do miast, natomiast rozwinęli terror wobec spokojnej ludności, rozwinęli akcję rozbierania mostów, przecinania drutów telefonicznych, niszczenia dróg, napadów na policję."

Cóż to była za „mafia"? — Byli to walczący na czele podstawowych mas chłopskich działacze KPP oraz radykalni ludowcy, terenowi działacze SL i „Wici", którzy razem z komunistami budowali na wsi Front Ludowy przeciw sanacyjnemu faszyzmowi.

Już poczynając od r. 1933 nastąpiło ożywienie działalności KPP na terenie chłopskim. KPP przezwyciężywszy resztki luksemburgistowskich błędów w kwestii chłopskiej przeszła do taktyki organizowania szerokiego frontu walki przeciw sanacji. Mnożyły się kontakty komunistów z radykalizującymi się działaczami terenowymi SL i „Wici". Komuniści przychodzili na zebrania ludowców i zabierali głos ukazując perspektywy zwycięstwa we wspólnej walce robotników i chłopów przeciw ustrojowi kapitalistycznemu. Delegacje robotnicze brały udział w Obchodach Święta Ludowego, a zielone sztandary pojawiały się coraz częściej obok czerwonych na obchodach pierwszomajowych. Na czele demonstracji chłopskich coraz częściej szli wspólnie działacze KPP i radykalni, terenowi przywódcy SL i „Wici". W walce przeciw sanacyjnej policji rósł przypieczętowany wspólnie przelaną krwią bojowy sojusz robotniczo-chłopski. Wyrazem krzepnącego frontu wspólnej walki przeciw rządom nędzy i terroru była podpisana wspólnie przez młodych komunistów, lewicowych działaczy OM TUR i radykalnych wiciarzy antykapitalistyczna Deklaracja Praw Młodego Pokolenia z r. 1936. A kiedy w sierpniu 1937 r. chłopska walka strajkowa w wielu powiatach przybrała charakter zbrojnych powstań, kiedy w powiatach limanowskim, jarosławskim, bocheńskim, nowotarskim, tarnobrzeskim, brzozowskim, jaworowskim padały chłopskie trupy — w samym Majdanie Sieniawskim i Muninie, pow. Jarosław, poległo 21 chłopów — Komitet Centralny KPP — wbrew prawicowym przywódcom PPS i związków zawodowych wezwał klasę robotniczą do akcji solidarnościowej.

„Towarzysze Robotnicy i Pracownicy! Ludności miejska! Walka wsi musi znaleźć jak najpełniejsze poparcie miast!" — g ł o s i ł a o d e z w a KC KPP „D o L u d u P r a c u j ą c e g o P o l s k i".

Zrozumieli to dobrze robotnicy i pracownicy dziesiątków miast i miasteczek Lubelszczyzny, Kielecczyzny i Małopolski, którzy strajkami solidarnościowymi poparli walczących braci-chłopów.

Zrozumiał to proletariat Krakowa, który 25 sierpnia powszechnym strajkiem demonstracyjnym wypowiedział się za wspólną walką ludu całej Polski.

Ich śladem winna pójść cała Polska robotnicza, demokratyczna.

...Towarzysze i Obywatele! Przełamać trzeba mur milczenia, którym faszyzm chce otoczyć i przydławić bohaterską walkę chłopstwa...

...Istnieje... możliwość przeciwstawienia się wszelkim groźbom i terrorowi faszystowskiemu... A jest nim umocnienie szerokiego frontu demokratycznego. Gdyby ten front był umocniony, gdyby PPS oficjalnie poparła walkę chłopstwa, gdyby wespół ze Stronnictwem Ludowym, związkami zawodowymi i demokratycznymi organizowała walkę mas — walka ta byłaby wygrana!"

Ówczesna walka zakończyła się chwilowo porażką. Ale była to bohaterska walka o Polskę Ludową, o Polskę sprawiedliwości społecznej. Chłopskie powstanie zbrojne przeciw sanacyjnemu faszyzmowi w latach 30-tych to wspaniała karta z dziejów robotniczo-chłopskiego sojuszu, który później stał się fundamentem zwycięstwa ludu polskiego, to ważne ogniwo historycznych tradycji narodu polskiego, który dziś w Polsce Ludowej staje się narodem socjalistycznym, to ważna i doniosła karta w historii Polski. Zbrojne walki chłopów przeciw sanacyjnemu faszyzmowi, walki, w których brały udział setki tysięcy chłopów, wywarły potężny wpływ na polityczną świadomość milionowych mas chłopskich, rozwijały w nich zrozumienie jedynie słusznej ,gwarantującej zwycięstwo drogi, drogi robotniczo-chłopskiego sojuszu.

Postępowa twórczość literacka w okresie przedwrześniowym — przede wszystkim twórczość pisarzy robotniczo-chłopskich, towarzyszyła walce społeczno-wyzwoleńczej pracującego ludu. Dzieła takich twórców jak: Wanda Wasilewska, Leon Kruczkowski, czy Władysław Kowalski wywierały silny wpływ na kształtowanie nowej, bojowej świadomości polskich chłopów. Śmiałe spojrzenie postępowych pisarzy na przeszłość i współczesność wywoływało zarówno w środowiskach robotniczych jak i chłopskich zdrowy ferment, pobudzało do dyskusji, do myślenia, rewizji pojęć, uderzało w zaśniedziały konserwatyzm, hodowany pieczołowicie na wsi przez dwór i plebanię.

Pojawienie się takich książek: „Kordian i Cham" oraz „Pawie pióra" Kruczkowskiego, „Ojczyzna" i „Oblicze dnia" Wasilewskiej, „W Grzmiącej" — Kowalskiego — to były ważne wydarzenia nie tylko kulturalne, ale i społeczne, ale i — polityczne.

Ważną rolę odegrały tu również utwory Marii Dąbrowskiej, Jana Wiktora i innych pisarzy.

Takimi też wydarzeniami, odbijającymi się tysięcznym echem były wystąpienia wielu młodych wówczas pisarzy jak np. Emil Dziedzic, St. Nędza - Kubiniec, Antoni Olcha, Marian Kubicki, Stefan Gębala, organizatorów i redaktorów postępowych czasopism literackich, chłopskich i robotniczych, organizatorów wieczorów autorskich w chłopskich stodołach oraz osiedlach robotniczych. Wśród tych pisarzy byli ludzie o różnym stopniu wyrobienia ideowego i — rzecz jasna nie ze wszystkim co oni robili lub pisali można by się dziś zgodzić, jednakże w swoim czasie, dzięki silnym i żywym powiązaniom z masami, odegrali rolę nader pożyteczną.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że ówcześni młodzi pisarze pochodzenia chłopskiego byli na wsi bojownikami Frontu Ludowego, że byli gorącymi propagatorami sojuszu robotniczo-chłopskiego. Nie stronili oni od pisania wierszy agitacyjnych, związanych z potrzebami chwili, przeciwnie z zapałem uprawiali twórczość tego typu. Utwory swoje recytowali oni na wiecach frontowo-ludowych, zjazdach i zebraniach młodzieży wiejskiej.

Wydaje nam się, że dziś nawiązanie do tamtych bojowych tradycji powinno być śmielsze i silniejsze niż to obserwujemy u naszych pisarzy. Wydaje się także, iż czas byłoby przełamać obawy, czy uprzedzenia, jakie żywią niektórzy pisarze wobec tematyki chłopskiej.

W historii chłopskich walk strajkowych i powstań kryje się potężny ładunek faktów i zdarzeń, potężny ładunek uczuć. Sięgając do tej niedalekiej jeszcze przeszłości, od której dzieli nas jednak cała epoka rewolucyjnych przemian, współcześni pisarze mogą dać dzieła, które ukażą wielkość bohaterskiego wysiłku i ofiarności mas w walce o wyzwolenie społeczne. Takie utwory, takie dzieła — apelując do niedawnych historycznych doświadczeń pracującego chłopstwa z pewnością ułatwią dzisiejszą jego walkę o nową wieś, przyczynią do szybszej realizacji socjalistycznej przebudowy wsi.

Dlatego zwracamy się dziś do literatów z apelem i konkretną propozycją: poznajcie tematykę powstań, krwawych demonstracji i strajków chłopskich i twórzcie dzieła, które by utrwaliły w pamięci narodu bohaterskie zrywy pracującej wsi, bohaterskie tradycje sojuszu robotniczo-chłopskiego i Frontu Ludowego w Polsce. Ukażcie w poezji, dramacie, scenariuszach filmowych, opowiadaniach i powieściach — postacie niezłomnych, chłopskich bojowników, bohaterów chłopskich walk wyzwoleńczych, których czyny mogą być przykładem gorącego umiłowania sprawy ludu i patriotyzmu.

Dziś, kiedy jednym z głównych zadań Narodowego Frontu Walki o Pokój i Plan 6-letni jest jak najpełniejsza mobilizacja podstawowych mas chłopskich do wzmożonego wysiłku w produkcji i w przebudowie wsi, dziś, kiedy Polska Ludowa wypełnia testament poległych robotniczych i chłopskich bojowników o wolność narodową i społeczną — kiedy dzięki historycznemu zwycięstwu Armii Radzieckiej nad hitlerowskim faszyzmem, w sojuszu robotniczo-chłopskim i pod przewodem klasy robotniczej masy chłopskie ostatecznie zwyciężyły w walce o władzę, ziemię i wiedzę, kiedy zmierzamy do pełnej likwidacji wyzysku i uczynienia z Polski jak najpotężniejszego ogniwa w Światowym Obozie Pokoju, dziś trzeba nam w pełni wydobyć na wierzch i ukazać wielkość i patos chłopskiego bohaterstwa sprzed dwudziestu i piętnastu lat. Niech przed oczyma dzisiejszych chłopów, którzy zostali na zawsze oswobodzeni od widma nędzy, głodu i upokorzenia, niech przed ich oczyma stanie prawda i wielkość ich bohaterskiej a tak niedawnej przeszłości, niech ich uczy historycznej perspektywy, niech w nich rozpala miłość i przywiązanie do Polski Ludowej, niech potęguje nienawiść do wroga, niech pogłębia ich polityczną świadomość, niech zwielokrotnia ich siły do walki i pracy w służbie Ludowej Ojczyzny. Trzeba wykorzystać w pełni ten kolosalny ładunek ideowy i emocjonalny, jaki zawiera w sobie tradycja bohaterskiej walki chłopów polskich przeciw sanacyjnemu faszyzmowi. Trzeba go wykorzystać w interesie dzisiejszego budownictwa Polski Ludowej, w interesie umocnienia robotniczo-chłopskiego sojuszu, w interesie rozwoju produkcji rolniczej i rozwoju spółdzielczości produkcyjnej, w interesie naszego robotniczo-chłopskiego narodu, przyjaźni z wielkim Związkiem Radzieckim, oswobodzicielem polskich robotników i chłopów od rodzimego i hitlerowskiego faszyzmu, w interesie naszej walki o pokój.

Jest rzeczą oczywistą, że wielka i doniosła rola czeka tutaj wszystkich tych, których powołaniem jest rzeźbić wyobraźnię i świadomość najszerszych mas narodu, którzy są „inżynierami dusz ludzkich", a więc przede wszystkim pisarzy.

Józef Ozga-Michalski

LEONARD BORKOWICZ

B E R E Z A

Tak się złożyło, że do Berezy przyszedłem w 1936 roku wkrótce po pierwszym Maja, a 1 Maja 1937 roku siedziałem w karcerze. 1 Maj 1936 roku wypadł na okres, kiedy Składkowski podjął rozpaczliwą próbę złamania w Berezie całego uchwytnego polskiego aktywu rewolucyjnego. — Chciał po prostu za jednym zamachem pozbyć się kilkuset komunistów i działaczy lewicowych. Życie pokazało, że pomysł był nie tylko „niebohaterski" ale i nierealny.

Historię tych dni można by właściwie ująć w dwóch słowach: nieustanne bicie. Eskorta zdejmowała kajdanki i oddawała więźnia w ręce policjantów berezkich. Poczynając od bramy, przez aleje parku, plac przed „blokiem aresztowanych", na schodach i salach rozstawieni policjanci witali nowoprzybyłego potężnymi uderzeniami pałek gumowych. Na samym bloku niepodzielną władzę sprawował Pytel. Policjantów przysyłano do Berezy za karę, dla rehabilitacji. Za łapownictwo lub kradzież, za szantaż lub paserstwo. Pytel nie był z tych. Jako komendant posterunku gdzieś na Wileńszczyźnie pobił aresztowanego, który okazał się konfidentem policji. Pobił zresztą tak nieszczęśliwie, że konfident razem ze zdrowiem stracił poważną część wartości dla swoich władz zwierzchnich. Za karę wysłano Pytla do Berezy.

Nowoprzybyłych Pytel przyjmował w dyżurce, W przeciwieństwie do innych policjantów był opanowany i jakoś skupiony w sobie. Do „roboty" zabierał się systematycznie i skrupulatnie. Kiedy wszedłem do dyżurki był odwrócony plecami i kiwając się na obcasach nieskazitelnie wyczyszczonych oficerek patrzył w okno. Nie odwracając się rzucił przez zęby rozkaz: „rozbierz się". Dopiero kiedy domyślił się, że jestem już nagi zdjął powoli pas, odpiął pałkę i zwrócił się do mnie. I wtedy pierwszy raz usłyszałem rozkaz, który głęboko wrył się w pamięć bereziaków: „skłon".

W Berezie 1 Maj zaczynał się w pierwszych dniach kwietnia. Już wtedy komendę „miejsca odosobnienia" opanowywała gorączka, która ujawniała się w nieustannych odprawach służbowych, wzmożeniu rygoru, no i przede wszystkim we wzroście ilości karcerów. Bereza była niesłychanie czułym barometrem sytuacji politycznej w kraju. Z zarządzeń, ze stosunku policjantów, nawet z ich min można było wnioskować o tym, jakie zmiany zachodzą w polityce sanacji. Byli nawet tacy wśród nas, jak Julek Suchy, którzy na tej podstawie oceniali sytuację międzynarodową. Nie podejrzewaliśmy, że w ten sposób zdobywają ostrogi przyszłej działalności na arenie światowej...

W 1936 r. po strajkach i demonstracjach w Krakowie, Lwowie, Chrzanowie, Bereza miała służyć za teren frontalnego ataku przeciwko komunistom. Już w kilka dni po przybyciu masowych transportów okazało się, że atak ten skończył się niepowodzeniem. Zabito Giermanskiego i Mozyrkę. Towarzysz Skrzypce z Włocławka bity w ciągu kilku dni wpadł w obłęd i zmarł po wypuszczeniu go na wolność. Ale z masy przeszło pięciuset przywiezionych wtedy do Berezy komunistów, lewicowych działaczy związkowych, sympatyków ruchu rewolucyjnego udało się załamać zaledwie kilku. Podpisali deklaracje, a potem bojkotowani przez wszystkich żebrali żałośnie wybaczenia u towarzyszy, tłumacząc się słabością i ogromem terroru.

Na kilka dni przed pierwszym Maja karcery były tak przepełnione, że o „samotnym zamknięciu" nie mogło być już mowy. Pakowano więc do cel po kilku lub nawet po kilkunastu. Zapomniałem dodać, że w Berezie istniał najsurowszy zakaz mówienia. Za każde słowo sypały się kary. Pierwszomajowy karcer był jedynym miejscem, w którym można było dowoli się nagadać. Nawet milczący na ogół Witek Kolski rozkręcił się wtedy i sypał wspomnieniami ze swojej działalności w kraju i za granicą. Z czasem zaczął się nawet znęcać nad nami opowiadając z wszystkimi szczegółami o jakimś wspaniałym obiedzie w Kopenhadze. A wybierał dla tych opowiadań szczególnie te pierwsze, trzecie, piąte i siódme dni zamknięcia...

W 1937 roku wywrócono cały istniejący dotąd porządek rzeczy. A odbyło się to tak. Była niedziela, dzień zasadniczo wolny od pracy. Tylko cela karna, piętnastka nieustannie była wywoływana do jakichś robót. Po drzewo do kuchni, po wodę, do sprzątania po policyjnym balu. Krótko przed obiadem na korytarzu rozlega się przeraźliwy gwizdek i pada głośna komenda: „dyżurna i kolejno salami, na korytarzu biegiem zbiórka". My, na piętnastce, słyszymy niezwykły ruch i zaczynamy głowić się nad tym co to oznacza. Wszyscy zerkają na Muszyńskiego, który jest już trzy lata w Berezie i zna wszystkie jej tajniki. Ale Muszyński jest milczący i tajemniczy. Nagle rozlega się szept Horowica: „amnestia". Nikt tego nie bierze poważnie przede wszystkim dlatego, że Horowic jest adwokatem. Co ma oznaczać ta zbiórka?

Za chwilę wyprowadzają i nas. Wchodzimy na salę, na której zebrano już wszystkich więźniów. Przy ścianie stoi stół pokryty... gazetami. Przy stole stoi komendant obozu pułkownik Kamala-Kurchański. Obok niego aspiranci i kilku policjantów. Bez wielkiego wstępu aspirant ogłasza, że zostaną odczytane niektóre artykuły z prasy ostatnich dni. Na pierwszy ogień poszedł „Kurier Poranny". W miarę jak aspirant odczytywał tasiemcowy artykuł wstępny organu Stpiczyńskiego rozjaśniało się nam w głowach. Artykuł mówił o procesach trockistowskich i bucharinowskich zdrajców. Oskarżonych wynoszono tam pod niebiosa, a aspirant z trudem wymawiając ich nazwiska łypał wtedy oczyma na zebranych więźniów nie przestając zresztą wodzić palcem po gazecie — żeby nie zgubić tekstu. Cel komedii stał się w ten sposób oczywisty. Pałki i karcery nie załamały komunistów, może dokonają tego artykuły wstępne? W miarę czytania aspirant nabiera wprawy, a przy artykule Czapińskiego w „Robotniku" zdobywa się nawet na ton uroczysty, niemal podniosły. Ale wtedy już dla nikogo z nas nie ulegało wątpliwości, że los tej policyjnej imprezy jest przesądzony. Byliśmy więźniami, wydanymi na łaskę i niełaskę policyjnych zbirów, a jednak czuliśmy swoją nad nimi przewagę. Jak zgrani szulerzy stawiają wszystko na ostatnią, fałszywą kartę. Każdy ruch zdradza ich, każde spode łba spojrzenie mówi o niepewności i strachu. A my jesteśmy spokojni, gdyż wiemy, że faszyści dotknęli sprawy, przy której muszą poparzyć sobie palce.

„Odczyt" skończony, wracamy na sale. Wiemy, że dziś jeszcze kierownictwo partyjne da wskazówki o walce z nową policyjną prowokacją. Ale pierwsze ataki odpieramy zanim do tego doszło. Ustał łopot nóg, korytarze zaległa cisza. Przed jedną z sal zatrzymuje się dyżurny policjant, patrzy na stojących w milczeniu więźniów i nagle jednemu z nich rzuca długo najwidoczniej przez oficerów wbijane pytanie: „No, a jak się wam podoba likwidacja komunistów w Rosji?" Franciszek Jóźwiak odpowiada powoli, głosem cichym, ale stanowczym: „Panie komendancie! Z tego cośmy dziś słyszeli wynika, że w Rosji nie likwidują komunistów, ale zdrajców komunizmu. A to, przyzna pan komendant, jest różnica...". Po odpowiedzi Jóźwiaka nastawienie partyjne było już właściwie niepotrzebne. Przez kilka następnych dni policjanci zadawali wielu z nas to samo albo podobne pytania. Odpowiedzi były zawsze jednakowe. Faszyści przegrali jeszcze jedną bitwę.

Wypadki następnych dni ostatecznie odebrały policjantom ochotę do polemik z nami. Do Berezy przyjechali Aniołkowski i Pogorzelski. Aniołkowski był radcą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i prawą ręką wiceministra Kaweckiego, Pogorzelski szefem brygady komunistycznej warszawskiej defy. Aniołkowski odbył szereg rozmów z naszymi towarzyszami. Przyszła także kolej na Witka Kolskiego. Myślę, że jego oświadczenie w Berezie w sposób niezwykle mocny określiło postawę komunistów polskich w tym czasie. Zaczął od tego, że wyraził głębokie przekonanie, iż więźniowie Berezy mają jeszcze do odegrania poważną rolę w Polsce. Na ironiczne pytanie Aniołkowskiego: „A jakąż to rolę macie do spełnienia?" — Kolski odpowiedział: — „Zostałem aresztowany na Śląsku. Widziałem tam demonstracje pod hasłem: „Zurück zum Reich" i wiem na pewno, że nie skończy się na demonstracjach. W trudnych chwilach walki o niepodległość w pierwszych szeregach walczących staną ci, którym tu pałką i kolbą chcecie wybić patriotyczne uczucia. Ale oni wiedzą, że Bereza to nie Polska."

Prawdę tych słów towarzysz Kolski przypieczętował własną męczeńską śmiercią w szeregach Polskiej Partii Robotniczej.

Inny jest dzisiaj pierwszy Maj w Polsce. Ale jakaś cząsteczka berezkiego hartu jest także w osiągnięciach, o których w tym dniu zameldujemy naszej Partii.

Leonard Borkowicz

WANDA KARCZEWSKA

WIEK, KTÓRY PRZYJDZIE

Widzę ten wiek piękny, wiecznie żywy i młody,
kiedy ludzkości posłuży rozbity atom,
wiek, w którym wstaną miasta wiszące ogrody
i gaje kwitnąć będą przez wieczyste lato.

Widzę jak na biegunach przyroda się zmienia,
jak woda się ogrzewa, topnieją lodowce
las na skałach wyrasta i jak w jego cieniach
dojrzewają południa soczyste owoce.

Wiem, że tego dokona człowiek doskonalszy
od nas, w mózg tylko, w serce współczujące zbrojny,
i że o wiek ten przyszły bez ognia i wojny
nasz wiek z upartą wiarą musi walczyć.

PAWEŁ BEYLIN

Prawdziwa legenda o Chopinie

O niewielu kompozytorach pisano tyle co o Chopinie. Almanach Chopinowski wydany w roku 1949 w Warszawie wylicza 135 nazwisk autorów samych prac biograficznych, a już po jego wydaniu ukazała się w Warszawie piękna powieść Jerzego Broszkiewicza „Kształt Miłości", a w Paryżu książka Suzanne Tenand „Portrety Chopina", co dowodzi, że każdy niemal rok dorzuca do tej listy nowe pozycje. Prace biograficzne nie wyczerpują jednak całego dorobku literackiego poświęconego Chopinowi. Postać jego występuje w prozie, poezji, i na scenie. W literaturze fachowej odnajdziemy liczne studia muzykologiczne, krytyczne i interpretacyjne. Ukuto nawet specjalny termin „chopinologia" oraz nadawany wybitnym specjalistom tytuł „chopinolog" który z pewnością przyprawiłby Chopina o wesołość.

Niewątpliwie temat nęcił autorów. Twórczość Chopina, zjawisko wyjątkowe w historii muzyki, domagała się wyjaśnienia. Romantyczna legenda o życiu wielkiego wygnańca stanowiła dla pisarzy nieodpartą pokusę. Niestety zbyt wielką, zważywszy los jaki zgotowało społeczeństwo burżuazyjne nie tylko sztuce, ale i jej twórcom. Ckliwa szmira chopinowska narastała przenikając często i prace skąd inąd wartościowe. Postać Chopina coraz bardziej odrywała się od ziemi, by spadać na nią od czasu do czasu prosto w objęcia George Sand lub Delfiny Potockiej. Długo opisywano jego humory, nastroje, cierpienia, zatrzymując się szczególnie nad tymi ostatnimi, w myśl zasady „prawdziwy artysta musi cierpieć". Nie darowano mu nawet choroby i w niej doszukując się źródeł jego twórczości.

Wraz z upływem lat rosła popularność muzyki chopinowskiej, a nad jej twórcą znęcano się w sposób coraz bardziej wyrafinowany. W 1903 roku Włosi, najlepiej wypowiadający się w śpiewie uczcili go operą napisaną przez Giacomo Orefice, której treść stanowiło życie Chopina. W latach dwudziestych bieżącego stulecia Chopin występuje już w roli głównego bohatera operetek. W 1926 roku powstaje w Londynie balet-operetka Normy O'Neil i Jamesa Dyrnesortha o tytule „The lady from the Nocturne" („Nokturnowa dama"). Tematem tej operetki było życie miłosne Chopina i George Sand. Temat ten uznany został za tak zabawny, że dwa lata później podjęło go kilku przedsiębiorczych Amerykanów tworząc z kolei drugą operetkę. W tych to latach powszechnej komercjalizacji uczuć ludzkich postać Chopina pojawia się na ekranie. W 1927 roku powstaje francuski film Henri Roussela „La Valse de L'Adieu", w rok później film francusko polski „Miłość i łzy Chopina", który rzeczywiście budził łzy, natomiast nie budził miłości do swego twórcy, również Henri Roussela, w 1934 niemiecki film Höhnego „Abschiedswalzer", który nic i nikogo nie budził, a z późniejszych należałoby przede wszystkim wymienić film amerykański z 1944 roku Sidneya Buchmana „A song to remember" z Paulem Muni w roli głównej, film który budził zgrozę. Na tym jednak nie poprzestano. Obok naukowego terminu „chopinologia" pojawiła się groźna nazwa „chopiniana" zwiastująca, że dobrano się do samej muzyki. Powstają liczne kompilacje motywów chopinowskich, wypaczające cały sens muzyki wiekiego kompozytora, aż wreszcie po drugiej wojnie światowej obrońcy cywilizacji zachodniej wyprodukowali smętny slowfox osnuty na temacie poloneza as-dur, który nazywał się „Jak długo żyć będę". Tańczono również pierwszą część trzeciej etiudy op. 10 nazwaną „Żalem". Coraz częściej słyszało się utwory Chopina wykonane na trąbce. Taki był bezpośredni wpływ prawa popytu i podaży na Chopina i jego muzykę. Ideał sięgnął dancingu, czego nie mógł przewidzieć Norwid nawet w najbardziej tragicznych wizjach. Mit ustąpił miejsca jawnemu fałszerstwu.

Ale i poważne prace nie przynosiły pełnej prawdy o Chopinie. Nie rozumiejąc epoki, w której żył, nie rozumiano i jego muzyki. Jeśli stwierdzano jej narodowy charakter, to najczęściej przybierano go w kontusze; jeśli podkreślano ludowość, to najczęściej miaszano ją z ludomanią. Studia muzykologiczne zwracały przede wszystkim uwagę na rewolucyjność formy; literackie gubiły się w domysłach co myślał Chopin pisząc takie preludium czy taką balladę. Nie zastanawiano się nad tym, co myśleli inni, co niosła ludziom muzyka chopinowska, czego była społecznym wyrazem. Głowiono się nad tym, co tętni w drugiej części poloneza As-dur nie wsłuchując się w tętent epoki. Nieliczni tylko, najwięksi dostrzegali w niej rewolucyjną treść. Dla większości pozostawała tajemniczą „rzeczą samą w sobie", w której kapryśne nastroje chorowitego kompozytora splatały się z romantyczną wizją roztańczonego chłopstwa.

Legenda Chopinowska wciąż oczekiwała prawdy.

Czesław Wołłejko w roli Chopina

Tę prawdę przynosi film Aleksandra Forda „Młodość Chopina". Ukazuje on bowiem prawdziwego Chopina, nie „naszego" Chopina w przeciwstawieniu do „ich" Chopina, jak bowiem wszystkim wiadomo nie było nigdy dwóch Fryderyków Chopinów, lecz jedynego wielkiego artystę wielkiej epoki, której konflikty dramatyczne znalazły dramatyczny wyraz w jego twórczości. Naszego Chopina.

Chopin interesuje nas przede wszystkim jako twórca. Oczywiście, że ciekawi nas bardzo jak wyglądał ten twórca w życiu codziennym, jakie miał usposobienie, jakie upodobania, jakie nawyki. Jest to bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Nie tędy droga do zrozumienia nie tylko jego muzyki ale nawet wielkości jego postaci. Wiemy że Chopin lubił kobiety. Nie był pod tym względem zresztą wyjątkiem. Ale istnieją przecież zasadnicze przyczyny dla których urządzamy Rok Chopinowski, a nie rok poświęcony panu Iksińskiemu, który również lubił kobiety. Fałszywy obraz postaci Chopina jaki tak często otrzymywaliśmy w literaturze, na scenie, czy na ekranie, nie polega tylko na doborze fałszywych faktów, przeciwnie, fakty te zazwyczaj były prawdziwe, ale na ich zestawieniu. Mając do wyboru problem Chopin a George Sand i Chopin a społeczeństwo w którym i dla którego tworzył (świadomie czy nieświadomie) wybierano pierwszy. Przy takim wyborze sprawa była z góry przesądzona. Zamiast rozpatrywać postać Chopina poprzez jego muzykę, rozpatrywano jego muzykę poprzez samą postać skleconą dowolnie z takich czy innych szczegółów. W konsekwencji wypaczono i muzykę, i samego twórcę.

„Młodość Chopina" jest więc przede wszystkim filmem o młodości jego muzyki. Muzyka jest jego główną bohaterką. W niej skupia się dramatyczny wątek filmu. Ona potężnymi akordami etiud a-moll i c-moll decyduje o jego kulminacyjnych momentach. Twórcy filmu dobrze wiedzieli, że droga do zrozumienia muzyki Chopina prowadzi poprzez zrozumienie epoki w której żył i kształtował się jako kompozytor. Uczyniono więc słusznie przyznając Chopinowi i epoce role równorzędne. W ten sposób widz mógł dotrzeć do społecznych źródeł muzyki chopinowskiej, co stanowiło cel filmu i zadecydowało o jego akcji. Kto chciałby rozpatrywać akcję „Młodości Chopina" w oderwaniu od muzyki, ten niewiele by z niej zrozumiał. Wszystkie sytuacje w jakich widzimy Chopina w filmie mają na celu pokazanie nam klimatu, w jakim rodziła się jego muzyka. Widzimy go więc i w środowisku młodzieży rewolucyjnej, i w salonach magnackich obozu zdrady narodowej; na wsi polskiej gdzie poznaje lud, jego muzykę, obyczaje, niedolę; na wesołych zabawach ludowych Warszawy, w domu rodzinnym i w scenach miłosnych z Konstancją Gładkowską, której postać z urokiem odtwarza Aleksandra Śląska. Poznajemy go w Warszawie jako studenta Szkoły Muzycznej mniej więcej w roku 1827, rozstajemy się z nim w Paryżu w czasie zamieszek rewolucyjnych z 1832 roku, które opisał w „Nędznikach" Victor Hugo. Wnioskiem, jaki wyciąga z nauki udzielanej mu przez życie, jest sama muzyka. Jej źródła wypływają zarówno z polskiej muzyki ludowej, jak i z burzliwego charakteru epoki, łącząc się w jednolity nurt narodowy i rewolucyjny.

Tego nas uczy film o Chopinie. Jest to lekcja nie tylko mądra, ale i piękna. Film o Chopinie jest wielkim wydarzeniem ideowym i artystycznym, takim jak każde prawdziwe dzieło sztuki.

Już sam fakt, że bohaterką filmu jest muzyka Chopina mówi nam o jego wartości artystycznej. Muzyka ta, z niezrównaną siłą i pięknem oddająca charakter i zmagania epoki, reprezentowana jest w filmie dość wszechstronnie. Poza etiudami słyszymy fragmenty mazurków, preludiów, nokturnu, duże wyjątki z koncertu e-moll, tak, że nawet najmniej obeznany z muzyką Chopina widz może sobie na podstawie materiału dostarczonego mu przez film wyrobić o niej pewien bardziej ogólny sąd. Zarówno dobór jak i ustawienie utworów nie pozostawiają nic do życzenia, poza pewnymi nieścisłościami historycznymi nie odgrywającymi zresztą w tym wypadku większego znaczenia. Koncepcja muzyczna filmu powinna być tematem szerszych rozważań. Jej twórca Kazimierz Serocki nie tylko stanął na wysokości trudnego zadania, ale obdarzył nas świetnym tańcem ludowym, który będziemy mieli przypuszczalnie możność usłyszeć i poza ekranem.

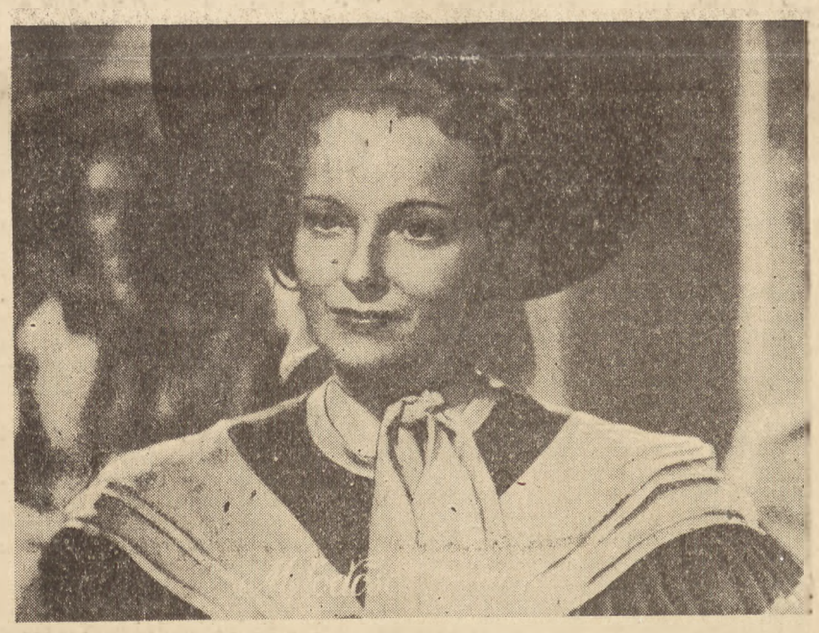

Aleksandra Śląska w roli Gładkowskiej

„Młodości Chopina" zawdzięczamy to, że miliony ludzi w kraju i na całym świecie poznają muzykę Chopina i to w natchnionym wykonaniu Haliny Czerny-Stefańskiej. Od tego poziomu wykonania nie odbiegają zresztą ani partie skrzypcowe Paganiniego i Bacha wykonane przez Wandę Wiłkomirską, ani aria Mozarta, którą śpiewała Stefania Woytowicz.

Strona malarska „Młodości Chopina" nie ustępuje w niczym jego stronie muzycznej. Daje to w sumie wspaniały efekt artystyczny, którego dokładniejsze rozważenie wymagałoby współpracy przedstawicieli poszczególnych dziedzin sztuki. Aby opisać olśniewające obrazy wsi polskiej czy ludowego wesela trzeba znawstwa malarza i talentu poety. Zarówno pejzaże polskie jak i sceny batalistyczne nawiązują do najlepszych tradycji malarstwa polskiego. Są piękne, głęboko wzruszające i przepojone szlachetnym patriotyzmem.

Być może nawet, że autorzy zbytnio zasugerowali się plastyczną wizją filmu. Chcąc utrzymać go na jednolitym poziomie artystycznym w niektórych scenach postać Chopina potraktowano na równi z krajobrazem. Oczywiście, że wyniki musiały być różne, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę że rolę Chopina grał sugestywnie Czesław Wołłejko.

Sugestia poszła jednak w nie całkiem właściwym kierunku. Otrzymaliśmy pełny i prawdziwy obraz społecznej roli Chopina jako twórcy. Ale sam twórca jest w tym filmie, mówiąc językiem techników „niedotarty".

W epoce, w której Chopin jest już dojrzałym artystą na filmie widzimy Chopinka. Kapryśnego, pieszczocha łatwo ulegającego nastrojom i wykazującego zadziwiającą skłonność do brodzenia po wodzie. A przecież materiały epoki pokazują nam kompozytora i od innej strony. Wiemy, że był dowcipny, obdarzony trzeźwym, często ironicznym sądem, że pisał satyryczne wiersze i grał główną rolę w wierszowanych komediach, których sam był autorem. Wiemy że posiadał ogromny talent mimiczny, któremu nawet Balzak poświęcił osobne studium. Czy taki Chopin rzeczywiście nic nie miał do powiedzenia w dyskusji na temat sztuki romantycznej i klasycznej, jaka toczyła się w kawiarni? Czy też, ze względu na swe wysokie poczucie humoru, milczał zrażony jej górnolotnym tonem? W niektórych scenach Chopin ginący w tłoku licznych reprezentantów epoki, odgrywa rolę biernego obserwatora. W innych, kiedy widzimy go samego, bardziej „wygląda" niż „jest". Jeśli Schumann pisał o jego muzyce że są to „armaty ukryte wśród kwiatów", to Chopin w „pozamuzycznych" sytuacjach przypomina cieplarniany kwiat rzucony na armaty. Przyznajmy, że taki kwiat miałby małe szanse rozwoju.

Niewątpliwie położenie akcentu na tę stronę Chopina, którą w samym filmie określono mianem „niebiańskiego chuchra", nie przesądza o prawdzie jego postaci. Ten sam Chopin, który miejscami denerwuje, potrafi wstrząsnąć widzem np. w monumentalnej, a zarazem dyskretnej scenie komponowania etiudy c-moll, zwanej rewolucyjną.

Jest to szczytowy moment filmu. Etiuda c-moll, zrodzona na tle tragicznych wieści, płynących z objętej powstaniem Warszawy, staje się muzycznym wyrazem buntu wstrząsającego miastami i krajami Europy, w epoce, w której hasło „Niech żyje Polska", oznaczało w ustach rewolucyjnych ludów „niech żyje wolność". Końcowe fragmenty filmu rzucają Chopina w wir wydarzeń rewolucyjnych Wiednia i Paryża. Piękna ideowo internacjonalistyczna koncepcja ukazania solidarności walczących ludów, w realizacji okazała się jednak miejscami ryzykowna. Znalazła swój pełny wyraz w wiedeńskiej sali koncertowej, zawiodła w momencie gdy akcja filmu przenosi się na ulice.

Wydaje się, że sceny paryskie sugerował znany obraz Delacroix. Wynik był jednak mniej monumentalny. Pomijając już fakt, że Paryż w tym filmie dziwnie przypomina Wiedeń, a oba te miasta Warszawę, obraz walczącego ludu paryskiego wypadł zbyt teatralnie, blado. Ten lud jest za mało płomienny, za mało groźny, chwilami wprost groteskowy. Nie jest w stanie wstrząsnąć widzem, podobnie jak nie czyni tego straszna przygoda, jaka w zamieszaniu wydarza się na ekranie znanej aktorce warszawskiej. Sceny te są chyba po prostu zbyt rozbudowane i biorąc pod uwagę polityczną i artystyczną rolę jaką film ma spełnić nie tylko w kraju lecz i poza jego granicami, należałoby się nad nimi poważnie zastanowić.

Znaczenie „Młodości Chopina" jest ogromne. Po raz pierwszy ukazuje na ekranie prawdziwego Chopina, na tle prawdziwej Polski. Porywając swym pięknem i potężnym ładunkiem ideowym jest w stanie trafić do serca każdego człowieka, każdego kraju. Przepojony głębokim patriotyzmem, posiada głęboki, internacjonalistyczny sens. Uczy rozumieć i kochać muzykę chopinowską ukazując jej narodowe i rewolucyjne źródła. Zwraca ją ludom walczącym o prawo do życia w ciężkich zmaganiach ostatniego boju.

Paweł Beylin

Wesele chłopskie. Scena z filmu „Młodość Chopina"

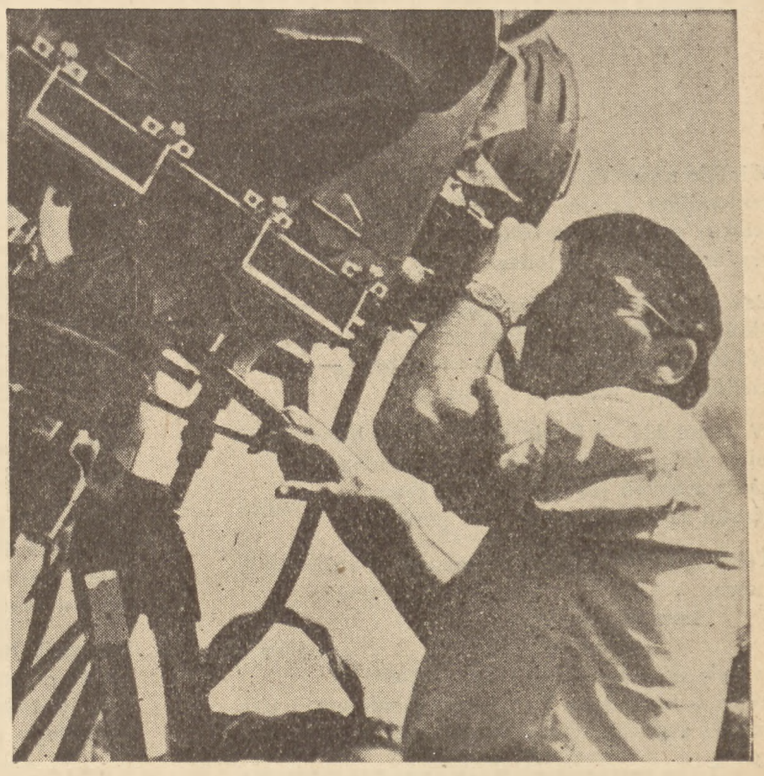

Aleksander Ford przy pracy nad realizacją filmu

ADAM WAŻYK

O FILMIE „MŁODOŚĆ CHOPINA"

Film Aleksandra Forda przedstawia rozwój duchowy i artystyczny Chopina w powiązaniu z walką narodowo-wyzwoleńczą i społeczną. Ukazuje wielkość muzyki Chopina i sądzę, że ujmuje prawidłowo i wielostronnie proces odbicia rzeczywistości w świadomości artysty, uwzględniając specyfikę danej dziedziny sztuki, dziedziny bardziej oderwanej niż poezja czy malarstwo; nie pomija też ważnych zagadnień technicznych, z którymi Chopin borykał się w młodości.

Ford zastosował w ujęciu tematu szeroką metodę epicką. Film ukazuje oblicze ówczesnego narodu polskiego w przekroju klasowym i obyczajowym. Obrazy wielu środowisk, z którymi styka się młody Chopin niezmiernie wymowne, charakter pejzażu polskiego wnikliwie podpatrzony. Kompozycja zdjęć wzorowana niejednokrotnie na kompozycjach malarskich, to wszystko wskazuje, że realizator świadomie korzystał z doświadczenia wielu dziedzin sztuki. I pod tym względem film jest nowatorski. Ukazując wielkość muzyki Chopina i wielkość sprawy narodowo-wyzwoleńczej, wprowadzając metodę szerokiego ujęcia epickiego, Ford zrealizował film prawdziwie narodowy, który budzi w widzu polskim słuszną dumę.

Obecnie, kiedy szczególnie interesuje nas współpraca literatów z filmem, sam typ scenariusza „Młodości Chopina" wywołuje wiele refleksji i może stać się przedmiotem ożywionej dyskusji. Scenariusz ten ma budowę szczególną, pod względem anegdotycznym dość luźną. Nie ma w nim wartkiego wątku fabuły i bodajże treść nie jest całkowicie podporządkowana jednostkowemu losowi ludzkiemu. Ale sądzę, że nie można stawiać sztywnych wymagań fabularnych każdemu filmowi. Idea i temat wyznacza typ scenariusza, dlatego też nie zawsze pojęcie akcji i dramaturgii w realizmie socjalistycznym musi się pokrywać z dawnymi pojęciami akcji i dramaturgii. W dziedzinie utworów biograficznych nie możemy iść śladami burżuazyjnych „vie romancée". Suma faktów biograficznych bardzo uszczupla rolę akcji literackiej. Sądzę, że Ford w zasadzie wybrał słuszną drogę i że wyszedł z tej próby zwycięsko nie tylko jako wielki realizator, ale i jako literat filmowy.

Postać Chopina w naszej tradycji literackiej porosła całym lasem anegdotycznej treści. Scenarzysta musiał się przedzierać przez ten las, kierowany ideą przewodnią, ideą walki narodowo-wyzwoleńczej. Z pewnością naraził się przy tym zwolennikom naturalistycznej kartografii, ale na to już nie ma rady. Co do kompozycji artystycznej to można kwestionować, czy wszystkie motywy ułożyły się w odpowiedniej proporcji i z pewnością można wytknąć rozmaite szczegóły. Poważny zarzut wyłania się stąd, iż w tej wielkiej sprawie chopinowskiej odczuwamy jednak niedosyt pierwiastka ludowego. Czyżby za mało było w tym filmie folkloru? Nic podobnego, nie idzie o ilość, ale o nośność ideową. Odczuwany niedosyt tłumaczę sobie tym, że chłopstwo polskie w „Młodości Chopina" jest tylko biernym przedmiotem ucisku i że aktywność życiowa chłopstwa przejawia się tylko w tańcu. Nauka marksistowska Lenina i Stalina poucza nas, że w obrazie minionych epok nie wolno nigdy tracić z oczu aktywnego działania chłopstwa — było ono bezradne, niedojrzałe, ale ono właśnie podrywało podstawę feodalizmu. Mickiewicz był rewolucjonistą szlacheckim, ale w poezji Mickiewicza chłop nie jest biernym podmiotem, u Mickiewicza dochodzi do głosu ludowe pojęcie krzywdy i sprawiedliwości. Co prawda, w tym czasie opór chłopski na ziemiach rdzennie polskich był silnie tłumiony i paraliżowany, ale przecież stanowił sprężynę „ludowości" w postępowym romantyzmie polskim. Jakby powiedział Jan Kott — scenarzysta nie doczytał historii do końca. Słusznie atakując ograniczoną, szlachecką rewolucyjność powstania listopadowego, sam jednak wpadł w ograniczoność. Gdyby włączył do swojego obrazu epoki aktywność chłopską, inaczej ułożyłyby się motywy ludowe, inaczej zagrałby folklor, pełniej zagrałaby ostatnia scena, w której proletariat paryski przejmuje sztandar postępu społecznego.

W Europie Świętego Przymierza ruch rewolucyjny szedł nie tylko z Zachodu na Wschód, ale i ze Wschodu na Zachód. Pod tym względem scenarzysta dobrze odczytał historię. Stawiając Fordowi zarzut w sprawie chłopskiej, stawiam go przede wszystkim sobie i innym członkom kolegium filmowego, żeśmy nie potrafili w porę wskazać tego scenarzyście, który włożył ogromny wysiłek w kompozycję literacką filmu.

Rzecz jasna, że w tym epickim, szerokim a równocześnie luźnym ujęciu tematu, gdzie bogata rzeczywistość żywi młodego Chopina i przeradza się w jego muzykę, poza samym Chopinem inne postacie są fragmentaryczne. Chociaż nieraz nakreślone jednym pociągnięciem, to jednak są to postacie żywe, bo dobrze przestudiowane przez realizatora; nie tylko Czartoryski i Lelewel, nie tylko Gładkowska i Zuska, ale wszystkie na chwilę ukazywane postacie i twarze. W obrazie prostych ludzi zasłuchanych w muzykę Chopina jest coś, co przydałoby się wielu naszym plastykom: ciepłota charakteru, poszukiwanie tego, co w nim najszlachetniejsze, prawdziwe umiłowanie prostego człowieka.

Film „Młodość Chopina" chciałoby się oglądać wiele razy, tak jak wielokrotnie powraca się do dobrej poezji.

Adam Ważyk

Olszynka grochowska. Scena z filmu „Młodość Chopina"

STANISŁAW WYGODZKI

DO MŁODYCH PRZYJACIÓŁ

1

Wielkie nasze dzieło, Ty je ze mną chwalisz,
pochwalam Twoje: Naprzód! Ja, gdy się odwrócę
jeszcze przeszłość widzę. Kiedy pieśń zanucę,
czy mój smutek pojmiesz, który w niej się żali?

Czy jej treść zrozumiesz? Ja, gdy słuch natężę,
kiedy wzrok wysilę widzę pylne drogi.
Idą tłumy więźniów, skute mają nogi —
kobiety idą i męże.

W śniegi idą, w Sybir, giną w sinych mrozach
Biały śnieg na polu, czarne są ramiona,
kiedy więzień legnie i powoli kona.
Kruka zawołanie smaga jak powrozem.

Tobie dał Włodzimierz zawołanie: lewa!
Lewa,
lewa,
lewa —
tyś nie widział bosych,
kiedy z karabinem i rozwianym włosem
szli do Października, głodni — ale w śpiewach.

Czy Ty to zrozumiesz? Radzę, przejdźże tropem
więzień, barykady, walki i uniesień,
abyś lepiej pojął czym ta późna jesień
była dla pokoleń, dla nas, dla Europy.

Chcę byś lepiej pojął czym był 17-ty,
nie na kartach książek o zdobnym tytule.
Jeśli nie potrafisz gniewu pojąć, bólu,
jak obcy przechodzisz mym miastem.

Gdziekolwiek mieszkasz w Polsce, w jakiejkolwiek wiosce
w jakimkolwiek mieście o nieprzednim bruku,
agitator Sprawy widział swoich wnuków
w walce, czułości i trosce.

Ani jemu wiedzieć jakie Twoje losy,
kiedy szedł pod kule, ale miał tę pewność,
że w pochodzie dalszym myśl podejmiesz gniewną
i podasz ją pełnym głosem.

Ja ten głos usłyszę. Słyszę, ciągle słyszę,
do mnie mknie z Zagłębia, Łodzi i Warszawy.
W każdym polskim mieście kiedyś bruk był krwawy,
krzyk się nad nim kołysze.

Ty nim kroczysz teraz. Czasem tylko wspomnisz,
od wielkiego święta, że na barykadach
dziad Twój, brat i ojciec w walce krwawej padał,
człowiek — nie pomnik.

2

Jakiekolwiek imię kiedyś Ci nadano,
walkę przypomina — dawną i odległą
i o Sprawiedliwą i o Niepodległą —
kto je nosił pod murem stanął.

Nie spamiętasz imion. Tłumy szły olbrzymie
z pieśnią i zgryzotą, z bólem i radością,
żeś Ty krwią z krwi tego, z jego kości kością,
że nie zetlisz się iskrą w dymie.

Dlatego bez rozpaczy szli pod Cytadelę,
dlatego nie klękali przed wrogim trybunałem,
siebie widząc w Tobie zmartwychpowstałych —
nadzieje spełnione i cele.

Wiedz: umieli kochać, kochać tak głęboko,
że przez kordony doszli, jak Feliks i jak Julian,
czytając w ludzkich twarzach, jak Ty czytasz brulion —
mieli mędrca serce i oko.

Wiedz: umieli ginąć. Jakże niedaleko
dom, na murze ślady kąsającej kuli.
Chciałbym, abyś poczuł to co oni czuli —
Hajczyk i Pilarczyk. Mam ich pod powieką.

Ich. Lecz nie samotnych. Z nimi szła nadzieja,
wieczna, nieulękła — Ta co nie zginęła.
Kiedy chmura gazu im do ust się pięła,
jak Kasprzak byli i Okrzeja.

Dlatego nie zginęli. Widzę długi szereg
tych co dzieje łączą, aż po nasze dzieje.
Cytadela. Pluton. Chłodno. Ledwo dnieje...
Hibner, Rutkowski i Kniewski...

Tu mój głos się łamie... Czyliż pojąć zdołasz
śmierć pod tamtym murem, gdzie dwugłowy orzeł
śmierć Polaków widział? Czyliż pojąć możesz,
że to Polak wówczas w polskie mierzył czoła?

3

Ja pamiętam jeszcze. Powiesz mi, żeś młodszy...
Bądź szczęśliwy, ale... Pragnę z głębi serca,
abyś znał swe dzieje. Pomnij, że morderca
nie raz o Ciebie się otrze.

Pragnę Cię obronić. Pragnę Ci dopomóc,
weź słowo i serce poety.
To nic, że część oddałem towarzyszom z Krety
i dzieciom, które płoną w koreańskim domu.

To nic. I dla Ciebie starczy. Żal odnajdziesz może
na dnie serca mego — weź je z żalem razem,
który żywy będzie, póki wróg żelazem
ludziom grozi i ziemi i morzu.

Ale obok żalu gniew odnajdziesz. W gniewie,
w nienawiści krzywdy siła mojej sztuki.
Gniewny bądź, by gniewu nie znały moje wnuki,
niech wnuk mój go nie zna i nie wie...

4

Noc się kończy. Zawrze się strofa
zawiła, miejscami niejasna.
Jeszcze słowo... Już gwiazdy gasną...
I nagle ręka się cofa.

Czy się nie dałem zbytnio ponieść?
Czym Cię nie skrzywdził niebacznie?
Przecież o dniu, który wkrótce się zacznie,
Twoje zobaczę dłonie.

Przecież o dniu, który obszar lądu
ukaże wybrzeżom naszym,
przejdziesz, gwiżdżąc, przez halę maszyn
motor włączyć do prądu.

Przecież za sprawą Twego umysłu,
Twojej ręki i woli,
nowe szosy zeszły do dolin,
mosty biegną przez Wisłę.

Dom w którym mieszkam — skądże wiem o tym,
kto go zbudował? Czy nie Ty?
Stół i atrament i pióro poety,
nie jestże Twojej roboty?

Chleb, który ciepło jeszcze rozsiewa,
nie jestże z tego ziarna,
które przyjęła ziemia czarna,
gdyś wiosną ruszył do siewu?

Wszędzie jesteś. Twoje oglądam
dzieło piękne i nowe,
lecz jeśli dodam jeszcze słowo,
to dlatego, że jeszcze żądam...

5

Szedłeś ze mną przez doliny płaczu,
szedłeś Warszawą i polem Majdanka
i wiesz, że nie było nas mniej, kiedy Janka
wróg osaczył.

Ja nie chciałem tym wierszem zasmucić —
ile już za nami, a co nas jeszcze czeka?
Nasze dzieje, spienione jak rzeka —
jaką pieśń mi zanucisz?

Chciałbym i Twoją podjąć. Sercu bliską,
jak dawne ponieść dalej
przez całą Polskę, miastem, cieniem alej,
ciepłą, jak pieśń nad kołyską.

Pragnę w niej serca Twego i drżenia,
trwania wśród nocy.
Krzyku — gdy trzeba, gdy trzeba — milczenia
i czujnych oczu.

Z nami się spełnia rozdział dziejów
nowy. W nim wątek
tamtej przeszłości, w której początek
wzięła nasza nadzieja.

Przyjaciele! Naprzód! A w śpiewach,
z walki naszej i pracy
przyszłość się rodzi!
Młodzi Polacy!
Lewa!
Lewa!
Lewa!

LUCJAN RUDNICKI

M A T

Rozsłoneczniona wiosna roku 1934, maj; w starej dąbrowie podszytej leszczyną i młodymi świerkami paruje rosa.

Wszędzie pełno kwiatów, a biel niestrętka, poprzetykana błękitem trojanka i płową zielenią traw, przemienia las w pałac krasnoludków za siedmioma górami i morzami.

Nawet płochliwa sarenka urzeczona nadzwyczajnością obrazu przystanęła w podziwie i dopiero na głośny gwizd wilgi: fiu, fiu! pocwałowała w podskokach jak baletnica.

Tęcza kolorów roślinności, ptasia kapela pod batutą dzięcioła i rozpylony zapach kwiecia wzbudzały żywiołową radość i miłość do całego świata. Miłość do ludzi, zwierząt, drzew i do chmur kłębiastych igrających ze słońcem.

Jedziemy na rowerach wąskim duktem ze znajomym leśniczym, spotkanym przypadkowo. Zachwyceni pięknością przyrody, milczymy.

Nagle na zakręcie ukazały się zgięte plecy z wiązką chrustu i wystającym z niej polanem, wziętym widocznie ze stosu przygotowanego do sprzedaży. Inżynier, człowiek kulturalny, dobry, a przede wszystkim uczciwy, oburzył się do głębi.

— Nic nie wolno z lasu wynosić, a ona drzewo ze stosu kradnie! Jak się nazywasz! Dokumenty macie?

Przestępczyni dokumentu nie miała, lecz cała jej postać była dowodem zbójeckich stosunków w Polsce burżuazyjnej. Podciągnęła nerwowo wiązkę wyżej na plecy, nie zważając na wiadomość, że pójdzie do domu nie z drzewem, lecz z protokółem. Trzymając kurczowo koniec sznura, wpijającego się w ramię, błagała pokornie:

— Proszę łaski pana, jezdem wdowa, mam pięcioro dzieci, czekają na mnie...

— Nie! Uwzględniłbym chrust, ale kradzież polana ze stosu musi być ukarana! Cały las byście wynieśli! Nazwisko!

„Złodziejka" zgięła się pod ciężarem. Na suche palce, kurczowo zaciśnięte na sznurze, spadło kilka łez. Leśniczy podniósł głos:

— Drzewo rządowe! Odłożyć!

Wtedy pokorna kobieta stała się nagle jakby drapieżnym ptakiem. Rzuciła drzewo, podniosła hardo głowę, gniew zaostrzył jej nos, rozszerzył oczy. Wydawało się, że runie na prześladowcę i zacznie go kuć w mózgownicę. Cofnęliśmy się obaj.

Rys. Henryk Grunwald

— Cholery! — krzyczała. — A dzieci nie rządowe? Chłopaki! Do wojska nie bierzeta? Jak nie ukradnę, wyzdychają!

I szła z wyciągniętymi palcami, gotowa nam obu, kulturalnym i sytym, oczy wydrapać.

Zeszliśmy pospiesznie w gąszcz zagajnika zawstydzeni i zatrwożeni. Matka postępowała dalej jak ptak, któremu chciano odebrać pożywienie dla piskląt. Odpędziwszy prześladowców zarzuciła wiązkę na plecy i znikła w podszyciu leśnym.

Szliśmy dłuższy czas w milczeniu, popychając przed sobą rowery, dopiero gdy nam się drogi rozchodziły, leśniczy powiedział:

— Takie tu mamy życie. Złodziej na złodzieju, zupełny upadek moralny! Słyszał pan, żądają prawa do kradzieży.

— Cóż — odpowiadam cicho — jeżeli biedne matki muszą kraść, to wina prawodawstwa. Trzeba zmienić prawo podstawowe.

— Zmienić konstytucję? — pyta inżynier naiwnie; a była to jeszcze ta „demokratyczna", marcowa.

— Wydziedziczyć wyzyskiwaczy, a zniknie jednocześnie przyczyna i przykład — odpowiadam spokojnie.

— Aa! — domyślił się moralista i stracił do mnie wszelkie zaufanie.

*

Tak jakoś po miesiącu czekam w Żarnowie na lekarstwo razem z kilkorgiem obywatelstwa. Właścicielka apteki, farmaceutka Amela Lebiodkowska, zażywna pięćdziesięcioletnia dama, wzywa po odbiór roztworu:

IRENA KRZYWICKA

W dniu 1 maja 1890 roku

(Fragment powieści pt. „Siew przyszłości")

Rankiem pierwszego maja kupiec Alojzy Malinowski wyszedł do sklepu, ucałowawszy jak zwykle rękę matki, a potem żony i jeszcze w przedpokoju, na dodatek, ze smakiem oba policzki Hesi. Hesia, różowa i szczęśliwa, zabrała się do karmienia dziecka pod gradem gderliwych, zrzędnych uwag świekry, mających na celu wykazanie, że synowa jest do niczego i że Alojzy miał chyba źle w głowie, że się z nią ożenił. Hesia jednak te docinki znosiła pogodnie, pewna bowiem była miłości Alojzego, własnego, niczym niewzruszonego, jak skała, szczęścia, dobrobytu i bezpieczeństwa. W pół godziny po wyjściu Malinowskiego wpadła do pokoju służąca z wrzaskiem:

— Proszę paniów, proszę paniów, rozruchy w mieście, ludzie nie pracują, robotniki chodzom po ulicach, sklepiczarka sklep zamyka i maglarka także samo.

Odpowiedział jej głośny lament obu pań.

— Marcyśka — wołała Hesia — leć do pana do sklepu, niech wraca, niech też zamyka. Matko przenajświętsza, po co go puściłam?

— A bo ty zawsze taka, zazgrzytała świekra, czy ty do czego jesteś zdatna. Puszczać męża, a tam Bóg wie co. Skaranie boskie z taką synową!

— Leć, Marcysiu, leć — wołała Hesia, stojąc pośrodku pokoju w matince i halce — leć, moja złociutka!

— Żeby mnie te robotniki zabili? — wrzasnęła Marcyśka. — Kto jeich wie, co za jedne. Nie pójdę!

— Jak śmiesz, ty suko... — zaczęła z góry stara pani Malinowska, stukając kijkiem.

Ale Hesia wyprowadziła już Marcysię z pokoju i przymilając się do niej mówiła:

— Czego ty się masz robotników bać, Marcysia? Włożysz chustkę, będą i o tobie myśleć, żeś robotnica. Ja to co innego.

— Ale! — powiedziała wyzywająco Marcysia. — To znów policjanty do mnie strzelać będą. Nie pójdę!

Rankiem pierwszego maja Wicek Walenciak pomógł się ubrać ojcu, który z trudem zwlókł się z łóżka, ogolił go, przystrzygł mu włosy. Stary kaszlał bardzo i starał się nie pluć, żeby syn nie zobaczył krwi. Ze słabości i ze szczęścia drżał tak mocno, że już wychodząc z domu musiał na chwilę przysiąść na stołku. Ale wyczytawszy w oczach syna słowa: „A może byś lepiej został", zerwał się znowu i prawie pewnym krokiem ruszył do drzwi. W tej chwili wszedł jednoręki Brzózka i zawołał wesoło:

— No co, towarzysze, udał się dzień. Słońce, pogoda, a ludzie spacerują se po ulicach. Święto. Idziem i my czy jak?

— Co nie mamy iść? — odparł z cichym kaszlącym śmiechem Walenciak. — Że też jeszcze przydarzyło mi się takiego dnia dożyć.

— Nie takiego jeszcze dożyjecie! Co, Wicek? Widać, żeś oniemiał z tego wszystkiego.

— Ale, oniemiał! Będę gadał, ale nie tu. Wy z ojcem posiedźcie w bramie, a ja polecę, gdzie na mnie czekają — odparł Wicek radośnie, biorąc ojca pod rękę.

— Moja kobita — powiedział Brzózka — na podwórku czeka. A jakby co, Walenciak, to trzymajcie się mego kikuta. Bo Wicek to młody i głupi, poleci i nic wiadomo kiedy wróci. No, ludu roboczy, jak iść, to iść!

Rankiem pierwszego maja jeszcze zanim słońce zajrzało na poddasze, Anka, Stolarkowa i Janek Radoń zerwali się po gorączkowo przespanej nocy. Janek kilka razy w nocy podbiegał do okna i patrzał na ulicę, jakby spodziewał się tam zobaczyć coś niezwykłego. Ulica jednak spała, patrole tylko chodziły gęsto. O świcie wszyscy troje wstali, ale dnia mieli dużo przed sobą, a nie potrafili się wziąć do żadnej roboty. Martyna tylko jak zwykle musiała poobrządzać dzieciaki i chorego. Anka siedziała przy Leosiu i pocieszała go, gładząc po głowie. Chłopiec płakał gorzko, z głową wtuloną w poduszki. Pierwszy chyba raz w życiu poczuł tak dotkliwie, tak boleśnie swój bezwład. Co by dał za to, żeby pójść na ulicę, popatrzeć.

Janka aż rozpierało. Zaczął rąbać drzewo, ale zawstydził się, że przy takim święcie... Choć jak dla siebie, nie dla kapitalisty, to może wolno. W końcu jednak rzucił siekierę. Wrócił do domu, przestawił łóżko z Leosiem pod okno, żeby brat widział ulicę, ale nie mógł usiedzieć w izbie i znów wybiegł na podwórko, potem wyjrzał na Wolską i znów wrócił. Wszyscy robotnicy mieszkający w tym domu stali grupkami na podwórzu i rozmawiali. Była mowa nade wszystko o tym, żeby zachować spokój, nie dać się sprowokować policji ani jakim łobuzom.

— Niech widzi burżuazja robotnicze święto! Jeszcze takiej rzeczy nie oglądała.

— Niech nas policzy, psiakrew!

— Ale, będą z roboty wyrzucać, jak kto dziś nie przyjdzie.

— Jak wszyscy nie przyjdą, to wszystkich nie wyrzucą.

— Głupiś? Mało to będzie takich, co do roboty przyjdzie?

— A takich to niech cholera!

—Strzelać będą!

— Niech strzelają, co to, mamy się zlęknąć?

— Za co mają strzelać? Za święto?

— Albo my się będziem bać burżuazji, albo ona nas, inaczej nie może być.

Janka roznosiła radość. Taki dzień! Taki dzień! O, jak to mądrze towarzysze wymyślili: tylko dla robotników święto, tylko nasze własne! Nie te kościelne, wspólne z panami, co to człowiek, jak głupi był, tłoczył się w kościele, ale z tyłu, w ścisku, a panowie siedzieli w pięknych ławkach, na przodzie, przy ołtarzu, przy księdzu, prawie na głowę Panu Bogu wleźli, a potem z szumem, w jedwabiach do karet, do powozów. Ich to były święta, nie nasze. A teraz my mamy swoje święto, a im to wara! Dawniej my patrzyli na nich, jakie bogate, jakie mocne, jak się rozpierają, a dziś znów niech oni popatrzą na nas. Kogo więcej? Kto mocniejszy? A to dopiero pierwszy raz. Co będzie za lat dziesięć? Za pięćdziesiąt? Wtedy to my popatrzymy na nich, dobrze popatrzymy. O rany, że na mnie przyszedł taki dzień!

Rankiem pierwszego maja młoda gwiazda polskiego przemysłu, Gustaw Marten, nie zważając na zaklęcia żony i na wskazania zdrowego rozsądku, wsiadł do powozu i kazał się wieźć do fabryki. Chciał sam sprawdzić na miejscu, kto stawił się do pracy, a kto nie przyszedł. Z nygusami i próżniakami miał zamiar rozprawić się surowo i raz na zawsze wybić swoim robotnikom z głowy jakieś dzikie pomysły świętowania w dzień powszedni i ulegania podszeptom wichrzycieli. Nie bał się, wierzył mocno w opiekę kozackich bagnetów, dzielnej policji i nieustraszonych żandarmów. Był odważny, nie lękał się rozpasanej tłuszczy. Jechał tedy rozparty na poduszkach powozu przez opustoszałe ulice, o pozamykanych w znacznej ilości sklepach. Na Królewskiej, Chłodnej, mijały go grupy i grupki robotników idące spokojnie i w skupieniu, w odświętnych ubraniach. Naprawdę nie było czego się lękać, strach któremu uległa cała Warszawa miał wielkie oczy, kilkudziesięciu, czy może nawet paruset robotników zwolniło się z pracy, upiją się i będzie spokój. Naprawdę nie ma o czym mówić. Trochę spadnie kar i raz na zawsze robotnikom wybije się te igraszki z głowy.

Na Lesznie jednak stawało się coraz tłumniej. Co pewien czas przejeżdżały patrole. Ale gdy przejechały, tłum na chodnikach gęstniał i nawet przelewał się na jezdnie.

— Może zjechać gdzie w bok, jaśnie panie? — zapytał stangret, przekręcając się na koźle.

— Ani mowy! Jedź prosto.

— Kiedy ciężko, jaśnie panie

— To nic, mówię ci, jedź prosto. Przed końmi ustąpią.

Teraz już liczna gromada waliła jezdnią. Szli bezładnie, zajmując całą szerokość ulicy. Gdzieniegdzie stójkowy zasłaniał drogę własnymi rękami i krzyczał: „Razojdiś!" Śmieli się i szli dalej. Gromada była spokojna, to rzedła, to gęstniała, rozpędzać jej nie było właściwie powodu. Nikt się zresztą nie spodziewał aż takiego zbiegowiska. Konie Gustawa szły coraz wolniej przeciwko prądowi, wreszcie stanęły. Fala ludzka zalała powóz dokoła, oblepiła go niejako i popłynęła dalej. Gustawowi zrobiło się nijako wśród tej rzeki, wśród wrogich spojrzeń i bezczelnych uśmiechów, którymi chłostali go przechodzący. Stangret przerażony zeskoczył z kozła i wsiąkł gdzieś w tłum. Konie zaczęły się niepokoić, strzyc uszami, parskać! Gustaw musiał zerwać się z siedzenia i chwycić za lejce. Kiedy szamotał się z końmi, samotny wśród wciąż rosnącej rzeki ludzkiej, niby podczas straszliwego przypływu, cylinder spadł mu z głowy i potoczył się na dno powozu. Gruchnął śmiech szyderczy. Gustaw stał w powozie i mocował się z końmi. Skąd tu tylu ludzi, gdzie policja? Nagle gdzieś załopotała czerwona wstęga i znikła. Uragowisko jakieś, czy co? Na ciało Gustawa począł zwolna występować chłodny, lepki pot. Nagle jedna z dalszych grup zakołysała się od pieśni, od zakazanej, burzliwej pieśni. Gustaw stał w powozie, jak na wyspie, jak na śliskiej krze pośród spienionej powodzi. Co robić, co robić? Najstraszliwsza samotność, samotność wśród ludzi, zatkała mu nagłym strachem gardło. Nagle puścił lejce i skulił się w rogu powozu. Gdzie policja, gdzie żandarmi? Dławił go strach i wściekłość. Nie patrzeć w te robotnicze oczy. Uciekać!

Irena Krzywicka

K A

— Józef Kwarciński! — Gdy się nikt nie zgłasza, powtarza głośniej: — Józef Kwarciński, no, kto tam?

— To ja, proszę pani, dla najmłodszego, dla Józia! Myślałam, że dla kogo innego — tłumaczyła się kobieta, zagłodzona lecz schludnie odziana, wysypując na stół apteczny całą zawartość supła.

Aptekarka liczy nikiel i stwierdziwszy brak dziesięciu groszy odsuwa pieniądze z grymasem niesmaku.

Matka spojrzała na nas z rozpaczą, jakby wzywała o pomoc. Poznałem w niej leśną „złodziejkę".

— Proszę pani, oddam jutro. Doktór powiedział...

— Wydam po zapłaceniu.

— Proszę łaski pani, doktór...

— Tu apteka, nie targ, nie mam czasu — rzekła zażywna dama i spokojnie przestawiła lek ze stołu na półkę. Zbiedzona matka zamarła i dopiero po dłuższej chwili zapytała hamując oburzenie:

— To b e z te dziesięć groszy ma człowiek umrzeć?!

— A tak — odpowiada spokojnie magister Lebiodkowska, dama zażywna, z czterema tysiącami miesięcznego dochodu (rok 1934!) — jak kto nie ma dziesięciu groszy, może umrzeć. Taki świat.

*

Po osiemnastu latach, w roku 1951, w sierpniu, na tym samym dąbrowianym dukcie, tylko już bez starych dębów (wycięli je hitlerowcy) spotkałem znowu Matkę. Tak samo smagła, z ostrymi rysami oblicza, tylko przyschła nieco i jeszcze bardziej zlewała się z niebieskoszarym tłem dębowego zagajnika. Podjechałem po mchu, bezszelestnie, zeskoczyłem z rowera:

— Dzień dobry!

Matka wytrzeszczyła na mnie okrągłe, piwne oczy.

— Jak tam pani chłopcy?

Jeszcze większe zdziwienie.

— Skąd mnie pan zna? — sposępniała, zaszkliły się jej oczy.

— Byłem świadkiem, tu niedaleko, wojny pani z leśniczym Frankowskim.

Uśmiechnęła się wąsko, prawie boleśnie.

— Jak się pani powodzi?

— Pan tutejszy? — spojrzała na mnie badawczo, podejrzliwie, niepewna, czy warto ze mną mówić.

— Jestem Rudnicki z Sulejowa.

— Aa, ten cieśla, co zmarł, to pana brat?

Potwierdzam. Matka spojrzała na mnie przyjaźnie, lecz jeszcze bardziej posmutniała:

— Nieszczęście, panie. Ten najmłodszy, Józio, umarł mi na gardło...

— Jak to? — przerywam pytaniem — przecież lekarstwo pani wtedy otrzymała. — Kwarcińska spojrzała na mnie z obawą:

— Takie widać beło przeznaczenie. Zachorował mi i umarł.

Matka patrzyła w pustą przestrzeń, utonęła w bolesnych wspomnieniach.

— A co robią pozostali? — pytam natrętnie.

— Och, panie! Najstarszego, Ignaca zabiły Masłochy (młynarze spod Rudy Halinieckiej, NSZ-owcy), Michała rozstrzelały Nimce... — posuchym obliczu Matki potoczyły się grube łzy, ja staram się patrzeć na czubki dębów, drżę o los pozostałych. — Antoś — otarła łzy — jest oficerem w Łodzi - mieście. Postrzeliły go też, złodzieje, ale niezdradliwie, ożenił się, mom wnuczka. Maniek uczy się na niziniera w Gliwicach.

Odetchnąłem. Wielkie ofiary i wielkie zwycięstwo. Patrzę na bohaterską Matkę — „złodziejkę" w Polsce przedrewolucyjnej. Ma koło sześćdziesiątki, lecz krzepka w zasuszeniu.

— A jak się pani powodzi? Jesteśmy na swoim?

— Byłam pół roku u nich, nawet się synowa gniewa... Nie mogę w Łodzi- mieście... Tu zginął Ignac, tu wzini Michała — opanowała wzruszenie. — Niewiele mi potrzeba przy tym lesie...

— Syn pomaga...

— Jo jeszcze sama na siebie zarobię. Dostałam zapomogę za tych najstarszych...

— Ma pani własną chałupę?

— Własną. Teraz każdy jak we własnej. Nie gorzy mi jak gospodarzowi, a gruntu, ile oczy napatrzą, oo — zakreśliła ręką koło pokazując las i pola jaśniejące w końcu duktu jak w lunecie — jezdym na swoim. Nie tylko jo, cały naród — odetchnęła. — Matko Bosko, jakie to umęczenie ludzie znosili przy zbieraniu suszyzny, jagód, grzybów, ile to pomstowania, bicia, ile chłopów poszło do więzienia. Trzech gajowych zabili. A dziś cały las ludzi, sami od szkoły odganiamy — popatrzyła ze smutkiem w głąb młodej dąbrowy. — Moje chłopoki nie doczekały... Żeby Józio dożył, to by mi nie umarł. Inne czasy dla narodu. Stary dochtór nie rządzi, jest dwóch młodych, Lebiodkowskiej zabrali apteke, nie dmucho. Co to też beły ślachta — dziedzice! Pospadały im brzuchy.

Matka mając przed oczami piękną teraźniejszość i jeszcze piękniejszą przyszłość swych pozostałych synów i wnuka, spojrzała na mnie pogodnie:

— A widziało się — koniec świata.

— To pani z synami uratowała świat od zagłady — odpowiadam cicho i na myśl o tysiącach podobnych matek - bohaterek odczuwam żywą falę serdecznego ciepła, które szczególnie uszczęśliwia.

— Mamy jeszcze wiele do zrobienia— mówię radośnie do babuni Kwarcińskiej, niewiele młodszej ode mnie i — jak się okazało — czynnej towarzyszki koła gromadzkiego — mamy dużo do zrobienia, ale damy sobie radę, tym bardziej, że niedługo pomogą nam wnuki...

—Ii, panie, mam tylko jedną Kruszynkę — oponuje Kwarcińska i żywy błysk radości w jej oczach gaśnie.

— Panie, żeby żył Ignac, Michał... Michał... Zdrowy naród — urywa smutnie.

— Cóż robić, babuniu, synowie zginęli w zwycięskiej walce o prawo i życie wszystkich pracujących i będą żyć w ich sercach i pamięci wiecznie. A co do wnuczków — Kwarcińska spojrzała na mnie z ożywieniem — to zasłużyła sobie pani na miano babci wszystkich dzieci w Polsce.

W oddali, na dukcie zaterkotała linijka leśniczego. Kwarcińska odruchowo chwyciła kosz z grzybami i skryła się w gąszczu leszczyny. Szedłem za nią z uśmiechem. Zrozumiała.

— Stare przyzwyczajenie straszy — tłumaczy się towarzyszka i dodaje, patrząc w stronę, skąd dobiega turkot. — Ma i on nie letkie życie, ale to już zupełnie coś innego. Frankoski ścigał naród a ten ściga złodziei narodu. O, są jeszcze nocne kupce, ale ich coraz mniej, bo naród coraz mądrzejszy.

Babcia Kwarcińska spieszyła dokończyć polowania na stojaki w brzezinach, ja chciałem pomówić z nowym leśniczym o walce z leśnymi wrogami. Na pożegnanie uścisnęliśmy sobie dłonie serdeczniej niż brat z siostrą.

Dziś, gdy dyskutujemy o nowej Konstytucji, żywo widzę te trzy spotkania z matką - bohaterką, jedną z milionów, którą w Polsce panów zrobiono „złodziejką", a która zasługuje na najwyższe odznaczenie.

O czym mówi nowa Konstytucja napisana pod przewodnictwem towarzysza Bolesława Bieruta?

Mówi, że cała piękna ziemia polska, jej wspaniałe góry i rozległe lasy, jej bogate głębie kopalniane i tętniące energią fabryki, szkoły wiejskie i uniwersytety, przestały być mordownią i stają się coraz większą radością życia.

Lud polski zdobył ojczyznę, objął w niej władzę i stał się gospodarzem całego majątku narodowego.

Nowa Konstytucja jest wyrazem zwycięstwa ludu i jego obowiązków. Z młotem i pługiem lub karabinem i sterem samolotu w rękach budujemy piękną dzisiaj i coraz wspanialszą przyszłość.

Lucjan Rudnicki

Opowiadanie niniejsze ukaże się wkrótce, wydane oddzielnie, nakładem wyd. „Nasza Księgarnia".

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Z POEMATU „DOBRZE"

Wysławiać
nie będę
dla rymu
ni z musu
wszystkiego,
cokolwiek robimy.
Ja
pół ojczyzny
z ziemi bym zniósł,
a pół —
odbudował
i wymył.
Jam z tych,
co ze starym
bój poszli wieść
w gorączce
dnia
nieustannej.
Ojczyznę
sławię
tę, która jest,
lecz trzykroć —
tę, co powstanie.
Ja lubię
nasze plany-olbrzymy,
rozmachu
kroki milowe.
Raduję się
z marszu,
w którym kroczymy
na bitwy
i na budowę.
I widzę —
gdzie śmietnik dzisiaj zalega,
gdzie ugór tylko
i kamień,
na sążeń widzę w głąb,
jak spod niego
komuna
strzela
domami.
I niknie
ufność
do darów bożych
wraz z siana ponurą kopą
i już niedługo
traktor przeorze
szczerstwiałe serca
chłopów.
A plany,
którym ciemnota
przegrody
stawiała
na stacjach mózgów,
dziś
wyrastają
z błękitnej pogody
żelbetonową muzyką.
I —
jak wiosnę ludzkiego rodu,
powstałą
w trudach i w boju,
sławię
ojczyznę młodą,
republikę moją!

Przełożył **Artur Sandauer**

JADWIGA ŻYLIŃSKA

E G Z A M I N

Spawaczkom z Warsztatów Wagonowych w Ostrowie Wlk. poświęcam.

Imię miała dość osobliwe — Donata — po dziadku „sadowym", jak nazywano w tamtych stronach człowieka, który dzierżawił sady i drzewa owocowe, rosnące wzdłuż pięknych, niby aleje, szos Wielkopolski. A nazwisko miała jeszcze osobliwsze — Patrzylas — choć ludziom w Przygodzicach, od lat przywykłym do Patrzylasów, nie wydawało się ono zgoła cudaczne.

Od najmłodszych lat — a ściśle mówiąc od czasu owego tragicznego wypadku, który zdarzył się jej ojcu — ciągle słyszała naokoło siebie utyskiwania, że nie jest chłopcem.

Słyszała to w różnych wariantach: tonem goryczy, ubolewania, współczucia. Może to właśnie wyrobiło w niej pewną skrytość i zawziętość, choć kto wie, może była skryta i małomówna z natury.

— Małe to, a takie zjadliwe — istna diablica—dziwowała się babka, a zręczne do wszystkiego. Z ciebie powinien być chłopak. Byłaby z ciebie pociecha.

Donata ciskała w stronę babki złowrogie, ukośne spojrzenie i czerwieniła się ze złości, tylko jej ta blizna, którą miała na twarzy bielała. Jako dziecko rozcięła sobie policzek kawałkiem szkła wtedy, kiedy matka zaczęła pracować w ogrodach fabrycznych. Stało się to częściowo przez niedopatrzenie babki, dlatego tym więcej babka nie znosiła trójkątnej, wąskiej jak pyszczek łasicy twarzy Donaty, przeciętej białą szramą na policzku.

Ojciec Donaty, Ludwik, pracował swego czasu na kolei, a kiedy w pobliskim mieście powiatowym jakaś Spółka Akcyjna przystąpiła do budowy Fabryki Wagonów, zgłosił się jeden z pierwszych do roboty. Ludwik Patrzylas uwielbiał bowiem maszyny i marzył o tym, żeby kiedyś, gdy fabryka będzie już zbudowana, nie dźwigać worów cementu, wapna i cegły, a obsługiwać maszyny.

— Albo to tobie dadzą maszynę— mówił z powątpiewaniem dziadek Patrzylas do syna. — Ciebie trzeba było uczyć na mechanika. Ale zaś skąd było wziąć pieniądze? — To mówiąc kiwał głową i ciemne ręce opierał na kolanach. — Skąd jemu wzięła się ochota do tych maszyn? — dziwiła się babka Patrzylasowa. — To z książek — wyjaśniała sama sobie — to wszystko bez to czytanie. Uważaj, żeby jakieś zgorszenie z tych książek do ciebie nie przyszło.

Ale chociaż przestrzegała syna przed złymi książkami, sama, bywało, zasłucha się, jak Ludwik zacznie opowiadać, że przyjdzie taki czas, kiedy maszyny będą wszystko za ludzi robić, a człowiek nic, tylko sobie będzie siedział i tu naciśnie guzik, tam przekręci korbę, a maszyna wszystko za niego wykona. W Ameryce już teraz tak jest. Maszyny piorą bieliznę, zmywają naczynia, ścierają kurze.

— Patrzcie ich — dziwiła się babka, a dziadek potakiwał głową:

— Pewnie — i mimo woli rozkładał ręce o palcach sztywnych i twardych jak kołki drzewa. Nie wiadomo nawet, czy by tymi kołeczkami można nacisnąć guzik, choć korbę przekręcić, czemu nie?

Wreszcie fabryka została wybudowana. Ludwik wciąż dźwigał ciężary, już teraz nie wapno i cement, a żelastwo, całe fury żelastwa ze starych wagonów, które na samym końcu terenów fabrycznych rozkładano na części, po czym zdemontowane, odsyłano do hal, podczas gdy robotnicy znosili na kupę szmelc. Ta część fabryki sąsiadowała z ogrodami, w których pracowały kobiety i tam Ludwik poznał swoją przyszłą żonę, Joannę.

Matka chciała Joannę dać na służbę, ale ona wolała pójść pracować do ogrodów fabrycznych, choć praca była cięższa i gorzej płatna, ale zawsze „człowiek był na wolności".

Joanna nade wszystko lubiła czytywać romanse, które potem w ogrodach opowiadała towarzyszkom: — Więc jak te zbóje przyszły na cmentarz, podniosły wieko trumny i łap za naszyjnik. A tu ona, nieboszczyca, siada w trumnie i oczy otwiera.

Rys. Danuta Konwicka

— Ale? — kobiety na chwilę popodnosiły głowy — to ożyła, czy co?

— W letargu była — objaśniła triumfująco Joanna. Na tym opowiadaniu przydybał ją Ludwik, gdy przyszedł napić się wody z pompy, która była w ogrodach.

Wkrótce po ślubie z Joanną zdarzyło się, że zachorował jeden z odbiorców. Ludwik zastępował go i wykazywał przy tym taką orientację, że został przeniesiony do hali, tam poduczył go trochę ślusarki Kaczmarek, sąsiad z Przygodzic. Ludwik jak tylko zaczął pracować na hali, wyprowadził się od rodziców i wynajął mieszkanie w mieście. Ciemne wprawdzie, jednoizbowe, od podwórza, ale zawsze co swoje to swoje i dla Joanny wygoda większa, choć nie można powiedzieć, żeby się ze świekrą wadziła, tyle tylko, że babka Patrzylasowa krzywym okiem patrzyła na romanse, które Joanna pożerała z wypiekami na twarzy. W rok po ślubie przyszła na świat Donata, potem jeszcze troje dzieci, Aldona, Waldemar i Ireneusz.

Tak się Ludwik rwał do tych maszyn, rwał, aż sprowadził na siebie nieszczęście. Stało się to akurat na rok przed wojną, najmłodszy Ireneusz miał trzy miesiące, kiedy Ludwikowi oczy wypaliło przy robocie. Coś eksplodowało, później nawet nie mógł sobie przypomnieć jak to było i nigdy nie wiedział na pewno z czego wybuch nastąpił i nikt mu też tego nie wyjaśnił. Parę miesięcy przeleżał w szpitalu, a jak wreszcie Joanna zjawiła się, żeby go zabrać do domu, powiedział z goryczą:

— Ani razu dzieci nie przyprowadziłaś — tęskno mi było za nimi.

— Nie mogłam dzieci z Przygodzic wozić.

— To dzieci w Przygodzicach?

— Ano, wyprowadziłam się z dziećmi do Patrzylasów.

Nie wiadomo dlaczego Joanna rodziców męża nazywała Patrzylasami, jakby w przeciwstawieniu do męża i siebie — choć przecie tak samo się nazywali.

— Jak sobie dawałaś radę? — zapytał po chwili.

— Chciałam wrócić do fabryki, nie przyjęli.

Bezrobocie — to była zmora, która bezustannie leżała na dnie ich świadomości.

Teraz, jak gdyby przypominając sobie te wszystkie lata utajonej zgrozy, Joanna wykrzyknęła:

— Bodajby cię lepiej byli zredukowali.

— Bodajbym lepiej zginął przy wybuchu — odpowiedział — ale będę miał rentę. A z czworgiem dzieci nie wiadomo, czy by cię kto wziął.

— Na pewno by nie wziął — pocieszyła go Joanna.

W drugim roku wojny Joanna została przyjęta do pracy. Niemcy rozbudowali fabrykę i sprowadzili nowe maszyny — o tym tylko słyszała od Kaczmarka, jak opowiadał wieczorem Ludwikowi, bo sama jak przedtem pracowała w ogrodach.

— A jakie maszyny? — Jakie? — dopytywał Ludwik.

— Teraz przywieźli jedną frezarkę ze Śląska, powiadam ci choroba taka, że nie można jej roboty nastarczyć, czasem bezczynnie stoi. Teraz, bracie, to być nie poznał fabryki, przy drzewie pobudowali basen sztuczny, od pożaru. Furt budują. Wiadomo — transport. Alle Räder müssen nach den Sieg rollen.

Gadali jeszcze o tym i owym. O Thomasie, dawnym kierowniku narzędziowni, że pracuje w Poznaniu, w fabryce samolotów, o Kurpiszu, że pisał z General Gouvernement, czyli jak tu mówili z Guberni.

— A wujowi Śliwińskiemu (Śliwińskiego, który był naczelnikiem straży pożarnej nazywali wszyscy z racji wieku wujem) to ten Szwab, co u niego mieszka, kazał króliki oprzątać. Całe stadko. Śliwiński powiada, że swojej starej „jubkę" z tych króliczych skórek zrobi, bo chyba, jak będą uciekali, to królików z sobą nie zabiorą.

— Kiedy tam będą uciekali — westchnęła Joanna. To prawda, że przy Niemcach dostała pracę, której we własnej ojczyźnie nie mogła się doprosić, ale zawsze to przecież byli wrogowie. Mało to ludzi do Oświęcimia zabrali? Kuroszczyka za komunizm, Czwojdraczkę tylko za to, jakoby w liście do Guberni napisała, że już końca nie mogą się doczekać, a Gębusa nie wiadomo za co.

Wreszcie przecież doczekali się i Thomas wrócił z powrotem do narzędziowni, przy frezarce stanął starszy Kaczmarka, Franek, i Kurpisz przyjechał z Guberni, tylko ci z Oświęcimia nie popowracali, w każdym razie nie wszyscy.

— Żebyś była chłopcem — tobyś teraz poszła do warsztatu uczniowskiego, co go Niemcy założyli — brzęczało nieustannie w uszach Donaty.

Donata miała teraz piętnaście lat. Z chudego dziecka wyrosła na chudego podlotka o trójkątnej śniadej twarzy i ciele, które miało jak gdyby tylko kontury, powleczone skórą, bez tłuszczu i soków żywotnych.

Polska władza ludowa w miejsce dawniejszego „warsztatu uczniowskiego" założyła Gimnazjum i Liceum Mechaniczne, w którym uczniowie bezpłatnie się kształcili i właśnie Kaczmarek swego młodszego, Antosia, do Gimnazjum zapisał.

— Nie tak jak za moich czasów, żebym był uczony może nie byłoby mi oczów wypaliło — mówił Ludwik, wodząc palcami po stole.

Joanna teraz nie pracowała.

Musiała się na tych ogrodach przeziębić czy co, bo wciąż kaszlała i kaszlała.

Jeszcze dopóki żył dziadek Patrzylas, mogli jako tako związać koniec z końcem, ale kiedy stary umarł, cała rodzina żyła tylko z renty Ludwika. Stale teraz jedli kapustę i kartofle.

— Śmierdzi u nich tą kiszonką — chyba ją co dzień gotują — mówił Kaczmarek, ten, którego syn pracował przy frezarce. Kaczmarkom dobrze się powodziło. I ojciec, i syn, obaj byli ślusarzami, a Franek nawet jakieś usprawnienie zrobił, za które osobno dostał. Gębus wprawdzie twierdził, że całe to usprawnienie wziął i odpisał z książki jednej, co po Niemcach została, ale nikt Gębusowi nie wierzył.

Wiadomo jaki on był. Nie darmo Gębus się nazywał — zawsze na przekór innym gadał.

Teraz Kaczmarek przyszedł do Patrzylasów z ważną miną i ofiarował się, że Donatę do fabryki zaproteguje. Jak powiedział, tak zrobił. Co prawda nie była to żadna szczególna łaska, bo o robotę nie było trudno. Nawet stare baby brali, wciąż rąk było mało i mało. Donatę przydzielili nie do ogrodów, jak ongiś jej matkę, tylko do sprzątania, na halę Nr 2.

Donata nie mogła się doczekać dnia wypłat. Wreszcie przecież miesiąc się skończył i Donata pierwsze zarobione przez siebie pieniądze wyliczyła matce na stole, z przejęciem czekając, co powie.

Ale o dziwo, zamiast spodziewanego wybuchu radości, nastąpiło coś wręcz przeciwnego. Pulchna, piegowata twarz Joanny ściągnęła się, a po twarzy jej zaczęły lecieć łzy.

— Choćby ci ręce do łokci poodpadały — trajkotała — wiele przy tej mietle zarobisz. Akurat.

— Zawsze lepiej teraz niż kiedy jedna renta była — łagodził Ludwik.

Ale co on tam wiedział. Ślepy. Nie wiedział nawet, że dzieci chodzą bose i że pomizerniały, zwłaszcza Waldemar, który mocno wyrósł tego lata.

Tylko Ireneusz był pyzaty, bo śniadania i obiady dostawał w przedszkolu, a na pierwszego maja czekoladę. Żeby nie to, nawet by smaku „czekolady" nie znał. Joanna na dobre się rozszlochała.

Wieczorem Donata, która w jednym łóżku z Aldoną sypiała, długo znowu nie mogła zasnąć. Rzadko jej się to zdarzało, ale dziś naprawdę nie mogła. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa. Nie mogła darować matce tej „mietły". Sama dobrze wiedziała, że zamiata halę, nie potrzeba jej było tego wypominać. I czuła żal do ojca, za jego nieustanne: „Gdybyś była chłopcem", i do babki za pociąganie długim, cienkim nosem, jak mówiła: „Do czego to podobne żeby dziewucha w portkach latała, jak Niemka."

Babka nosiła się po wiejsku: w chustce na głowie i „jaczce". A w święta, kiedy maszerowała z bractwem różańcowym, nakładała biały koronkowy czepiec wiązany pod brodą, biały koronkowy fartuch i błękitną jaczkę.

Ale najbardziej ze wszystkich Donata nie znosiła Kaczmarków za ich współczucie. Sama pamiętała, jak młodszy Kaczmarek z usmarkanym nosem latał, który nieraz mu obcierała, kiedy kozy razem pasali. Robiła to po prostu, zwyczajnie, bez ciągłego ubolewania, że bosy, zasmarkany i obdarty. Bo prawdę mówiąc, druga żona Kaczmarka wcale o pasierbów nie dbała; dopiero jak wyrośli i sami zaczęli zarabiać, zrobili się tacy ważni i nuż nosa zadzierać.

Było to chyba drugiego roku na wiosnę, kiedy Donata zamiast wracać do domu o czwartej, zaczęła przyjeżdżać tym pociągiem, który wychodził z miasta o szóstej czterdzieści. Powiedziała, że zapisała się na jakieś kursy.

— Chyba nie na kursy dla analfabetów? — zapytała babka, która umiała być dowcipna.

Ale od Donaty niczego się nie wywiedzieli. Dopiero Gębus im powiedział, że w fabryce są kursy dla spawaczy i że Donata na nie się zapisała.

— Dla spawaczy? — zdumiał się Ludwik. — Bójcie się Boga, Gębus, przecie to nie dla kobiety.

— To dawniej tak mówili, u nas kobieta jest przodownicą, gwinciarka, robota tylko jej w palcach śmiga. To przecież lżejsza praca niż dźwigać deski, a przy drzewie kobiety zawsze pracowały.

— No, może gwinciarka, ale spawaczka? Do tego trzeba nauki.

— Właśnie Donata się uczy.

— Darmo?

— Darmo.

— Patrzcie ich!...

Ale Kaczmarek ogromnie był tym kursom Donaty przeciwny. Najpierw, że nikogo się nie poradziła i nikomu nie powiedziała, nawet jemu, który ją zaprotegował. Niech dziewczynie co się stanie, na kogo będzie? — na niego, Kaczmarka. Mało, że ojciec ślepy, teraz jeszcze córka przy spawaniu oczy sobie

(Dokończenie na str. 11-ej)

MIESIĄC PRZYJAŹNI NIEMIECKO-POLSKIEJ

SZTUKA DZISIEJSZYCH NIEMIEC

ZYGMUNT SZYMAŃSKI

DWA MECENATY

Przewodniczący zachodnio-niemieckiego związku plastyków, Otto Larsen, otrzymał ostatnio z Ameryki dwie interesujące propozycje. Mister Martin Weiss — obywatel Stanów Zjednoczonych, pochodzenia holenderskiego, 1664 Mocombs Rod. New York City 53, chciałby zakupić w Niemczech zachodnich trochę obrazów, za jego, Larsena, pośrednictwem. W rachubę wchodzą martwe natury „w stylu starych mistrzów". Sygnatury powinny być umieszczone niezbyt wyraźnie.

Jak na przyzwoitego handlarza obrazami przystało, mister Weiss precyzuje od razu swoje warunki finansowe: za obraz formatu 62×77 może on dać 60 marek, za format 51×62 — 40 marek. Ponadto jest on również gotów nabyć portrety ładnych dziewcząt. Format 31×41; cena — 20 marek. Mister Weiss miałby zapotrzebowanie na 50—60 takich obrazów w miesiącu.

„Współpracuję już z wieloma malarzami europejskimi i nawiązałem z nimi bardzo przyjemny kontakt. Z poważaniem: Martin Weiss."

Druga podobna propozycja pochodzi od mister Frederica Brotte, który czyni zakupy w imieniu firmy Madison Import Co. 689 Madison Avenue, New York 21. Mister Brotte woli landszafty z różnych okolic Niemiec (ruiny wykluczone!). Dotychczas firma jego skupywała różne drobne przedmioty mogące mieć charakter podarków. Obecnie pragnęłaby rozszerzyć swój asortyment o obrazy.

Nie umiem powiedzieć, jak przewodniczący zachodnio-niemieckiego związku plastyków odniósł się do tych propozycji. Trudno jednak byłoby się dziwić gdyby je przyjął.

W samym tylko Berlinie zachodnim wegetuje dzisiaj zastraszająca ilość blisko 8000 bezrobotnych malarzy. Kilku bardziej znanych, jak Pechstein, Hofer, czy Schmidt-Rottluf zajmuje się nauczaniem w szkołach plastycznych. Kształcą tu młodych ludzi, którzy potem będą mogli w najlepszym razie żyć tylko z tego, że innych kształcić będą na bezrobotnych.

Ostatecznie więc trzeba się oddać w opiekę mecenasowi zza oceanu, który kupuje obrazy „na metry" i prosi o niewyraźne podpisy. Amerykańskiemu Babbitowi będzie on mógł potem wkręcić obraz jakiegoś miernego malarzyny z Monachium czy Stuttgartu jako „starego Holendra". 50 marek za sztukę — to niewielkie ryzyko. A przy tym taki proceder ma swoją wiele obiecującą przeszłość. W samych Stanach Zjednoczonych znajduje się w tej chwili około 5000 „autentycznych" Corotów, chociaż ten — wyjątkowo płodny malarz — namalował zdaje się coś około 3000 płócien. Najciekawsze, że w Stanach wciąż jeszcze istnieje zapotrzebowanie na Coroty; i Coroty znajdują się nadal!

Oto odbiorcy plastyki zachodnio-niemieckiej.

Komu to ma służyć?

Wbrew przeświadczeniu niektórych malarzy zachodnich, sztuka ich spełnia rolę służebną i to bardzo określoną, polityczną rolę — jak każda nadbudowa.

Miałem niedawno w ręku katalog objazdowej wystawy sztuki abstrakcyjnej w Hesji:

„Pojęcie narodu — możemy tam przeczytać — znika w tej sztuce (abstrakcyjnej) prawie zupełnie we właściwym tego słowa znaczeniu, sztuka podnosi się tu bowiem, dzięki swej ogólnoludzkiej treści, ponad wszelkie spory; i jeżeli na polu sztuki powstają niekiedy namiętne dyskusje i gorące często różnice zdań, dzieje się to na płaszczyźnie, na której pojęcia polityczne w ogóle nie istnieją".

To jest ideologia, która odpowiada w pełni amerykańskiemu „Office of psychological warfare", to jest ideologia, służąca w najdosłowniejszym tego wyrazu znaczeniu imperializmowi amerykańskiemu, zajętemu w tej chwili usilnie tworzeniem „europejskiej" armii, w której Francuzi zapomnieć mają, iż są Francuzami, Włosi, że są Włochami, Niemcy że są Niemcami, a wszyscy mają wspólnie „po europejsku" umierać na nowych polach bitew, w obronie sakiewek międzynarodowych bankierów. Sztuka, malarstwo? — proszę bardzo, my Amerykanie nie mamy nic przeciwko sztuce, byleby była dostatecznie abstrakcyjna, byleby „znikło w niej pojęcie narodu". Namiętne dyskusje, spory artystyczne? — ile dusza zapragnie; my Amerykanie bardzo lubimy spory, byle tylko „na płaszczyźnie, na której nie istnieją pojęcia polityczne".

To co napisałem wyżej, nie jest bynajmniej tylko figurą retoryczną. Dwie trzecie budynku państwowego muzeum w Monachium, mieszczącego niegdyś jeden z najwspanialszych zbiorów malarstwa niemieckiego (i międzynarodowego), zajmuje obecnie amerykański klub oficerski. Większość bezcennych płócien spoczywa nadal, w siedem lat po wojnie, w piwnicach. Przybytek prawdziwej sztuki oddzielony jest od przybytku coca-coli i whisky zwykłym drewnianym przepierzeniem, na którym, z powodu ciasnoty, zawieszono dzieła największych mistrzów Nie jestem przesadnym estetą, ale oglądając Piotra Pawła Rubensa z jego pierwszą żoną Izabellą Brant, nie mogłem się oprzeć uczuciu niesmaku, gdy jednocześnie wdzierały się w me ucho dźwięki boogie-woogie. Politycy zaś bawarscy, którzy tak uporczywie umieją się bić z władzami amerykańskimi, gdy idzie o zarekwirowany przez nie pałacyk miejscowego nazisty, nie znaleźli tyle energii, aby wywalczyć zwrot budynku muzealnego! Oto stosunek do narodowych tradycji i narodowego malarstwa.

Na łamach nielicznych pism artystycznych w Niemczech zachodnich wolno kłócić się (i to „namiętnie") o różne metody deformowania obiektywnej rzeczywistości, ale niech tylko grupa malarzy wypowie się za jednością Niemiec, albo niech ośmieli się zgłosić swe prace na wspólną wschodnio - zachodnią wystawę (jak to miało miejsce ostatnio) — a zostaje natychmiast ochlustana kubłami pomyj przez reakcyjną prasę. Po co miesza się do polityki? Niechże pozostają „na płaszczyźnie, na której nie istnieją pojęcia polityczne".

Nie wszyscy jednak plastycy zachodnio-niemieccy godzą się według tej recepty mieszać farby na swej palecie. W tym samym Monachium znalazła się grupa odważnych malarzy, którzy pokazali niedawno niewielką ale śmiałą i wymowną wystawę pod nazwą „Ratujcie pokój". Pokazane tu płótna nie zawsze może odpowiadały w pełni hasłu wystawy, ale odzwierciedlając okropności wojny, budziły w każdym razie w mniejszym czy większym stopniu wolę walki z nią. W ciągu czterech tygodni odwiedzało wystawę dziennie 800 do 1000 osób. Mimo tego niewątpliwego i nieczęstego sukcesu, prasa poświęciła wystawie bardzo mało miejsca.

Jeżeli w Niemczech zachodnich plastyka zagoniona została, na ogół rzecz biorąc, w ślepy zaułek nędzy i bezideowości — to w wyzwolonej od imperializmu części Niemiec, w Niemieckiej Republice Demokratycznej korzysta ona z nieograniczonego poparcia materialnego i moralnego ludowego rządu. Znalazła ona tutaj nowego mecenasa — jest nim naród niemiecki.

W NRD toczyła się na całej niemal przestrzeni ubiegłego roku żywa i namiętna dyskusja artystyczna. Jej realne wyniki mogliśmy ocenić na niedawnej wystawie plastycznej w demokratycznym sektorze Berlina „Artyści tworzą dla pokoju". Plastycy ze wschodu i zachodu Niemiec nadesłali na tę wystawę ponad 2000 prac, z których, specjalnie w tym celu wyłonione, jury zaakceptowało, po żywej dyskusji, do wystawienia blisko 300 obrazów, rzeźb i grafik.

Wystawa ta spełniała swego rodzaju „zamówienie społeczne". Niemiecka Republika Demokratyczna stoi w tej chwili wobec trudnego zadania zwycięskiego przeprowadzenia imponującego planu 5-letniego, a cały naród niemiecki, na wschód i zachód od Łaby, wobec konieczności wywalczenia na pokojowej drodze jedności rozbitego kraju i zgniecenia sił reakcji, nawiązującej świadomie do najciemniejszych kart historii Niemiec: przekreślić te stronice i wydobyć na światło dzienne rewolucyjne, postępowe tradycje niemieckiego narodu — oto dodatkowe zadanie stojące przed całą demokracją niemiecką.

Wymienione wyżej zadania podejmuje również nowa plastyka NRD, jak to najlepiej pokazuje niedawna wystawa. W całym szeregu obrazów pokazane zostały właśnie zagadnienia związane bezpośrednio z produkcją, z planem 5-letnim i walką narodu niemieckiego o zjednoczenie.

Niesposób tu oczywiście wymienić wszystkich dzieł dobrych i rokujących pomyślny rozwój niemieckiemu malarstwu. Wolno jednakże stwierdzić ogólnie, że walka o zwycięstwo nowego spojrzenia na świat w plastyce niemieckiej, walka o nową twórczą i mobilizującą treść sztuki przebiega dla obozu pokoju zwycięsko.

Wszelkie potknięcia na tej drodze podpatruje i surowo osądza sam lud niemiecki. Byłem świadkiem, jak grupa młodych FDJ-owców przystanęła przed obrazem przedstawiającym wnętrze zakładu fabrycznego, w którym szereg siedzących przy długim stole robotników i robotnic montuje jakieś części. (Autorowi wydawało się zapewne, że malując taki obraz wypełnił postulaty realizmu socjalistycznego). „Przecież w tym obrazie nie widać wyraźnie ani jednej twarzy ludzkiej", po czymże poznać, że obraz ma za temat naszą, uspołecznioną fabrykę, a nie fabrykę kapitalistyczną!" — mówili między sobą młodzi ludzie. Były to niewątpliwie słuszne zarzuty, na które obraz sobie niestety zasłużył.

Jest niewątpliwą zasługą wystawców, że potrafili skupić na wystawie stosunkowo dużą ilość prac artystów zachodnio-niemieckich. Wśród 300 prac blisko 60 jest dziełem plastyków z zachodnich Niemiec i zachodniego Berlina.

Wystawa daje w całości wyraz osiągnięciom, jakie mają w dążeniu do zrozumiałej i świadomie rewolucyjnej sztuki plastycy, NRD, pracujący pod opieką ludowego rządu, w atmosferze pobudzających twórczość dyskusji, a nie w krainie gdzie sztuka jest kopciuszkiem, żywiącym mało uzasadnioną nadzieję że „odkryje" go jakiś książę z bajki.

Jasne, że walka z naciskiem wstecznych tendencji w sztuce nie jest jeszcze zakończona ani w NRD, ani też wśród postępowych malarzy Niemiec zachodnich.

Zagadnienia tej walki przełamują się w tym kraju ze szczególną ostrością. Na terenie Niemiec stykają się ze sobą o miedzę dwa ustroje społeczne, chciałoby się powiedzieć — dwa światy. Walka nowego ze starym, walka sił pokoju z siłami wojny ma też tutaj charakter wybitnie „frontowy". To co u nas, w warunkach panowania swoistej odmiany dyktatury proletariatu, ma niekiedy charakter potyczki, przeistacza się w Niemczech od razu w walną bitwę, to co u nas dojrzewa stosunkowo spokojnie — aczkolwiek nie bez walki, wystawione jest w Niemczech od razu na obstrzał reakcji, wykorzystującej każde potknięcie, każdą najmniejszą nieudolność budowniczych nowego ustroju.

Tym baczniejsza uwaga należy się zjawiskom zachodzącym w tym kraju i tym większy szacunek dla wysiłków zmierzających do ugruntowania nowego społeczeństwa i nowej, postępowej sztuki.

Walka o tę nową sztukę nie ma oczywiście charakteru „geograficznego". Toczy się ona zarówno na wschód jak i na zachód od Łaby, jeżeli jednak dla uproszczenia mówimy o Wschodzie i Zachodzie, mając przy tym na myśli pojęcia socjologiczne, klasowe a nie geograficzne — to wolno nam stwierdzić, że sztuka na zachodzie znajduje się na progu całkowitego upadku, gdyż wypełnia mniej czy więcej bezpośrednie żądania i mniej czy więcej bezpośrednie „zamówienia" mecenasów z obozu imperialistycznego. Sztuka natomiast NRD stoi na progu niespotykanego rozkwitu właśnie dlatego, że swe istnienie umie usprawiedliwić związaniem z najżywotniejszymi i najgłębszymi pragnieniami swego narodu. Plastyka zachodnio-niemiecka jest abstrakcyjna, bezprzedmiotowa, oderwana od rzeczywistości i tym samym służy obozowi wojny; sztuka NRD jest konkretna, stara się zrozumieć i odbić rzeczywistość naszych czasów i dlatego służy sprawie pokoju.

Zygmunt Szymański

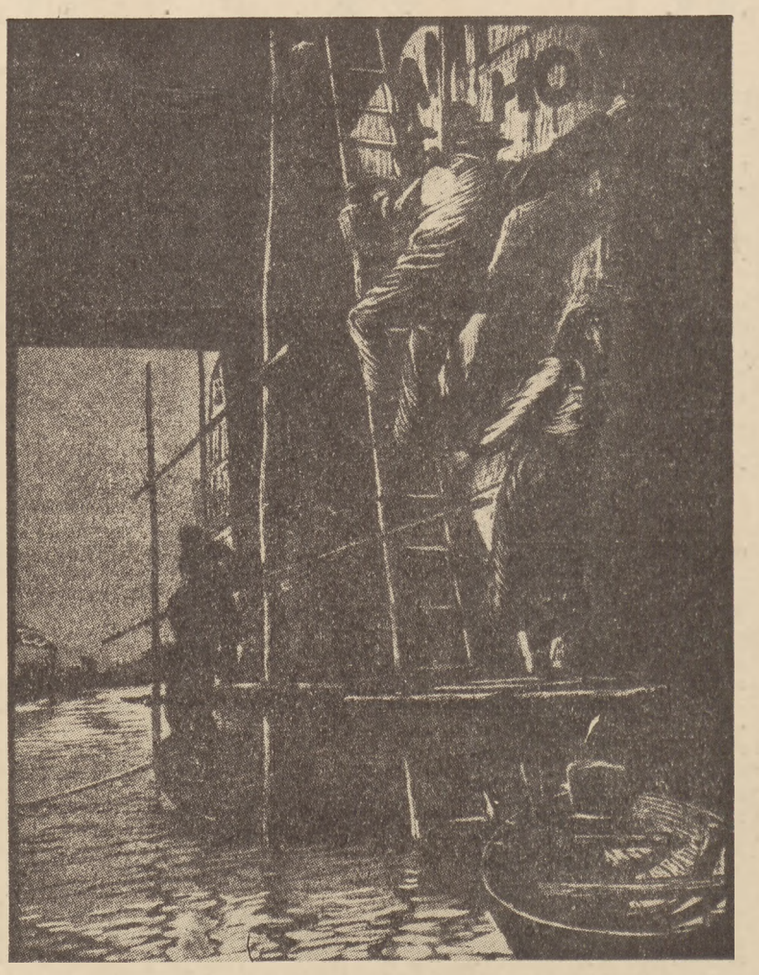

Gerd Thielemann

Ami go home

MARCELI RANICKI

Wybitne dzieło realizmu krytycznego

Arnold Zweig

W 1937 r. przebywający na wygnaniu Arnold Zweig zauważył w czasie podróży w jednym z niemieckich pism emigracyjnych krótką notatkę pod tytułem „Samobójstwo kata". „Jak dokładnie dwadzieścia lat temu (gdy powstała pierwsza myśl powieści o Griszy — przyp. M.R.) doznałem i tym razem olśnienia — pisze Zweig — iż oto mam wątek fabuły do przedstawienia przyszłego upadku „Trzeciej Rzeszy", już w samym procesie wzrastania jej potęgi". Przez trzy lata dojrzewał pomysł powieści o kacie, powieści o hitleryzmie. W 1940 r. rozpoczął Zweig bezpośrednią pracę nad tym utworem, w 1943 r. powieść „Topór z Wandsbek" *) była ukończona. Literatura światowa wzbogaciła się o znamienne dzieło, o powieść, która jest pięknym, głębokim — być może ostatnim wielkim świadectwem niemieckiego realizmu krytycznego, o powieść, która ukazując najwspanialsze cechy tej tak bogatej w literaturze niemieckiej epoki, uwidocznia jednocześnie — z zadziwiającą wręcz wyrazistością — słabość i ograniczony widnokrąg tego etapu, w istocie swej zamkniętego.

Arnold Zweig, który wyrósł w klimacie ideowym i kulturalnym ostatniego okresu epoki Wilhelma II-go, zyskał w latach republiki weimarskiej ogromną sławę przede wszystkim dzięki swej wielkiej powieści o pierwszej wojnie światowej, dzięki „Sporowi o sierżanta Griszę". Powieści Zweiga, powstałe w tym okresie, to śmiałe, ostre krytyki imperializmu niemieckiego, to sugestywny obraz ohydy ustroju burżuazyjnego. Pozycje ideowe, z których powstał w latach dwudziestych „Grisza", doskonale określił — bodajże po powrocie do Niemiec w 1948 r. — sam autor: „Byliśmy synami społeczeństwa pozbawionego politycznej świadomości. Istniejące stosunki uważaliśmy — abstrahując od tego, że tu i ówdzie można coś niecoś polepszyć — za niezmienne".

*) Arnold Zweig: „Topór z Wandsbek", powieść, autoryzowany przekład z niemieckiego Edyty Sicińskiej, część pierwsza str. 351, część druga str. 281, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951 r.

Pozycje, z których Zweig atakuje ustrój kapitalistyczny wiążą się jednocześnie z jego ówczesnymi zainteresowaniami tematycznymi: zainteresowania te skupiają się w szczególności na przedstawicielach mieszczaństwa względnie mieszczańskiej inteligencji. Tak więc ukazuje Zweig pozytywne i negatywne przemiany ideologiczne w środowisku, z którego się sam wywodzi.

Centralną postacią „Toporu z Wandsbek" jest właściciel sklepu mięsnego, rzeźnik Albert Teetjen. Historia życia Teetjena, typowego przedstawiciela szarej masy drobnomieszczaństwa niemieckiego, nie stanowi tematu książki, jest jednak nieodzowna dla zrozumienia słusznej zweigowskiej interpretacji klasowego i duchowego rodowodu znacznej części członków NSDAP.

Ojciec Teetjena przybył w okresie pozornego rozkwitu gospodarczego na początku XX wieku do Hamburga, gdzie na przedmieściu Wandsbek zakłada sklep mięsny. Dzięki uporowi i pracowitości udaje mu się osiągnąć jako taki dobrobyt. Syn jego, Albert Teetjen, bohater powieści, przejmuje sklep po śmierci ojca. Ale w republice weimarskiej sytuacja ekonomiczna pogarsza się z roku na rok. Teetjen walczy o utrzymanie pozycji drobnomieszczańskiej, z trudem zdobytej przez jego ojca. Boryka się stale z trudnościami materialnymi, jest niezadowolony ze stanu panującego w republice, staje się podatnym gruntem dla hitlerowskiej propagandy. Ponieważ w programie NSDAP znajduje postulat likwidacji domów towarowych, stanowiących groźne niebezpieczeństwa dla drobnego handlu, wiąże swoje nadzieje ze zwycięstwem faszyzmu w Niemczech.

Teetjen widzący w 1937 r. przed sobą ruinę gospodarczą i szukający wyjścia z groźnej sytuacji — oto początek powieści, punkt wyjściowy fabuły Zweiga. Teetjen zwraca się o pomoc do miejscowego dygnitarza hitlerowskiego, Footha, którego zna ze wspólnej służby wojskowej w pierwszej wojnie światowej. Footh proponuje Teetjenowi, by zastąpił chorego kata przy egzekucji czterech skazanych na śmierć antyfaszystów. Do przezwyciężenia skrupułów Teetjena przyczynia się zarówno obfite honorarium jak i frazeologia Footha, sugestywnie klarującego rzeźnikowi przy kieliszku, jak wielki spełni obowiązek patriotyczny wykonując wyrok na czterech „zbrodniarzach". Teetjen ścina głowy skazanych bojowników. Wieść o „ubocznym dochodzie" rzeźnika szybko rozchodzi się w całej dzielnicy. Klienci bojkotują sklep Teetjena. Osamotniony i otoczony nienawiścią społeczeństwa Teetjen popełnia samobójstwo. — Oto podstawowy wątek „Toporu z Wandsbek".

Powieść Zweiga daje na szeroką skalę zakrojoną, głęboką i jakże trafną analizę psychologiczną postawy niemieckiego drobnomieszczaństwa i niemieckiej inteligencji burżuazyjnej wobec hitleryzmu. Pod tym względem osiąga sztuka pisarska Zweiga najwyższe szczyty, jakie zna historia niemieckiego realizmu. Teetjen ukazany jest przez Zweiga jako człowiek w gruncie rzeczy nieszkodliwy, który jako produkt wychowania Niemiec kajzerowskich, a później faszyzmu — staje się narzędziem zbrodni, staje się katem. Teetjen — czytamy w powieści — „to człowiek przeciętny, pospolicie przeciętny, ot — pierwszy lepszy spośród milionów zwolenników partii. Tacy jak on dostawali kiedyś porządne cięgi w domu i w szkole i dlatego wyładowywali teraz swoją wściekłość na tych, którzy nawoływali do buntu, do zaniechania uległości, którzy ukazywali drogi do godności ludzkiej, do wolności". Toteż Zweig nie oskarża, nie sądzi Teetjena, a widzi w nim jednego z tych, którzy kroczyli „za swoimi panującymi, winni i bez winy, drogą wiodącą w przepaść".

Podstawę burżuazyjnej inteligencji wobec hitleryzmu analizuje Zweig także na przykładzie lekarki Käte Neumeier. Była ona niegdyś związana z ruchem robotniczym, ale z rewolucyjnych ideałów młodości nic nie pozostało. Małżeństwo z Koldeweyem, dyrektorem więzienia, to logiczna już konsekwencja jej postawy życiowej, całkowitej uległości pseudopostępowej inteligencji burżuazyjnej wobec reżimu Hitlera.

Dając analizę drobnomieszczaństwa i burżuazji niemieckiej w epoce faszyzmu, Zweig poza te warstwy społeczne nie wykracza. Autor wprawdzie wyczuwa potęgę proletariatu, potęgę tych sił, które jedyne zdolne będą do budowy nowych Niemiec („My znowu przyjdziemy" — mówi komunista Timme na szafocie) — niemniej jednak rola niemieckiej klasy robotniczej w okresie hitlerowskiej dyktatury nie jest w nakreślonym przez Zweiga obrazie dostatecznie uwzględniona. Czynny opór przeciw hitleryzmowi, bohaterska walka niemieckich antyfaszystów nie znajdują w książce żadnego odbicia. O ile w ogóle na przestrzeni tej rozległej, ponad 600 stron obejmującej powieści znajdziemy przedstawicieli klasy robotniczej, są to postacie jedynie epizodyczne, blade i nietypowe — w jaskrawym przeciwieństwie do bogatej galerii z mistrzowskim kunsztem realistycznego pisarstwa stworzonych sylwetek ze świata burżuazyjnego i drobnomieszczańskiego.

Czterej antyfaszyści, których głowy ścina Teetjen, powinni uosabiać antyfaszystowski ruch oporu. Spośród nich największe zainteresowanie autora wzbudza księgarz Mengers, intelektualista o nieco romantycznym zabarwieniu. Robotnicy Schröder i Merzenich — to schematy pozbawione rysów indywidualnych. W powieści znajdujemy jeszcze jednego antyfaszystę: — nieszczęśliwego Toma Barfeya, samotnego kalekę, postać niewątpliwie ciekawą i wzruszającą, ale niecharakterystyczną, nietypową i stanowiącą właściwie jedynie oryginalny eksperyment literacki na marginesie wielkiego obrazu.

Mimo wszystko ostateczny wydźwięk powieści nie jest pesymistyczny. Świadczy o tym epilog zatytułowany „Zmartwychwstanie". Bezpośrednio przed wybuchem drugiej wojny światowej zawijają do portu hamburskiego cztery radzieckie okręty, które zdobią nazwiska czterech zamordowanych antyfaszystów. Te cztery okręty są nie tylko symbolem nieśmiertelności czterech bojowników; są one także symbolem ostoi wszystkich walczących o postęp i wyzwolenie: Związku Radzieckiego, kraju zwycięskiego proletariatu.

W powieściach niemieckich o hitleryzmie zaobserwować można zetknięcie się dwóch etapów literatury: mijającego etapu realizmu krytycznego i rodzącego się nowego etapu realizmu socjalistycznego. Pierwszy etap reprezentuje plejada pisarzy, których sławę światową ugruntowały powieści ukazujące upadek burżuazji w epoce imperializmu. Pisarze ci — wymienimy tu nazwiska najsławniejszych, a więc Tomasza Manna, Henryka Manna, Arnolda Zweiga, Liona Feuchtwangera i Bernarda Kellermanna — dali trafną, głęboką krytykę ustroju kapitalistycznego, ale jest to krytyka wychodząca z pozycji ideowych wytworzonych przez ten ustrój i tym samym ograniczona ściśle określonym, burżuazyjnym horyzontem ideologicznym, jest to obraz klasy społecznej, z której pisarze ci się wywodzą, przez którą zostali wychowani.

Powieści o epoce hitleryzmu są przypuszczalnie ostatnimi wielkimi dziełami niemieckiego realizmu krytycznego. Ale epoka brunatnej dyktatury jest także tematyką pierwszych znamiennych utworów powieściowych tych pisarzy niemieckich, którzy wychodząc z pozycji ideowych niemieckiego ruchu rewolucyjnego postawili pierwsze kroki na nowej drodze literatury niemieckiej: na drodze realizmu socjalistycznego. Pisarze ci — wymienimy tu przede wszystkim Annę Seghers i Willego Bredla — skupiają swoją uwagę, swój wysiłek artystyczny na tych siłach społecznych w narodzie niemieckim, które — jako jedyne — w mrokach hitlerowskiej nocy przeciwstawiły się brunatnemu barbarzyństwu rokując już wówczas budowę nowych, demokratycznych Niemiec: na walczący w podziemiu niemiecki ruch robotniczy kierowany przez jego przodujący oddział, Komunistyczną Partię Niemiec.

Powyższe wywody nie mają na celu uszczuplenia roli Arnolda Zweiga, jednego z najwybitniejszych pisarzy niemieckich pierwszej połowy dwudziestego wieku, nieugiętego bojownika o pokój i postęp, budującego dziś wraz z najlepszą częścią narodu niemieckiego nową, wolną ojczyznę, nie mają na celu umniejszenia znaczenia jego powieści „Topór z Wandsbek". Usiłują jedynie określić w sposób możliwie jasny granice artystyczno-ideologiczne niemieckiego realizmu krytycznego, usiłują właściwie zaklasyfikować powieść, która pozostanie w literaturze światowej jednym z najbardziej znamiennych dokumentów artystycznych naszej epoki.

Przekład polski „Toporu z Wandsbek" był zadaniem szczególnie trudnym i odpowiedzialnym. Ogromne bogactwo i rozległa skala barw języka, świetne jego zróżniczkowanie zarówno w opisach jak i w dialogach, wielka ilość aluzji do najprzeróżniejszych epok historii, literatury, filozofii i muzyki wymagały powierzenia tego przekładu najbardziej utalentowanemu spośród naszych tłumaczy z języka niemieckiego. Przekład Edyty Sicińskiej, choć niewątpliwie dokonany z dużą starannością, nie stoi niestety na wysokości zadania. Analiza tłumaczenia przekraczałaby ramy niniejszego artykułu, toteż ograniczamy się jedynie do stwierdzenia, że autorka przekładu uprościła sobie zadanie, wielokrotnie banalizując język Zweiga i odtwarzając tylko w bardzo skromnych rozmiarach tak szczególny styl oryginału. Liczne, bardzo dobrze opracowane przypisy zasługują na specjalne wyróżnienie.

Marceli Ranicki

JÓZEF KOZŁOWSKI

O twórcy rewolucyjnej „Warszawianki"

Dane, dotyczące życia i walki Święcickiego są niezwykle skąpe. Wszystko, co udało się w tej mierze ustalić, zaczerpnięte zostało z wydawnictw polskiej emigracji socjalistycznej w Szwajcarii — z czasopism „Równość", „Przedświt", zbioru pieśni pt. „Czegóż chcą?" i innych oraz ze wspomnień członków partii „Proletariat", a zwłaszcza Feliksa Kona. Wiele materiału o Święcickim znajdujemy w zbiorze materiałów pt. „Procesy polityczne w Królestwie Polskim" (Kraków 1907).

Wacław Święcicki urodził się w 1848 r. w Warszawie w rodzinie aptekarza. Studiował w Instytucie Technologicznym w Petersburgu. Instytut ten posiadał piękne tradycje demokratyczne. W murach jego studiowało wielu wybitnych rewolucjonistów. Tu kształcił się przyszły wódz proletariatu polskiego — Ludwik Waryński, wybitny rewolucjonista polski i rosyjski — Stanisław Kunicki. W Petersburskim Instytucie Technologicznym Święcicki zapoznał się z dziełami Hercena, Czernyszewskiego i Marksa. W Petersburgu wstąpił Święcicki do studenckiego koła socjalistycznego. Za udział w manifestacjach studenckich Święcicki — podobnie jak Waryński i wielu innych jego kolegów — został wydalony z Instytutu.

Po powrocie do Warszawy Święcicki otrzymuje pracę na kolei Warszawsko-Petersburskiej i jednocześnie razem z Waryńskim, Płaskowicką, Drobysz-Drobyszewskim, Hildtową i innymi zakłada pierwsze koła rewolucyjne. W okresie tym Święcicki pisze szereg płomiennych artykułów.

W 1878 r. Święcicki zostaje razem z wieloma towarzyszami walki aresztowany i osadzony w X pawilonie. Policja carska nie rozporządzała jednak dowodami, które mogłyby poważnie obciążyć Święcickiego. Oskarżono go o znajomość z aktywnym członkiem organizacji — Drobyszem-Drobyszewskim vel Umińskim, którego chcąc zatrzymać dla potrzeb organizacji w Warszawie — zarekomendował do pracy na kolei. W czasie rewizji u M. Hildta znaleziono list Święcickiego. U Mondszajna znaleziono rękopis odczytu, napisany przez Święcickiego, zaś w mieszkaniu Święcickiego znaleziono artykuł pisany kilka lat przedtem do warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego", poświęcony socjalistom niemieckim. Znaleziono ponadto list prywatny, w którym była mowa o pieniądzach; na podstawie tego listu oskarżono Święcickiego, iż pieniądze powyższe przeznaczone były na propagandę organizacyjną („Równość" Nr 10, 1880 r., Genewa). Osławiony prokurator izby sądowej, późniejszy carski minister spraw wewnętrznych — Plewe, w raporcie do „Jego Ekscelencji Ministra Sprawiedliwości" wysłanym za numerem 551 z dnia 6 kwietnia 1879 r. doniósł:

„...Co do Święcickiego, dane te wskazują na współdziałanie w sprawie propagandy nie tylko przez prace literackie lecz i na innej drodze. I tak np. śledztwo pierwiastkowe wykazało, że w celu zatrzymania Umińskiego (Drobysz-Drobyszewskiego) w Warszawie wystarał mu się o posadę na kolei, następnie uprzedził go o poszukiwaniach, prowadzonych przez urzędników korpusu żandarmskiego i przy pomocy fałszywego dokumentu otrzymał zamiast Mondszajna pieniądze, przysłane przez Hłaskę, a przeznaczone na cele propagandy". („Procesy polityczne w Królestwie Polskim").

GŁOS WIĘŹNIA

W X pawilonie Cytadeli aresztowani członkowie kół socjalistycznych nie zaprzestali działalności propagandowej. 16 stycznia 1879 roku zaczął wychodzić „Organ pierwszych więźniów spośród socjalistów polskich" — „Głos Więźnia". W skład redakcji „Głosu Więźnia" wchodzili m. in.: Józef Pławiński, Filipina Płaskowicka, Wacław Święcicki. „Głos Więźnia" — pisany rzecz jasna ręcznie — wychodził w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy. Stronę tytułową ozdabiał rysunek przedstawiający robotnika z rewolwerem i chłopa z kosą. „Głos Więźnia" posiadał 3 działy: literacki, satyryczno-humorystyczny i publicystyczny. Znaczenie „Głosu Więźnia" było duże. Kontaktował on aresztowanych z masami robotniczymi, z uwięzionymi w Krakowie towarzyszami: Waryńskim, Mendelsonem i innymi, a nawet z polską emigracją socjalistyczną w Szwajcarii. Z X pawilonu Cytadeli Warszawskiej „Głos Więźnia" szedł przez granicę do więzienia krakowskiego, a stamtąd dochodziła do X pawilonu wydawana przez Waryńskiego i towarzyszy gazetka „Zgrzyt Więźnia". Na kartkach „Głosu Więźnia" Święcicki zamieszczał swoje utwory poetyckie i satyryczne

„Pieśni pracy i walki" — strona tytułowa wydawnictwa SDPKiL z roku 1905 zawierającego na pierwszym miejscu tekst „Warszawianki".

Przed wyruszeniem na zesłanie Święcicki napisał w dniu 10 maja 1880 r. pieśń — pożegnanie pt. „Przed drogą na Sybir" śpiewaną przez więźniów na melodię: „Bracia, rocznica, więc po zwyczaju..." (wstęp do listów Święcickiego z zesłania do rodziny. Archiwum KC PZPR). Tekst tej pieśni ukazł się w 1882 r. w zbiorze poezji wydanym nakładem „Przedświtu" w Genewie pt. „Czegoż chcą?".

„Żegnaj nam, żegnaj, droga kraino,
Żegnaj nam, kraju kochany!
Niech dzisiaj jeszcze krew i łzy płyną...
Niech się upoją tyrany!!
Dziś nas, broniących ludu biednego,
Męczą wygnaniem, więzieniem,
Niech się radują z zwycięstwa swego,
Cieszą się ludu cierpieniem!...
Lecz tuż za nami idą już nowe
Za lud do walki szeregi!
Już lud podnosi zdeptaną głowę,
Morze zalewa już brzegi...
A gdy się zburzy ocean ludu,
Zadrgają masy w głębinie...
Wówczas zaginie świat pełen brudu,
I nowe życie wypłynie!...
Gdy dzień jutrzejszy do nas należy,
Jutrznia wolności gdy świta
Choć dziś żegnamy, kto w przyszłość wierzy
Wkrótce się w walce przywita...
Krew i łzy zmogą wszelkie kajdany...
Nędza i ucisk przeminą...
Tymczasem żegnaj, kraju kochany!
Żegnaj nam, biednych kraino!!

(Cytadela Warszawska, 10 maja 1880)

Śledztwo prowadzone przeciwko uwięzionym socjalistom zakończyło się zsyłką w głąb Syberii. Święcickiego, z powodu braku dowodów obciążających, potraktowano łżej i skazano na półtoraroczny pobyt w Syberii wschodniej. W rzeczywistości władze carskie przetrzymały Święcickiego na Syberii prawie trzy lata, tj. do połowy 1883 r. Pozostali oskarżeni skazani zostali na kilkuletni pobyt na wygnaniu; niektórzy z nich jak Płaskowicka, Hłasko, Pławiński i inni nie powrócili już do ojczyzny.

Zachowały się pisane z zesłania listy Święcickiego do rodziny. Spośród nich na uwagę zasługuje list, w którym opisuje pożar Krasnojarska, listy o pobycie i zgonie Jana Hłaski na zesłaniu oraz o „prawach" byłych zesłańców.

POBUDKA BOJOWA „PROLETARIATU"

W grudniu 1881 r. powraca do kraju Ludwik Waryński i rozpoczyna pracę nad założeniem partii proletariackiej. 1 września 1882 r. ukazuje się odezwa Komitetu Robotniczego proklamująca powstanie opartej na nauce Marksa-Engelsa pierwszej w Polsce SOCJALNO-REWOLUCYJNEJ PARTII „PROLETARIAT". W referacie ideologicznym na Kongresie Zjednoczeniowym Bolesław Bierut dał charakterystykę partii „Proletariat" i wskazał na jej ogromne historyczne znaczenie:

„Nie zamykając oczu na braki i słabości tej organizacji, pamiętać należy, że działalność „Proletariatu" to wspaniały i bohaterski okres budzenia się, kształtowania i ubojowienia polskiego ruchu robotniczego. „Proletariat" prowadził robotników polskich do pierwszych zorganizowanych walk i wniósł w szeregi robotnicze ideały rewolucyjne marksizmu i poczucie klasowej więzi międzynarodowej".

Niezwłocznie po powrocie z zesłania Wacław Święcicki oddaje się całkowicie partii. W wirze walki powstaje w 1883 r. nieśmiertelna pieśń bojowa „Warszawianka" Święcickiego. „W chwili, gdy burżuazja — pisał Feliks Kon — stanęła u szczytu swych marzeń, wśród klasy robotniczej rozległy się dźwięki trąbki bojowej: „ŚMIAŁO PODNIEŚMY SZTANDAR NASZ W GÓRĘ!" [1]).

„Warszawianka" Święcickiego odzwierciedla początkowe stadium rozwoju ruchu robotniczego. W pieśni wiara w zwycięstwo przeplata się jeszcze ze skargą i niepewnością, z nutą religijną. Nie umniejsza to w żadnym stopniu bojowej siły pieśni, będącej wyrazem woli walki pod internacjonalistycznymi sztandarami zwiastującymi zbratanie się całej ludzkości.

„Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę,
Choć burza wrogich żywiołów wyje,
Choć nas dziś gnębią siły ponure,
Chociaż niepewne jutro niczyje...
O!... bo to sztandar całej ludzkości,
To hasło święte, pieśń zmartwychwstania
To triumf pracy, sprawiedliwości,
To zorza wszystkich ludów zbratania".

„Dziś, gdy roboczy lud ginie z głodu,
Zbrodnią w rozkoszy tonąć jak w błocie,
I hańba temu, kto z nas za młodu
Lęka się stanąć dziś na szafocie!
Nikt za ideę nie ginie marnie,
Z czasem zwycięży Chrystus Judasza!
Niech święty płomień młodość ogarnia,
Choć wielu padnie, lecz przyszłość nasza!

Hurra!... Zerwijmy z carów koronę,
Gdy ludy dotąd chodzą w cierniowej,
I w krwi zatopmy nadgniłe trony,
Spurpurowiałe od krwi ludowej!
Ha!... Zemsta straszna dzisiejszym katom,
Co wysysają życie z milionów!
Ha!... Zemsta carom i plutokratom,
A przyjdzie żniwo przyszłości plonów!"

„Naprzód, Warszawo!
Na walkę krwawą,
Świętą a prawą!
Marsz, marsz, Warszawo!"

W dniu 15 września 1883 r. w pierwszym numerze organu partii „Proletariat", który ukazał się również pod nazwą „Proletariat" pod redakcją Waryńskiego, Rechniewskiego i Płoskiego, zamieszczono pełny tekst „Warszawianki" (H. Gostkiewicz „Wspomnienia proletariatczyka". Z pola walki 1927 (2) Moskwa). Niedługo potem „Warszawianka" wydana została przez partię „Proletariat" jako ulotka, którą kolportowano wśród robotników. Z kolportowaniem „Warszawianki" związana jest utrata wodza partii — Ludwika Waryńskiego, który 28 września 1883 r., śpiesząc na spotkanie konspiracyjne z przedstawicielką rewolucjonistów rosyjskich — Szczupielnikową, przez roztargnienie pozostawił w sklepie paczkę zawierającą 40 egzemplarzy świeżego, ozdobnego wydania pieśni, zwanego „Złotą Warszawianką". Sklepikarz, który sprawdził zawartość paczki, wydał Waryńskiego w ręce policji. Utrata Waryńskiego była niezwykle ciężkim ciosem dla partii. Jego aresztowanie zaważyło na dalszych losach partii „Proletariat", która odtąd chyli się ku upadkowi.

W 1884 r. w numerze 8 „Przedświtu" — organu polskiej emigracji socjalistycznej w Genewie — zamieszczono pełny tekst „Warszawianki". Odtąd płomienne słowa tej bojowej pieśni spotykamy niemalże we wszystkich zbiorach pieśni robotniczych wydawanych w kraju i za granicą.

WIELKA SATYRA POLITYCZNA

W nr 2 „Proletariatu", który ukazał się niebawem po wyjściu nr 1, zamieszczony został utwór satyryczny pióra Wacława Święcickiego pt. „Hymn liberałów do Aleksandra II". W utworze tym poeta szydzi z cara, obszarników i polskiej burżuazji liberalnej głoszącej hasła pozytywizmu, smaga swą satyrą ugodowców, którzy kierując się wąskimi interesami klasowymi szukali przymierza z caratem zaprzedając najżywotniejsze interesy narodu polskiego.

„Synu wielkiego ojca Mikołaja
I niezawodnie równie wielkiej matki!
Władco od Nosa [2]) aż do stóp Ałtaja
Imperatorze od Łap do Łopatki [3])
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

Ty, któryś Polskę niedawnymi laty
Wyćwiczył w wyższej sztuce politycznej,
Że dziś, z pokorą znosząc twoje baty,
Przykłada plaster z pracy organicznej!
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

O wielki Słowian oswobodzicielu,
Coś rozbił Szypkę czyniąc Turkom szkody:
A chociaż Słowian zgubiłeś tam wielu,
Za to Cię sławią — słowiańskie narody!
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

Dziś, kiedy w kraju buntownicze duchy
Świętej osobie Twojej życie trują,
Racz wejrzeć na nas, którzy pełni skruchy
Służyć Ci, bronić Ciebie obiecują.
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

Gdy łaska Twoja monarsza nam ziści
Pokorne prośby — najpierw w parlamencie
Wnet uchwalimy, aby socjaliści
Na szubienicę poszli lub na ścięcie!
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

Gdy się już skonstytucjonizujemy,
Tytuł Wielkiego będzie Twym udziałem.
Świat kapitalnie przereformujemy
Z Twą konstytucją — naszym kapitałem.
Do twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję Najjaśniejszy Panie!

Po powrocie z zesłania, a szczególnie po rozbiciu przez władze carskie partii „Proletariat", Święcicki znajdował się stale pod nadzorem policji. Carscy oprawcy nie rozporządzali dostatecznymi materiałami, aby oddać Święcickiego pod sąd. Ostatnie lata życia spędził Święcicki w Warszawie pracując jako urzędnik Banku Handlowego. Zmarł w 1900 r. w Warszawie. Pozostawił trzech synów i córkę. Najmłodszy syn Święcickiego, Stanisław, znany adwokat warszawski powieszony został przez okupanta faszystowskiego w październiku 1942 r. w Warszawie wśród 50 więźniów Pawiaka, których większość była aktywistami PPR.

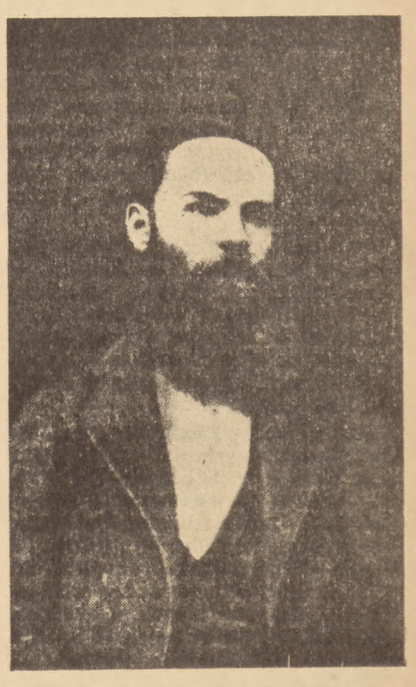

Wacław Święcicki

„WARSZAWIANKA" W PRZEKŁADZIE ROSYJSKIM

Rewolucyjna „Warszawianka" Święcickiego wybiegła daleko poza granice Polski. W 1897 r. „Warszawianka", „Czerwony Sztandar" i „Pieśń Wolnego Ducha" przetłumaczone zostały na język rosyjski przez towarzysza walki i pracy Lenina — Gleba Krzyżanowskiego. Znajdując się w więzieniu moskiewskim na Butyrkach, po rozbiciu przez policję carską Leninowskiego Związku Walki o Wyzwolenie Klasy Robotniczej, Krzyżanowski słyszał polskie pieśni rewolucyjne od uwięzionych tam robotników polskich, którzy dzielili wspólny los z rewolucjonistami rosyjskimi. „Warszawianka" w wolnym przekładzie Krzyżanowskiego przystosowana została do walki rosyjskiego ruchu robotniczego. Po raz pierwszy w języku rosyjskim śpiewali ją więźniowie polscy i rosyjscy w więzieniu na Butyrkach przed wyjazdem na zesłanie.

„Warszawianka" była ulubioną pieśnią Lenina, Stalina, Dzierżyńskiego, Mołotowa. Często jej bojowe słowa zamieszczane były na stronach Leninowskiej „Iskry" i innych gazet bolszewickich. „Warszawianka" przełożona została również na język gruziński (przy udziale Lado Klechowskiego — bliskiego towarzysza J. Stalina) i zamieszczona w Nr 1 Stalinowskiej „Brdzoły", który ukazał się we wrześciu 1901 r.

„Warszawianka" Święcickiego-Krzyżanowskiego towarzyszyła proletariatowi polskiemu i rosyjskiemu w wielkich historycznych bojach klasowych. Ze śpiewem „Warszawianki" szturmował proletariat polski i rosyjski twierdze caratu w 1905 r. Rozbrzmiewała ona w okresie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i wojny domowej w ZSRR. Jest ona pięknym pomnikiem braterskiej walki polskiej i rosyjskiej klasy robotniczej.

Józef Kozłowski.

[1]) F. Kon — „Proletariat" — Międzynarodowa Socjalno-Rewolucyjna Partia.

[2]) Czukocki Nos — przylądek Czukocki.

[3]) Łapy — miejscowość na granicy Królestwa Polskiego i Litwy. Łopatka — przylądek na Kamczatce. Wiersz, ośmieszając cara, wskazuje, że posiada on nos, łapy i łopatki, lecz nie posiada głowy.

---

*LISTY HISZPAŃSKIE (2) *)*

W KRAJU OBFITOŚCI NIE MA NIC DLA HISZPANÓW

Magazyny Barcelony pełne są wszystkiego: ubiory, obuwie, bielizna, żywność. Przeliczone na franki, ceny wydają się niesłychanie niskie. Trzewiki kosztują 1.000 do 3.000 fr. (w przeliczeniu przybliżonym (rynkowym) na złote: ok. 200 zł). Garnitur męski 8.000 do 15.000 fr. Francuzi spędzający wakacje w Hiszpanii powracają ubrani od stóp do głów. Run Paryżan na granicę hiszpańską zaraz po jej otwarciu tłumaczy się tą wyjątkową okazją handlową. Krawcy Madrytu i Barcelony wyrabiają komplety ze sfałszowanymi etykietkami: „Durand, tailleur, 137, boulevard Haussmann, PARIS". W ten sposób unika się płacenia cła, i można nabyte za bezcen ubranie wszędzie pokazać jako „paryskie"...

Ale ceny nabierają sensu dopiero gdy je zestawimy z zarobkami. Dla Hiszpanina wszystkie te dobra są *niedostępne*.

Robotnik niewykwalifikowany zarabia 12 do 20 pesetów dziennie. Wyspecjalizowany — 25 do 35. Urzędnik bankowy czy niski funkcjonariusz: 500 do 1 000 pesetów miesięcznie. Pracownicy urzędów korzystają z pewnych drobnych korzyści: otrzymują przydział na chleb (biały, więc w zasadzie nielegalny, bo ustawa zezwala tylko na wypiek czarnego), trochę oliwy i jarzyny. By zarobić ponad 1.000 pesetów, trzeba mieć stanowisko stosunkowo wysokie. Do tych zarobków należy dołączyć dodatki na rodzinę: 20 pesetów miesięcznie za pierwsze dziecko, 40 za dwoje dzieci. Na dwanaścioro dzieci: 1.100. Emerytura starych pracowników wynosi 125 do 250 pes. miesięcznie.

Przydział chleba (czarnego): 100—150 gramów dziennie (5 i pół pes. za kilo). Ale chleba czarnego nie widuje sie w restauracjach, nawet najskromniejszych, w piekarniach też bywa rzadko. Tymczasem chleb biały sprzedawany jest otwarcie, po 20 pes. za kilo. Przydział oliwy (tłuszcz najczęściej używany w Hiszpanii) wynosi pół litra mies. (litr: 10 pesetów, 60 na czarnym rynku). Jajko (nigdy nie przydzielane) kosztuje 14 do 15 pes. na czarnym rynku. Najzwyklejsze wino, wchodzące niegdyś w skład najskromniejszego posiłku, jest luksusem: 7 do 10 pesetów za litr.

(W. Attwood: Spain of to — day)

„CZARNY RYNEK"

Ze względu na nędzę przydziałów kartkowych „czarny rynek" staje się koniecznością, by móc wyżyć. Dla bogatych sprawa jest prosta. Ale 70 proc. Hiszpanów zarabia mniej niż 1.200 pesetów miesięcznie. Dla wielu zagadnienie nie istnieje: umierają z głodu lub ze skutków głodu. Inni radzą sobie jak mogą, walcząc z wysiłkiem i uporem: by nabyć chleba, każdy kombinuje na własną rękę, uprawiając prywatny „czarny rynek", coś sprzedając, coś kupując, — zamiast posłać córeczkę do szkoły, daje jej się papierosy do sprzedania na ulicy, niekiedy żona pracuje, pierze „na boku", czy pomaga w jakim warsztacie. Poznaliśmy ten sposób życia podczas okupacji. Ale Hiszpania Franca nie żyje podobno „stanem wyjątkowym"; jest „ZJEDNOCZONA, WIELKA I WOLNA". Wojna domowa, która kraj wyczerpała, skończyła się dwanaście lat temu, wojna światowa, sześć lat temu.

(R. Delpeche: France-soir)

GUADALAJARRA: NA ŚLADACH WOJNY DOMOWEJ

Tutaj trwały zacięte walki. Katedra Siguenzy pokryta jest ornamentami pocisków. Z tej strony (czerwonej) były głównie karabiny. Są też ślady po artylerii, czołgach i samolotach, ale te znajdowały się po drugiej stronie. Całe dzielnice Guadalajarry leżą w gruzach. Możemy oglądać skutki wszelkich broni, od śladów kul karabinów maszynowych na ścianach, do kompletnych ruin, wgniecionych w ziemię jakby wszystko było z ciasta. Dlaczego po 12 latach nic nie zrobiono, by to odbudować , czy choćby usunąć gruz zawalający drogę? Brak materiałów, czy niedołęstwo rządu? A może rozmyślna chęć zastraszenia, jak mi tłumaczy mój przyjaciel hiszpański: „Przyjrzyjcie się tym ruinom, przeklęci czerwoni, i pamiętajcie co to znaczy chcieć być wolnym". „Czerwonych" traktuje się więc jakby byli dziećmi, ale porównanie to nie jest bez sensu: rząd Franca ma cechy niedołężnego ojca-sadysty. Ruiny Hiszpanii zapewne nie mają dużego znaczenia w porównaniu ze świeższymi gruzami zalegającymi Europę, ale nie mają też znaczenia w zestawieniu z innym faktem — wstydem: pośród 1.200.000 ofiar wojny domowej, 400.000 frankiści wymordowali na zimno, można by powiedzieć „ręcznie". Zatrzymali się na tej liczbie pewnie dlatego, że *„nie można rozstrzelać wszystkich"*, jak *dosłownie powiedział* Paquita Diaz, któremu Pani Andrée Corthis, autorka dzieła na cześć Franca pt. „Hiszpania zwycięska", przyznaje „zdrowy rozsądek patriotyczny".

(„Les Temps Modernes" „Espagne au jour le jour")

SPOTKANIE Z JEDNĄ Z OFIAR

W jednym z domów czynszowych Madrytu, na piątym czy szóstym piętrze, przy pustej i jakby przysypanej pyłem ulicy — jak wszystkie ulice tej dziwnej, zamarłej i ospałej stolicy — mieszka człowiek do którego otrzymałem list polecający od znajomego emigranta hiszpańskiego w Paryżu. Wiem, że zajmował dość ważne stanowisko w czasie wojny domowej, że był skazany na śmierć i ułaskawiony po paru latach więzienia. Nie mogę napisać jaki jest jego zawód; jest on tak szczególny że policja domyśliłaby się z miejsca z kim rozmawiałem, przeczytawszy tę moją informację. Był to intelektualista, miał funkcję w randze profesury uniwersyteckiej; nazwijmy go Gomez. Otwiera mi sam, ubrany jest w stary garnitur, powycierany do ostatniej nitki. Wygląda na 60 lat, ale za chwilę dowiem się, że ma zaledwie 48. Mieszkanie robi wrażenie ogołoconego; kiedyś prawdopodobnie było zamożne, ale dziś wszystko tu jest nędzne, widać, że lepsze meble zostały wyprzedane i zastąpione jakimikolwiek.

Ale pierwszy kontakt napotyka na trudność nie do przezwyciężenia. Jest ona z gatunku oporów psychicznych. „Czego pan sobie życzy?" „Pański przyjaciel mnie przysyła". Wręczam mu list. Spogląda na podpis ze smutnym uśmiechem i wykonuje ledwie uchwytny gest, oznaczający: „To było tak dawno..." W liście, przez ostrożność, jestem przedstawiony jako rzeźbiarz. Wyjaśniam, że w rzeczywistości przyjechałem zebrać materiały do reportażu. Rozmawiamy parę minut o sprawach obojętnych, — nagle mi oświadcza, że jeśli chciałbym zwiedzić muzeum sztuki w Prado, może mi polecić przyjaciela, który mnie świetnie oprowadzi. Odpowiadam, że byłem już w Prado, że pójdę tam jeszcze, ale nie potrzebuję przewodnika. Interesują mnie informacje polityczne i ekonomiczne o Hiszpanii współczesnej, i spodziewam się że on, Gomez, będzie mi mógł ich udzielić. Uśmiecha się smutno i uprzejmie, w grymasie jego wyczuwam ironię. „A więc interesują się jeszcze Hiszpanią w Europie?" — „Owszem, są tacy..." „No tak — rozpoczyna — ale..." i nagle zmienia temat, w postawie jego czai się nieufność. Mówi mi o skarbach sztuki w Toledo, w Medinaceli, potem znów proponuje mi swego znajomego, jako przewodnika po Prado. Najwyraźniej nie chce rozmawiać ze mną o innych tematach niż te, które mogą interesować przeciętnego turystę. Usiłuję znów sprowadzić rozmowę na politykę, ale za każdym razem Gomez wymija pytanie i nawraca do Prado. Po kilku daremnych próbach, zgadzam się na zwiedzenie muzeum z jego znajomym, by się pozbyć tego żenującego refrenu. Zastanawiam się co się dzieje z Gomezem, czy jest zaspany czy głupi (w istocie jest wyjątkowo inteligentny, jak mi wiadomo), czy też mi nie ufa, albo mu się po prostu nie chce rozmawiać. Zachowuje się jakby uważał, że mówić o Hiszpanii jest rzeczą niedorzeczną i zbędną. Przypominają mi się słowa studenta z Barcelony: „To co chciałbym Panu powiedzieć jest tak wstrętne, że nie mogę się na to zdobyć..." U wielu Hiszpanów spotkałem tę niechęć do rozmowy o ich kraju. Młoda kobieta, zdecydowana anty-frankistka, zapytała mnie z niepokojem:

— Nie napisze pan źle o nas?

— Napiszę źle o Franco, nie o Hiszpanach.

— Ale nie o Hiszpanii?

— Nie, bo o Hiszpanii mam opinię bardzo dobrą.

— Nie sądzi pan, że to ohydne?

— Co mianowicie?

— No cóż, jesteśmy biedakami, a nawet nędzarzami. Jesteśmy ofiarami nikczemnego rządu, popieranego przez garstkę ludzi, którzy chcą nam zapłacić za strach, o jaki ich przyprawiamy. Napisze pan wszystko co pan widział?

— Oczywiście.

— Oczywiście... Ale ta myśl była dla niej nieznośna. Duma narodowa Hiszpanów bynajmniej się nie zmniejszyła. Są wśród nich tacy nawet, którzy uważają, że Franco jest zarazą, ale *ich własną*, i cudzoziemcy nie powinni się do niego wtrącać. Rząd zresztą wykorzystuje to uczucie, i dzienniki bezustannie piszą o ingerencji obcej zagrażającej Hiszpanii. Na dodatek przeświadczenie, że stale są szpiclowani, uczyniło Hiszpanów podejrzliwymi, zaś zawody doznane ze strony aliantów napełniły ich zmęczeniem i zniechęceniem. „Po co mieć nadzieję? Zapomniano o nas".

JAK FRANCO ŁAMIE LUDZI

W dwa dni potem, udaje mi się lepiej. Widocznie Gomez dochodzi do wniosku, że może mi zaufać. Przychodzę do niego w południe, otwiera mi ledwie rozbudzony. Gdy się usprawiedliwiam, odpowiada mi:

— Śpię bo nie mam nic do roboty. Od roku 39 nie mam prawa

*) patrz N. K. Nr 15 (107).

Z FESTIWALU ŚWIETLICOWEGO POLSKICH SZTUK WSPÓŁCZESNYCH

BOLESŁAWA HAJDUKOWICZ

PRZED FINAŁEM

W dniach od 6-tego do 19 maja Warszawa gościć będzie około 40 amatorskich zespołów związków zawodowych, które wystąpią w ramach eliminacji centralnych Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych.

Festiwal świetlicowy sięgnął głęboko w teren, dotarł do świetlic w najodleglejszych nawet miasteczkach i gromadach wiejskich i zmobilizował do twórczej pracy około 2500 zespołów amatorskich — z czego 1200 zespołów przypada na Związki Zawodowe.

Skalę i zasięg Festiwalu w świetlicach związkowych najlepiej zobrazuje kilka cyfr. W okresie eliminacji na szczeblu powiatowym i wojewódzkim przedstawienia festiwalowe oglądało 5 milionów widzów, z czego półtora miliona przypada na widzów wiejskich (wyjazdy robotniczych ekip teatralnych w ramach łączności miasta ze wsią). W jednym tylko województwie poznańskim przedstawienia festiwalowe oglądało 85 tysięcy widzów.

Od momentu pojawienia się pierwszych przedstawień festiwalowych (styczeń — luty 1952) przez sceny świetlicowe przesunęło się 20 tysięcy amatorów - związkowców, grających sztuki o tematyce produkcyjnej, spółdzielczej, antyimperialistycznej i wreszcie sztuki klasyczne. Cyfry powyższe nabierają szczególnej wagi i szczególnej wymowy politycznej właśnie w zestawieniu z problematyką tych sztuk. Oznacza to bowiem poważną mobilizację całych skupisk robotniczych i poddanie ich wychowawczemu oddziaływaniu sceny operującej repertuarem nowego typu, oznacza to zarazem bezpośrednie przenikanie problematyki tych sztuk do dwudziestotysięcznej armii mniej lub więcej artystycznie uzdolnionych ludzi, amatorów sceny świetlicowej. Są to jak gdyby dwa kolejne, wielkie kręgi oddziaływania wychowawczego, idące od zespołu świetlicowego do załogi fabrycznej, stopniowo ogarniające rodziny tych załóg i wreszcie całe środowiska.

Praca nad sztukami festiwalowymi stała się okazją do przeprowadzenia dużej akcji samokształceniowej w związkowych zespołach amatorskich. W okresie prac analitycznych nad tekstami sztuk festiwalowych ponad 700 zespołów robotniczych studiowało w świetlicach poszczególne rozdziały historii WKP(b), około 400 zespołów czytało historię Polskiego Ruchu Robotniczego, wszystkie zespoły wystawiające sztuki wiejskie poznawały statuty spółdzielni produkcyjnych. Odrębne i bardzo ciekawe prace samokształceniowe prowadzone były przez zespoły wystawiające klasyczną pozycję Festiwalu: „Fircyka w zalotach" Zabłockiego. Zespoły te uczyły się historii polskiego Oświecenia, badały stosunki społeczno - polityczne epoki, poznawały literaturę tego okresu.

Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych ożywił w ten sposób nie tylko zespoły teatralne, lecz przyczynił się poważnie do zwiększenia ilości czytelników w bibliotekach świetlic związkowych, zwiększył ilość odczytów i prelekcji, wygłaszanych w świetlicach, oraz ilość słuchaczy Wszechnicy Radiowej, zdynamizował całokształt prac kulturalno - oświatowych prowadzonych przez Związki Zawodowe w świetlicach, klubach fabrycznych i Domach Kultury. Zagadnienie upowszechnienia kultury znalazło na tym odcinku swoiste i bardzo owocne formy realizacji. I jest rzeczą oczywistą, że impet tej akcji — a zwłaszcza jej wyniki — przekraczają ramy specyfiki świetlicowej, jeśli się tak wolno wyrazić i stają się wydarzeniem kulturalnym o wielokierunkowych pozytywnych następstwach.

Jak reaguje nasz zawodowy świat artystyczny na wszystkie te zjawiska? Aby rzec prawdę — wydaje się, że jak dotychczas zaprzepaszczamy potrosze dobrą sprawę. W okresie trwania Festiwalu na szczeblu terenowym, w ciągu miesięcy zimowych i wiosennych ani nasze teatry państwowe, ani Polskie Radio, ani też wreszcie inne instytucje, reprezentujące zagadnienia kulturalno-artystyczne nie okazały żadnej inicjatywy, aby wykorzystać to wzniesienie fali artystycznych zainteresowań terenu, aby mocniej związać się z masowym odbiorcą sztuki i wykorzystać i ten moment dla podniesienia frekwencji widza robotniczego w teatrach, operach i salach koncertowych, aby ożywić i planowo związać z Festiwalem akcję wyjazdów literatów w teren, aby zapropagować wystawy plastyczne itp.

Katastrofalnie milczała na temat Festiwalu świetlicowego prasa centralna, a ukazujące się wzmianki traktowały rzecz nader powierzchownie. Pomimo to CRZZ notuje sporo osiągnięć i w tej dziedzinie. Pragnę tu zwrócić przede wszystkim uwagę na dwie sprawy. Pierwsza to bezpośrednie zetknięcie się, a nawet fakt współpracy niektórych dramaturgów, autorów sztuk festiwalowych, granych przez zespoły robotnicze, ze świetlicami. Akcja ta, zainicjowana przez CRZZ na spotkaniu dramaturgów festiwalowych z instruktorami teatralnymi Zw. Zawodowych na konferencji teatralnej w Spale (wrzesień 1951) przedłużyła się następnie o szereg wyjazdów literatów do zespołów w terenie, na skutek zaproszeń wystosowanych do autorów przez zespoły, a dyskusje z autorami (często publiczne) wynikające w czasie tych spotkań — stawały się pasjonującą konfrontacją koncepcji autorskiej z życiem i z ludźmi przez autora opisywanymi.

Druga sprawa to nawiązanie współpracy artystów teatrów zawodowych ze świetlicami. Doświadczenia konferencji spalskiej przeniesione zostały w teren drogą zorganizowania analogicznych konferencji teatralnych we wszystkich województwach. Działając w porozumieniu z ówczesnym GD TOF-em CRZZ zapewniła tym konferencjom udział i współpracę przedstawicieli teatrów. Na konferencjach tych aktorzy mieli przed sobą postawione bardzo konkretne zadanie do wykonania: omówić ze zgromadzonymi instruktorami sposób wystawienia wybranej sztuki. I podobnie jak to było z dramaturgami w Spale, to pierwsze spotkanie aktorów z instruktorami przerodziło się następnie w całym szeregu wypadków w systematyczną współpracę aktorów z upatrzonymi zespołami. W chwili obecnej wkład pracy aktorów w przygotowanie przedstawień festiwalowych jest bardzo poważny. 250-ciu aktorów, reżyserów i scenografów patronuje poszczególnym zespołom świetlicowym, a eliminacje centralne w Warszawie pozwolą na dokonanie bardziej szczegółowej analizy i oceny tej współpracy. CRZZ notuje cały szereg wypadków wielkiego zżycia się i związania z ruchem świetlicowym, co znalazło swój wyraz szczególnie w czasie eliminacji wojewódzkich na terenie całego kraju. Zaproszeni do jury aktorzy z reguły dyskutowali po przedstawieniach z zespołami, udzielając im szereg rad i wskazówek, które zespoły przyjmowały jako podstawę do dalszej pracy. Jak taka wymiana zdań i poglądów pasjonuje obie strony, jak dalece porusza ona nie tylko amatora, co jest rzeczą oczywistą, lecz także aktora, który często staje wstrząśnięty przed faktem niezawodnej intuicji twórczej samorodnego artysty, wspartej konsekwentnie myślą reżyserską.

Ruch świetlicowy ma już w chwili obecnej wielu entuzjastów wśród artystów zawodowych. A jednak trzeba stwierdzić, że i tu zdani jesteśmy raczej na inicjatywę jednostek, a nie na planową współpracę. Komisje patronatowe, utworzone w roku ubiegłym przy wszystkich teatrach nie stały się w okresie Festiwalu czynnikiem inicjującym i organizującym współpracę aktorów ze świetlicami. Żywiołowy, zdrowy politycznie ruch oddolny mas aktorskich wyprzedził je i pozostawił daleko za sobą.

Zbliżające się pokazy robotniczych zespołów amatorskich powinny stać się bodźcem do szerokiej i wielokierunkowej dyskusji na łamach naszych pism w sprawie dotychczasowych form współpracy artystów zawodowych ze świetlicami (nie tylko na odcinku teatralnym), oraz w sprawie powiązania współpracy z ogólną polityką kulturalną naszego państwa. Wspaniałe wzory Związku Radzieckiego, który swój bujny rozkwit wszystkich dziedzin sztuki i kultury mocno osadził na fundamencie twórczości i inicjatywy artystycznej mas ludowych, powinny żywiej pobudzić nas do działania. Ponad wszystko jednak czołowym zagadnieniem wspólnym dla ruchu zawodowego i niezawodowego jest sprawa repertuaru o tematyce współczesnej. Głód repertuaru tego typu jest szczególnie wielki w teatrach świetlicowych. Robotnicy lubią grać sztuki produkcyjne. Są z nich dumni. Z upodobaniem odtwarzają na scenie fragmenty procesów produkcyjnych, tak dobrze im znanych w życiu. Wzrusza ich i zastanawia gdy całe fragmenty wypowiadanego tekstu scenicznego są im jak gdyby znane gdy wola autora prowadzi ich ku konfliktom i sytuacjom, z których zwolna wyłania się nowy sens ich pracy i życia.

Bolesława Hajdukowicz

REGINA MICHALAK

Z NOTATNIKA INSTRUKTORA

Niedawno zakończono w Łodzi eliminacje związkowych zespołów teatralnych na szczeblu wojewódzkim w ramach Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych występem zespołu teatralnego Klubu Fabrycznego Z. P. B. im. J. Stalina. Zespół przystąpił do Festiwalu ze sztuką Warmińskiego „Zwycięstwo" i został zakwalifikowany do eliminacji centralnych.

Pracę nad sztuką rozpoczęliśmy we wrześniu ub. r. W dyskusji nad repertuarem festiwalowym zdecydowała o wyborze „Zwycięstwa" przede wszystkim jej aktualna problematyka.

Zespół postawił sobie dwa zadania: 1) przygotować sztukę na możliwie najwyższym poziomie, 2) nie tylko wystawiać sztukę w swoim Klubie, ale też wyjeżdżać z nią w teren. Pierwsze po to, aby załodze swoich zakładów pokazać chłopów, którzy w walce z kułactwem idą ramię w ramię z robotnikiem w walce o socjalizm. Drugie — aby pobudzać chłopów — przykładem bohaterki sztuki Pietrzakowej — do przechodzenia na gospodarkę kolektywną.

„Zwycięstwo" to moja pierwsza praca z zespołem Klubu Fabr. ZPB im. J. Stalina. Początkowo trudno nam się było zrozumieć. Zespół miał swoje tradycje w metodzie pracy nad sztuką, stawiał reżyserowi określone zadania, wszyscy się palili od razu do prób sytuacyjnych wyjaśniając, że łatwiej im będzie opanować tekst, gdy będą znali sytuacje. Pokutowało również „gwiazdorstwo".

Czasu do eliminacji powiatowych pozostało niewiele, trzeba było działać zdecydowanie. Zapoznałam zespół z metodą, którą miałam stosować w pracy nad sztuką, a więc: wnikliwa analiza tekstu, referaty i lektura pomocnicza, próby przy stole, a potem dopiero sytuacje, które muszą wynikać z potrzeby działania u poszczególnych osób. Skutek był taki, że na następną próbę przyszła tylko część zespołu, ale ta garstka wytrwała do końca. Postanowiliśmy nie rezygnować ze sztuki, szukać chętnych do współpracy, a do akademii październikowej przygotować II-gi akt, który można było obsadzić. Spodziewaliśmy się, że występem tym przyciągniemy do zespołu więcej członków.

Po przeprowadzeniu analizy i omówieniu pobieżnym postaci, przystąpiliśmy do obsady i do pogłębienia analizy aktu II-go. Większą część pracy musieli członkowie zespołu wykonywać w domu, ponieważ próby odbywały się tylko dwa razy w tygodniu. Na próbie należało odpowiedzieć na pytania: skąd przychodzę, w jakim nastroju, kogo zastaję, co mnie łączy z osobą, którą zastaję, czego chcę, jaki jest mój stosunek do wszystkich pozostałych postaci sztuki, o których się mówi, dokąd idę, co będę robił do następnego wejścia. Próby stawały się coraz bardziej ożywione, z rozmów na temat postaci członkowie przechodzili do dialogów, nawiązywali kontakt, zaczynali wstawać od stołu, przechodziliśmy powoli do prób sytuacyjnych, ale ciągle jeszcze nie na scenie. Z tych prób sytuacyjnych wyniknęła konieczność omówienia dekoracji. Wreszcie przeszliśmy na scenę. Tu zaczęły znowu ujawniać się stare grzechy. Niektórzy poczuli się skrępowani, stale odwracali się twarzą do widowni, czy to było potrzebne, czy nie. Wygląda to na paradoks, ale pierwsze próby szukania naturalnych sytuacji były najbardziej męczące.

Jednak nadzieje pokładane w wystawieniu drugiego aktu nie zawiodły. Zyskaliśmy kilku starszych towarzyszy i kilku młodych. Na nowo trzeba było zacząć analizę, charakterystykę postaci. Tym razem jednak pomagali mi wydatnie ci wszyscy, którzy brali udział w drugim akcie. Pracowaliśmy grupami.

Jeden z agitatorów partyjnych, członek zespołu, przygotował referat na temat spółdzielni produkcyjnych i omawiał typy spółdzielni z członkami w garderobie. Ja pracowałam na scenie z „Pietrzakową". Nagle wpada na scenę zaperzony, rozogniony „Zajączkowski" i pyta mnie co to za porządki z tymi spółdzielniami, kto to widział, żeby w naszym ustroju Rząd popierał kułaków i zezwalał na spółdzielnie I-go typu. Oburzenie jego było tak szczere, że nie mogłam ukryć mojego zadowolenia, co go jeszcze bardziej rozdrażniło. Niczego nie wyjaśniając przystąpiłam natychmiast do pracy nad IV-tym aktem. Na tej próbie nasz „Zajączkowski", który dotychczas nie mógł się „rozgrzać", znalazł właściwy nurt swojej roli. Sprawę spółdzielni produkcyjnych I-go typu wyjaśniłam mu po próbie, ale postanowiliśmy wszyscy, że jeśli zacznie „stygnąć", to stale będziemy go przed próbą i przed spektaklem przekonywać, że I-szy typ jest lepszy od III-go.

Nasz „Zajączkowski", czyli tow. Osiński jest robotnikiem, ma 32 lata. Przybył do zespołu późno i od razu na wyznaczoną rolę, ponieważ poprzedni „Zajączkowski" został z zespołu usunięty. Osiński pracował ambitnie, ale brakowało mu pierwszych prób analitycznych, musiał wszystko „nadganiać" i dlatego miał z początku pracę utrudnioną.

Kilka osób zwerbowaliśmy proponując od razu określone role. Tak było z „Pietrzakową" i „Wróblem". Tow. Sierakowską usłyszałam przemawiającą na zebraniu. Podeszłam do niej i zaproponowałam jej wstąpienie do zespołu. Spojrzała na mnie zdziwiona. Wykluczone, nie może. Dom, dwoje dzieci, mąż. Mieszka bardzo daleko od klubu. (Przekonałam się o tym dużo później, kiedy po próbie generalnej w nocy o godzinie drugiej odwoziliśmy członków zespołu samochodem do domów. Do tow. Sierakowskiej jechaliśmy trzy kwadranse). Tow. Sierakowska stała się jednym z najbardziej zdyscyplinowanych członków zespołu. Imponowała mi jej praca nad rolą. Skrzętnie notowała każdą uwagę, nigdy nie powtórzyła raz wytkniętego błędu. Kiedy na premierę przyjechała prawdziwa Pietrzakowa z Rozgardu, poczuły się od razu siostrami. Wycałowały się, opowiadały wzajemnie o swoim życiu, nie rozstawały się przez cały wieczór po spektaklu. Razem siedziały przy stole: obydwie drobne, o twarzach naznaczonych ciężkimi przejściami w życiu, obydwie jednakowo zawzięte w walce o lepsze jutro dla siebie i dla swoich dzieci.

Tow. Myślina poznałam w ciągu miesiąca pracy w Klubie na tyle, że nie umiałam sobie już wyobrazić innego „Wróbla". Stanowczy, energiczny, w roli dowódcy bandy kułaków był przekonywający.

Po eliminacjach powiatowych „Wojtek" i „Świszcz" dostali wezwanie do wojska. Pożegnaliśmy ich wesoło, ale po odejściu tych towarzyszy ogarnął jednak wszystkich smutek i zwątpienie, czy uda nam się przystąpić do eliminacji wojewódzkich. Na następną jednak próbę przyszedł już nowy „Świszcz", a zaraz potem nowy „Wojtek Pietrzak". Znowu trzeba było zacząć z nimi od początku, tym razem działałam już przy współudziale całego zespołu.

O lepszych czy gorszych wynikach pracy nad rolą decydowała przede wszystkim dyscyplina pracy. Nie każdy z członków rozumiał wprawdzie, że raz podjęta praca społeczna staje się obowiązkiem, w przeciwnym bowiem razie nie można dojść do żadnych wyników w gromadnym wysiłku. Znalazł się jednak w zespole taki towarzysz, który nawet w dniu swojego ślubu nie opuścił próby. Jest to tow. Białkowski Jan, który z uporczywością wody drążącej kroplami kamień, pracował nad swoją rolą. Innego rodzaju ofiarę poniósł dla dobra sztuki tow. Świebodziński. Otrzymał rolę „Skocznia". Miał niewiele słów tekstu i zgodnie z tradycją mówiło się o nim poza moimi oczami „statysta". Jednak po przeprowadzeniu z nim analizy postaci zauważyłam, że zaczyna on poważnie ustosunkowywać się do swego udziału w sztuce. I oto pewnego dnia przyszedł na próbę tow. Świebodziński bez pięknych baków i z podciętymi włosami, bo doszedł do wniosku, że nie wypada, aby działacz partyjny miał jakieś cechy zewnętrzne, które są charakterystyczne dla ludzi zupełnie innego pokroju.

W pracy zespołowej osiągnęliśmy takie wyniki, że członkowie zespołu potrafili wyrzec się ambicji osobistych do dobra całości spektaklu. Kiedy dochodzili do przekonania, że nowoprzybyli mogą na ich miejscu dać więcej — rezygnowali ze swych ról, ale pozostawali nadal aktywnymi członkami zespołu. Tow. Makowski zrezygnował z roli „Wilkanowskiego", gra jako chłop i pracuje jako sekretarz samorządu zespołu. Tow. Hanka Nymander zrezygnowała z roli „Wróblowej" a przyjęła krótką rolę młodej mężatki „Julki".

Wielką zapłatą za wysiłki i wyrzeczenia była wiadomość, jaką otrzymaliśmy ze spółdzielni produkcyjnej w Rozgardzie: Po otrzymaniu zaproszenia podobno wszyscy członkowie spółdzielni „Zwycięstwo" z Rozgardu pragnęli jechać do Łodzi, aby zobaczyć jak sztukę o chłopach, o nich samych, zagrają bracia robociarze. Przyjechali delegaci. „Czuliśmy na tym waszym przedstawieniu — mówiła „prawdziwa" Pietrzakowa — że wy, robotnicy rozumiecie życie na wsi, że rozumiecie rolę chłopa w życiu naszej Ojczyzny, że pomagacie nam...".

Regina Michalak

„Zwycięstwo" Warmińskiego w wykonaniu zespołu świetlicowego przy Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Józefa Stalina w Łodzi. Scena z aktu IV-tego

---

pracować. Nabiera się dziwnych przyzwyczajeń, gdy się człowiek niczym nie zajmuje.

Prosi mnie, bym przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie stoi biurko z portretem młodego człowieka, i z wielkim zdjęciem z roku 1936: Gomez pośród swych współpracowników.

— Mój syn — objaśnia wskazując portret. — Rozstrzelali go w 1939 roku, nigdy nie będę wiedział za co. Ja również zostałem skazany na śmierć, potem ułaskawiony, także nie mam pojęcia dlaczego.

Gomez cieszy się tak zwaną „wolnością dozorowaną". — „Jak pan wie, konstytucja Franca stwierdza, że lud hiszpański korzysta z wolności liczniejszych niż inne narody. Popularny żart na ten temat wymienia, prócz wszystkich znanych rodzajów wolności, jeszcze dwa nowe, wprowadzone przez policję Franca: „wolność warunkową" i „wolność dozorowaną".

Gomez obowiązany jest zgłaszać się co tydzień w komisariacie i nie wolno mu wyjechać z Madrytu bez upoważnienia, którego zresztą nigdy nie żądał:

— Po pierwsze, nie mam pieniędzy na podróże. A dalej, wiem że nie udzielono by mi zezwolenia, nawet gdybym poprosił.

„Wolność dozorowana" oznacza przede wszystkim, że może być w każdej chwili aresztowany bez powodu.

— Zajmowałem dość ważne stanowisko w Madrycie Gdy miasto zostało zdobyte, skazano mnie na śmierć Proces trwał 3 minuty. Zna pan te historie. Nie rozstrzelano mnie jednak, Bóg wie dlaczego Od 1939 do 1943-ego roku byłem w więzieniu, oczekując w każdej chwili na egzekucję. W styczniu 43 wypuszczono mnie bez żadnego objaśnienia. Dowiedziałem się wtedy, że mój syn nie żyje. Oczywiście, nie miałem prawa pracować. W roku 1944, pewnego ranka, dwaj policjanci przyszli po mnie. Wywrócili mieszkanie do góry nogami, zaprowadzili mnie na *Seguridad*, i znów spędziłem trzy tygodnie w podziemiach Puerta del Sol (więzienie madryckie). Nie przesłuchiwano mnie ani razu. Pewnego dnia zostałem zwolniony. Pytałem dlaczego mnie aresztowano: bez odpowiedzi. Po co mnie więc wypuszczają? „Potrzeba nam miejsca". Obecnie mój zięć mi pomaga, zarabia 1.400 pesetów miesięcznie i ma dwoje dzieci, jestem więc dla niego ciężarem. Niestety nie mogę nic robić. Bardzo rzadko udaje mi się dostać lekcje francuskiego. Sprzedałem co lepsze meble i resztę biblioteki. Nie mam *nic* do roboty w ciągu dnia, i nie wiem czy zdaje pan sobie sprawę *co to oznacza*. Gdy jest się w więzieniu, spodziewamy się przynajmniej wyjść z niego pewnego dnia. To sprawia, że czas *służy nam do czegoś. Ale gdy jestem na „wolności", nie oczekuję absolutnie niczego.* Niech pan tylko pomyśli: od roku 1944 do 49 byłem aresztowany pięć razy Odbywa się to zawsze jednakowo. Przychodzą, przeszukują wszystko. Nigdy nie mają rozkazu aresztowania. W roku 44, gdy alianci wylądowali we Francji, spędziłem 4 miesiące w więzieniu. W roku 46, raz byłem trzy tygodnie, drugi raz siedziałem dwa tygodnie. W roku 47 dwa tygodnie, w marcu 49 trzy. Nigdy nie byłem przesłuchiwany i zawsze zwalniano mnie bez słowa wyjaśnienia. Ponieważ stale ci sami policjanci przychodzą po mnie, traktuję ich jak kogoś z rodziny... Dojdzie do tego, że będę ich częstował kawą gdy się zjawią znowu. Są grzeczni, ale wyrzucają za każdym razem wszystko z szuflad i strącają książki na podłogę, nie mogę im w tym przeszkodzić. Gdy pytam dlaczego mnie aresztują, wzruszają ramionami: „Wielu innych też się aresztuje". To są podkomendni, wykonują tylko rozkazy. Nie są źli, zarabiają tylko 800 pesetów miesięcznie, trochę więcej niż robotnik, ale dostają przydziały oliwy, chleba i czasem jarzyn. Od 49 roku nie nachodzili mnie, ale wiem, że zjawią się znowu. Ich system jest świetny. Więzienia są pełne, ale większość aresztowanych nie siedzi długo. Zwalnia się ich i aresztuje znowu. W ciągu 7-miu lat spędziłem 7 miesięcy w więzieniu. W ten sposób zatrzymują pewną ilość ludzi, kierując się przypadkiem, na określony okres czasu. To się bardziej opłaca niż np. trzymać dwieście tysięcy ludzi bez przerwy. W ten sposób nikt nie jest naprawdę wolny, więzienie zagraża stale i organizacja oporu jest utrudniona, bo każdy może być aresztowany w każdym, nieprzewidzianym momencie. A i to jest ważne, że 7 miesięcy więzienia w ciągu 7 lat demoralizuje więcej niż siedem miesięcy w jednym ciągu. To bardziej zużywa, łamie człowieka, niszczy jego odporność. W ciągu 7 lat postarzałem o lat 20, i wydaje mi się że jestem już do niczego. Znam takich, którzy stali się prawdziwymi łachmanami. Nie trzeba obozów koncentracyjnych, by pozbyć się ludzi: nie wyobraża pan sobie, ile złego można wyrządzić człowiekowi, zabraniając mu po prostu wykonywania zawodu.

W KRAJU GDZIE NIKT SIĘ NIE ŚMIEJE

Pogarda dla pracy i możliwości, jakie można wydobyć z ludzi jest uderzającą cechą imperium Franca. Oto znowu dwóch, którym uniemożliwiono pracę: nazwijmy ich Rodriguez i Pedro. Rodriguez ma lat 40, był profesorem języków współczesnych; obecnie udaje mu się, od czasu do czasu, znaleźć prywatne lekcje angielskiego. Pedro ma lat 50 i był profesorem rysunków, zarabia kopiując arcydzieła muzealne na zamówienie.

Opowiadają mi oni swoją historię, która w przybliżeniu przypomina dzieje Gomeza: aresztowanie, błyskawiczny sąd, więzienie, uwolnienie, zakaz pracy, aresztowania ponawiające się co pewien okres. Podczas rozmowy Pedro wymienia nazwisko, które wywołuje uśmiech na usta obydwóch: idzie o starego rektora uniwersytetu, który dzisiaj, w wieku lat 70-ciu, sprzedaje sznurowadła na ulicy. Nie mógłbym powiedzieć, że śmieją się *wesoło*, jednakże się *śmieją*. Śmieją się z nędzy — ja nie, nie jestem w stanie, chciałbym zapaść się sto metrów pod ziemię, tym więcej, że uświadamiam sobie, że *po raz pierwszy*, odkąd jestem w Hiszpanii, widzę że ktoś się śmieje. Był to jednocześnie raz ostatni. Nie znam Hiszpanii sprzed wojny: informatorzy godni zaufania zapewniali mnie, że Hiszpanie nigdy się nie śmieli, — inni znowu, niemniej godni szacunku, przysięgali mi, że nie widzieli nic równie wesołego i roześmianego jak ulice miast hiszpańskich. Ograniczam się więc, nie wyciągając żadnych wniosków, do stwierdzenia, że podczas mej 3-000-kilometrowej podróży nie widziałem *nigdy* śmiejącego się Hiszpana. Z jednym wyjątkiem: w Sewilii, mężczyzna słusznego wzrostu chichotał przyglądając się zabawie dwóch psów.

OPINIA DWÓCH INTELEKTUALISTÓW O RUCHU OPORU

Pytam Rodrigueza i Pedro, czy mają nadzieję, że sytuacja się zmieni. Wydawałoby się, że nie można rządzić przemocą, wbrew woli dziewięciu dziesiątych narodu, Franco jednak udowodnił co innego. Nawet siły, które go podtrzymują, Kościół, Armia i Falanga, robią to bardziej z interesu niż ze szczerej wierności. Idzie o to, że organizacje te nienawidzą się wzajemnie, zaś mądrość Franca polega na utrzymaniu równowagi między nimi. Teoretycznie zdawałoby się, że nie może być nic bardziej chwiejnego niż taki system, jednakże trzyma się on. Trzyma się dzięki armii złożonej z miliona stu tysięcy ludzi, którzy w istocie rzeczy są policjantami. Trzyma się dzięki drugiej armii szpiclów, dzięki dwustu tysiącom falangistów i trzystu pięćdziesięciu tysiącom członków „Akcji katolickiej". Trzyma się, ponieważ po klęsce wojskowej swych przeciwników, frankizm niszczył wrogów zarówno w znaczeniu fizycznym jak moralnym.

REFLEKSJE FRANCUSKIEGO TURYSTY

300.000 Francuzów podróżuje tego roku wygodnie poprzez kraj żarty przez nędzę: ja także. Powracają ubrani w gabardiny, zaopatrzeni w nowe buty i garnitury nabyte trzy razy taniej niż we Francji: ja także. Przywożą rządowi Franca dewizy, które pozwolą mu karmić strażników jego więzień: ja także. Przyjmuje się ich tak serdecznie i entuzjastycznie, że czują się tu świetnie: ja nie Po powrocie opowiadają że to była świetna zabawa i wysyłają na nią znajomych: ja nie. Mam niejasne uczucie, że ukradłem nową marynarkę tu kupioną Hiszpanom, z którymi rozmawiałem; nie mogliby sobie na nią pozwolić. Czuję się w nieokreślony sposób odpowiedzialny za ich smutek i biedę. Nie należy zwiedzać Hiszpanii dla przyjemności. Znaczy to oglądać wspaniałe muzeum pełne zabytków, z którego okien widać rudery, muzeum zaludnione przez obszarpańców, utrzymujących je za nędzarski grosz, dla zysku bogatych właścicieli. „Nic pan nie rozumie — objaśniał mnie młody Hiszpan w pięknym jedwabnym krawacie — ja ich dobrze znam, ci ludzie są *niepoprawni*, zawsze byli tacy". Rzeczywiście *nie poprawiają się* z tego życia w nędzy.

Wychodzę na ulicę i wzrok mój pada na robotnika, reperującego w skwarze bruk za pomocą młota pneumatycznego. Na nogach ma rozsypujące się płócienne pantofle, jego ubiór zastanawia mnie przez chwilę — poprzez ogromne dziury koszuli i spodni widać całe plecy i uda. Nie mogę zrozumieć, jakim sposobem ten łachman trzyma się na jego ciele. Jeszcze jeden *niepoprawny*.

REFLEKSJA NA TEMAT INFORMATORÓW REPORTAŻYSTY

Wszystkie zdania, które tu przytaczam, słyszałem w rozmowach. Jeżeli opinie są przesadzone, odpowiedzialni za to są moi informatorzy. Wydaje mi się zresztą, że przesady tu wiele nie ma. Jakkolwiek by było, ich obawa gdy mnie prosili, by nie dzwonić do nich z mojego hotelu, wydała mi się zbędna. Lękali się, że gdy opublikuję ten reportaż, będzie wiadomo, kto mi udzielał wiadomości. Nie sądzę, by policja hiszpańska była tak zręczna. Ale czy przesadzali, czy nie, nie ma to żadnego znaczenia; ważny jest ich stan ducha.

(William Attwood)

Opracował **Zygmunt Kałużyński**

(Dokończenie w następnym numerze)

U PRZYJACIÓŁ

Radzieckie wiersze o Polsce

„Dobrzy sąsiedzi“ *) to tytuł niedawno wydanego tomu wierszy pisarza ukraińskiego Lubomira Dmyterki, poświęconych Polsce Ludowej. Dmyterko, poeta i dramaturg ukraiński, wiceprezes Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, był kilkakrotnie w Polsce. W r. 1949 wydał tom reportaży „Dni powszednie Polski Ludowej“. Poza tym ogłaszał w prasie codziennej i literackiej artykuły obrazujące nasze osiągnięcia, przede wszystkim na polu kultury. Obok Maksyma Rylskiego jest Dmyterko jednym z najpoważniejszych znawców i propagatorów literatury polskiej na Ukrainie.

Tom wierszy Dmyterki świadczy o wszechstronnych zainteresowaniach autora życiem i pracą Polski Ludowej. Książkę — manifestację uczuć przyjaźni narodów radzieckich dla narodu polskiego — otwiera wiersz „Powrót“. Poeta mówi w nim o wrażeniach chłopów polskich, wracających z wycieczki do Związku Radzieckiego. W szeregu wierszy („We wsi Marszowice“, „Na łanie“, „Zosia“, „W polu“, „Lekarz“, „Nauczycielka“), cieszy się poeta nowymi perspektywami wsi polskiej. Historia i teraźniejszość pracy naszego robotnika znalazła swoje miejsce w serdecznych notatkach poety-reportażysty: jest i Wieliczka w wierszu o tym tytule, jest stary Kraków i Nowa Huta, jest Zagłębie i Łódź z ich bohaterami pracy. Szereg wierszy poświęca Dmyterko naszej stolicy: są tu liryki, wiersze publicystyczne i satyry na wroga. Wśród liryków znajdują się piękniejsze wiersze tomu. Np. w wierszu „Gołębie“ szkicuje poeta pełen charakteru obraz: gołębie gnieżdżące się w oknach kościelnych sąsiadują w stolicy z budową nowych bloków, kipiącą życiem, otwierającą nowe, pogodne perspektywy. Pięknym wyrazem sympatii dla stolicy są również zamieszczone w tomie przekłady trzech wierszy polskich poetów, poświęconych Warszawie. Dmyterko przetłumaczył utwory Dobrowolskiego i Domeradzkiego. Wymownie sąsiadują ze sobą „Trzy słowa“ Domeradzkiego o nowej Warszawie — i liryczny pejzaż zaułka starej Warszawy z wiersza Dobrowolskiego.

Trzeba jednak wspomnieć osobno cykl związany z naszymi narodowymi tradycjami kulturalnymi, serdeczne strofy wiersza „W siedzibie Szopena“, zakończonego prostymi słowami: „Najpiękniejszy na świecie jego pomnik jest pod Warszawą, na wsi: rozłożyste gałęzie żywych drzew i huczna symfonia ziemi“.

Tom wierszy Dmyterki o Polsce został prawie w całości przetłumaczony na język rosyjski.

*) Lubomyr Dmyterko: Dobri susidy. Wirszi pro nowu Polszczu, Kijiw 1951, str. 95.

Dyskusja o literaturze dla dzieci

(Litieraturnaja Gazieta)

14 kwietnia w Moskwie otwarta została narada poświęcona zagadnieniom literatury dziecięcej, zwołanej z inicjatywy CK WLKSM, Związku Radzieckich Pisarzy i Ministerstwa Oświaty RFSR.

Na naradzie było obecnych ponad 300 delegatów z całego Związku Radzieckiego. Referat wygłosił p. o. generalnego sekretarza Związku Pisarzy, A. Surkow. Mówiąc o osiągnięciach literatury dziecięcej i o ciągłym pojawianiu się na arenie życia literackiego nowych utalentowanych pisarzy dla dzieci, Surkow jednocześnie stwierdził, że członkowie Sekretariatu i Prezydium Związku, mało pomagali w pracy komisji i sekcji literatury dziecięcej.

Krytyka literacka nie potrafiła pokierować walką o wprowadzenie w życie decyzji XIII plenum, nie postawiła nowych problemów rozwoju literatury dla dzieci.

Końcową część referatu A. Surkow poświęcił analizie niektórych książek i zadaniom literatury dla dzieci. Poważnym brakiem wielu utworów jest sztuczne odrywanie dzieci od świata ludzi dorosłych, postacie których są blade i niewyraziste. Znikły prawie zupełnie wesołe, humorystyczne wiersze dla dzieci.

W związku z naradą na łamach prasy radzieckiej ukazują się artykuły poświęcone zagadnieniom literatury dla dzieci.

80 lat rosyjskiego tłumaczenia „Kapitału“

80 lat temu, 8 kwietnia 1872 r. po raz pierwszy wyszedł w rosyjskim języku pierwszy tom „Kapitału“ Marksa.

Ciekawa jest historia przekładu tego tomu. Kiedy w 1868 r. zawiadomiono Marksa, że „Kapitał“ ukaże się po rosyjsku, Marks wyraził wielką radość. W jednym ze swych listów podkreślał, że jego dzieła „nigdzie nie znalazły takiego zbytu, jak w Rosji“ i że „pierwszym tłumaczeniem „Kapitału“ jest tłumaczenie na rosyjski“. Do przekładu zabrał się uczeń, kontynuator idei Czernyszewskiego, G. A. Łopatin, który odwiedzał Marksa w Londynie. Ale Łopatinowi nie udało się dokończyć pracy — musiał jechać na Sybir, gdzie chciał zorganizować ucieczkę Czernyszewskiego z Wilujskiego więzienia. Dokończył tłumaczenia N. F. Danielson, który napisał przedmowę do rosyjskiego wydania. Marks był zadowolony z dobrego przekładu.

Pierwszy tom „Kapitału“ wyszedł w Petersburgu w nakładzie 3000 egzemplarzy. Jedyny jego egzemplarz, znajdujący się w tyfliskiej bibliotece, młodzi rewolucjoniści przepisywali ręcznie. To była jedna z tych książek, które głęboko studiował młody Stalin. Następnie prowadząc robotnicze kółka marksistowskie J. W. Stalin wyjaśniał treść „Kapitału“ swoim słuchaczom.

W liście do F. A. Sorge, Marks pisał, że w Rosji „Kapitał“ więcej czytają i cenią niż gdziekolwiek indziej“.

Według niepełnych danych, genialna praca Marksa została wydana na całym świecie 250 razy, przetłumaczona na 26 języków. Pierwsze miejsce w rozpowszechnianiu „Kapitału“ zajmuje Związek Radziecki. Po rosyjsku ukazało się 30 wydań samego tylko pierwszego tomu. W 1951 r. ukazało się nowe wydanie wszystkich trzech tomów. Piętnaście razy wydano „Kapitał“ w językach narodów ZSRR, 6 razy — (w Zw. Radzieckim) w obcych językach.

Ogólny nakład wszystkich trzech tomów przewyższył 4 miliony egzemplarzy.

I. K.

DZIWY ATLANTYCKIEJ KULTURY

Styl to człowiek

(„Wiadomości“, Londyn)

Zdzisław Broncel, ongiś współpracownik oenerowskiego „Prosto z mostu“ i „ABC“, zamieścił w kwietniowym numerze londyńskich „Wiadomości“ obszerny artykuł omawiający tom poezji Kazimierza Wierzyńskiego („Korzec maku“), który pojawił się w Londynie nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas“. P. Broncel pisze m. in.: (cytujemy dosłownie, by nie uronić żadnej perełki bronclowego stylu): „*Najwięcej* posunął się Wierzyński na drodze od liryki do epiki i kiedy wojna zmiotła *dawny układ* polskiego społeczeństwa, kończąc fałszywe kulty i jednocząc ludzi w obliczu nieszczęścia i zadań wspólnej walki, *sięgnięcie* do roli barda narodowego *było naturalnym przedłużeniem twórczości właściwej Wierzyńskiemu.* Prawdopodobnie *przy innym obrocie* wojny Wierzyński byłby dzisiaj epikiem rozbudowy rozbudowywanego kraju. Przerwanie ciągłości życia, *utrata czytelnika*, społeczeństwa, państwa, razem splecione, straty osobiste — wszystko to uderzyło takimi ciosami losu, że poezja Wierzyńskiego raz jeszcze *wydała swój głęboki ton*“.

Jeżeli słuszne jest powiedzenie, że styl to człowiek, to p. Broncel jest człowiekiem w stylu najgorszym.

(fr.)

Co wolno wojewodzie

(„Die Tat“ Zurych)

Koncern pięciu największych banków szwajcarskich osiągnął w roku 1951 rekordowe obroty, wyrażające się cyfrą 8410 milionów franków szwajcarskich. Największym rekłnem okazał się BANK VEREIN. Wobec tak olbrzymich dochodów, kierownictwo Bank Verein uchwaliło po cichutku wypłacić dyrektorom i prokurentom gratyfikację specjalną. Dowiedziawszy się o tym, urzędnicy Bank Verein, wystosowali do dyrekcji pokorną prośbę, aby i im coś kapnęło. Dyrekcja odpowiedziała listem, pełnym zdziwienia i oburzenia, że ośmielono się sięgnąć po to, co może być dostępne tylko dla czynników kierowniczych

Donosząc o tym pisma szwajcarskie, publikują króciutki komunikat Związku urzędników bankowych, który stwierdza, że Bank Verein w roku ostatnim nie wypłacił swoim pracownikom dodatku drożyźnianego, zasłaniając się ciężką sytuacją.

(fr.)

Klimat naukowy

(„Esprit“, Paryż)

„Z kraju wolności“ — pod tym tytułem znajdujemy w 3 (marcowym) numerze katolickiego „ESPRIT“ obszerną analizę stosunków na wyższych uczelniach i uniwersytetach amerykańskich. Pozwolimy sobie przytoczyć, według autora artykułu, parę wypowiedzi prasy amerykańskiej, dotyczących wolności myśli i słowa w zakładach naukowych USA:

„Jakiś niespodziewany, przenikający wszystko paraliż wolności myśli i słowa ogarnia zakłady wyższego nauczania w wielu okolicach kraju, nakładając surowe ograniczenia zarówno profesorom, jak i studentom, w dziedzinach dotychczas tradycyjnie pozostawianych wolnym dociekaniom naukowym“. (New York Times, 1.V.1951).

„Dziekanowie wydziałów, profesorowie, studenci uskarżają się, że agenci FBI otaczają ich zbyt czułą opieką. Studenci boją się mówić, co myślą, gdyż słowo nieopatrznie wypowiedziane może przekreślić całą ich przyszłość. Nie tylko bowiem dostęp do administracji państwowej będzie dla nich zamknięty — prywatne przedsiębiorstwa także korzystają z kartotek FBI“. (New York Times 1.V.1951).

„Każdy wykładowca nauk społecznych na uniwersytecie amerykańskim musi pamiętać, że student słuchając dziś jego wykładu może być jutro użyty jako świadek oskarżenia, jeśli przyjdzie komu do głowy posądzić profesora o głoszenie teorii socjalistycznych“. (New Republic, 29.X. 1951).

„Zeznając przed komisją, wyłonioną przez Senat dla badania „moralności w administracji“, profesor Greene, dziekan Sillman College (Uniwersytet w Yale) stwierdził, że faszyzm jest nieuniknioną konsekwencją obecnej ewolucji uniwersytetów amerykańskich. Niektórzy profesorowie — według zeznań dziekana Greene'a — starają się ukryć fakt, że posiadają, względnie że czytali dzieła Marksa, i to nawet wtedy, gdy sami pozostają gorącymi i lojalnymi zwolennikami amerykańskiego stylu życia (american way of life) (New York Times 21.VI.1951).

jl.

KORESPONDENCJA

KWIATEK Z WŁASNEGO OGRÓDKA

W „Nowej Kulturze“ też zdarzają się kwiatki z „gatunku codziennej odmiany ogrodowej“.

W 14(106) numerze „Nowej Kultury“ ukazał się doskonały artykuł Stefana Arskiego, piętnujący tłumaczy z nieprawdziwego zdarzenia. W tym samym numerze „Nowej Kultury“ znajdujemy jednak niestety przekład artykułu Jacka Lindsay'a pt. „Sytuacja pisarza w Anglii dzisiejszej“, który jest również ilustracją poważnych braków wiedzy językowej tłumacza. Tłumacz artykułu nie wie na przykład, że zwykłe i bardzo często używane angielskie słowo „library“ nie oznacza — wbrew sugestii języka francuskiego — „księgarni“, lecz bibliotekę, czytelnię, wypożyczalnię. Księgarnia to po angielsku „bookshop“. Taka myśl Lindsay'a, który stara się wytłumaczyć polskiemu czytelnikowi, że w Anglii przeciętny obywatel nie może sobie pozwolić na kupowanie książek i musi korzystać z wypożyczalni, została niestety w przekładzie zupełnie wypaczona. Tłumacz twierdzi, że księgarnie „są niepodzielnymi władcami rynku wydawniczego“, czego Lindsay nigdy nie powiedział. Nie księgarnie, lecz wypożyczalnie — olbrzymie, skomercjalizowane przedsiębiorstwa, posiadające filie w całej Anglii — rządzą wszechwładnie rynkiem wydawniczym, dyktują wybór powieści, dają wskazówki autorom, jak pisać, oraz sugerując czytelnikom, co czytać. One to usiłują grać na burżuazyjnych snobizmach czytelników, wykluczają młodych, demokratycznych autorów. Firma Boots to nie zwykła „drogeria“, jak sugeruje nam tłumacz, lecz olbrzymia firma chemiczna, rozporządzająca ośrodkami sprzedaży we wszystkich średnich i większych miastach Anglii — połączenie domu towarowego z wypożyczalnią książek, stosowaną jako magnes dla regularnego przyciągania klientów. Firma Boots, jedna z najpoważniejszych tego typu w Anglii, bynajmniej nie stara się kształcić ani też wychowywać swoich czytelników, przeciwnie, idzie po linii najmniejszego oporu i uważa, aby ich nie zrazić czymś zbyt poważnym, czymś zmuszającym do myślenia. W ten sposób urabia sobie własną klientelę, którą karmi sensacjami i tanimi romansami.

Niestety, czytelnik polski nie dowie się o tym, a w zamian przeczyta, że firma „Boots“ „sprzedaje książki dla celów reklamowych“, czego Lindsay nigdy nie napisał.

Nie jest to zresztą jedyny błąd wspomnianego przekładu. Pokojowy ruch Anglii pod hasłem „Ręce precz od Chin“ nie jest — jak chce tłumacz — „organizacją literatów“, ani nie zrzesza w swych szeregach wyłącznie publicystów, współpracujących z pismem „New Statesman and Nation“. Ten potężny ruch, zapoczątkowany przez redaktora wzmiankowanego pisma, obejmuje o wiele szerszy krąg intelektualistów i ludzi dobrej woli w Wielkiej Brytanii, i nigdy nie był pomyślany jako organizacja literatów czy dziennikarzy. I Lindsay wcale tego nie napisał.

Dalej nie można powiedzieć, że „napisanie i wydanie książki wymaga w Anglii dużo czasu“. Lindsay pisał bowiem oczywiście tylko o przewlekłej procedurze wydawniczej. Twierdzenie, że pisanie książki trwa w Anglii dłużej niż gdzie indziej, byłoby nonsensem.

Anna Bidwell

DLACZEGO W KSIĘGARNIACH NIE MA AKTUALNEJ KSIĄŻKI?

Bohaterska śmierć Belojannisa i Jego Towarzyszy wstrząsnęła i poruszyła całe polskie społeczeństwo. Jedynie DOM KSIĄŻKI pozostał całkowicie obojętny tym wydarzeniom, bierny w swej biurokartycznej ospałości. Przy końcu ubiegłego roku ukazała się książka „Krwią serca“ zawierająca dokumenty — listy, wiersze, wyjątki z dzienników więźniów i podziemnej prasy oraz dane statystyczne — ofiar monarcho-faszyzmu i anglosaskiego imperializmu w Grecji. Jako pisarz, któremu przypadł w udziale zaszczyt przełożenia tego pomnika bohaterstwa Greckich Bojowników o Wolność i Demokrację szukałem na próżno po wystawach księgarni warszawskich i prowincjonalnych Domu Książki „Krwią serca“ w momencie gdy cały postępowy świat walczył o życie, a po wykonaniu wyroku śmierci piętnował morderstwo dokonane na najlepszych synach Grecji.

Zresztą jedynym śladem istnienia „Krwi serca“ w języku polskim były cytaty w naszej prasie wzięte z niej bez podania źródła.

Stefan Flukowski

EGZAMIN

(Dokończenie ze str. 7-ej)

psuje. Zresztą Donata na pewno egzaminu nie zda. Szkoda czasu. Lepiej by matce w domu pomogła, albo babce w ogrodzie. Ale wszystkiemu winna ta nowa personalna. Zajadłe babsko, wszędzie się wtryni i kobiety buntuje.

— Buntuje? — Przeciw komu?

— Nie przeciw, a za tym, że to niby to samo potrafią co chłopy. Ano, niech spróbują. Zobaczymy. A jakie bezczelne się te dziewuchy teraz zrobiły: jedna zwróciła mu uwagę, że nie wolno palić na hali — niby z powodu pożaru. Taka gorliwa.

Rozdarci pomiędzy opinią Gębusa i Kaczmarka, Patrzylasowie sami nie wiedzieli, co myśleć o tych kursach Donaty. Tylko wieczorem, kiedy Donata zmęczona wracała do domu, ojciec ostrożnie ślepą ręką macając, kładł dłoń na głowie najstarszej córki, jakby chciał się upewnić, że jest, że wróciła. Nic przy tym nie mówił, ale pewnie w ciemności która go otaczała, rozmyślał, że Donata podjęła tę drogę, na którą kiedyś przed laty sam zaczął wstępować i tak tragicznie zakończył. I w głębi duszy modlił się do nieznanych potęg długo i żarliwie, żeby los był łaskawszy dla niej, niż był dla niego.

Między ojcem i córką zawiązał się milczący sojusz, rodzaj wspólnictwa, z którego sami nie zdawali sobie sprawy, gdyż nie przywykli do analizowania swoich myśli. Ale Donata pojęła, że ojciec na nią liczy i poczuła nagle cały ciężar odpowiedzialności, jakie kładzie na człowieka cudze zaufanie. I za nic w świecie nie chciała tego zaufania zawieść.

Aż dziwne, że wspominając egzamin, myślała teraz zawsze o ojcu. Nie o Kaczmarkach, że im pokaże, i nie o babce, która siąkając nosem mawiała, że miejsce kobiety jest w domu, i nawet nie o kaszlącej matce, której potrzebny był sweter na zimę, tylko o ojcu. O tym ślepym człowieku, który dotychczas mówił, że modli się o śmierć, i tylko lęk, że na wieki zostanie potępiony, wstrzymuje go od rzucenia się pod pociąg, a teraz przestał do tego nawracać. Teraz wodząc ręką o wyczulonych palcach po zeszycie Donaty, pytał:

— Powiedz mi, co tam masz zapisane? — albo: — Czego was dziś uczyli?

I Donata odpowiadała:

— Dziś o gazach, albo — o metalach, o związkach chemicznych — albo — jak narzędzia, którymi człowiek robi, wpływają na jego sposób życia i myślenia.

— I o tym także? Kto im o tym opowiada?

— Personalna.

Wreszcie nadszedł maj.

Dla każdego w rodzinie Patrzylasów miesiąc ten był symbolem czego innego:

Dla babki — był to miesiąc majowego nabożeństwa.

Dla matki — czas bzów i słowików, kiedy najwięcej kaszlała i najboleśniej przeżywała rozczarowania swego życia.

Dla młodszych dzieci miesiąc, który rozpoczyna się czekoladą, jaką dostawali w dniu święta narodowego.

Dla Donaty i ojca — miesiąc egzaminów.

Egzamin spawaczy odbywał się w sobotę, po pracy. Dnia poprzedniego był egzamin praktyczny. Ale naprawdę Donata obawiała się tylko egzaminu z teorii. Robić coś — do tego była przyzwyczajona od dzieciństwa, ale formułować w zdania nowo poznane prawdy, to była całkiem inna sprawa.

Dopóki trwała praca, Donata usiłowała myśleć wyłącznie o tym, co robi. Ale trudno przy tej „mietle“, jak mówiła matka, zapomnieć o świecie bożym. Ni stąd ni zowąd zaczynało jej walić serce — wtedy przystawała na chwilę i głęboko w płuca wciągała powietrze pełne pyłu i sadzy. Kiedy o pierwszej rozległ się głos syreny i ludzie pospiesznie zaczęli wysypywać się z fabryki, Donacie nieraz jakby cały świat zakołował. Sama nie wiedziała, kiedy i jak znalazła się w stołówce i usiadła na wyznaczonym miejscu, przy jednym z sześciu stołów, przy których w grupach po kilka osób siedzieli kursiści. Kobiet było wszystkiego dziewięć. Ale Donatę posadzili przy samych mężczyznach, co ją jeszcze bardziej zmieszało. Niewyraźnie widziała, jak egzaminatorzy podchodzili, każdy do innego stołu i uśmiechem starali się dodać odwagi siedzącym przy stole robotnikom.

Donata usiłowała skupić uwagę, lecz myśli jej rozpierzchały się niczym stadko wróbli spłoszone widokiem człowieka. Skronie jej pulsowały, jak gdyby pęknąć miały z wewnętrznego natężenia.

— Co to jest natężenie wewnętrzne? — usłyszała naraz pytanie, zwrócone w swoją stronę.

— To kiedy — może pęknąć.

— Owszem, ale proszę się nie bać i niech nam pani dokładnie o tym opowie — powiedział młody inżynier, który wszystko wiedział.

Donata zaczęła. O skurczu metali przy spawaniu, o tym, że jeżeli chcemy otrzymać kąt prosty, to musimy część spawaną ustawić pod kątem rozwartym, i o tym, co to jest natężenie wewnętrzne.

— Dziękuję — co to jest stal? — zapytał kogoś innego.

I tak po kolei egzaminatorzy podchodzili od stołu do stołu. Ostatnia przyszła personalna. Pytała z nauki o Polsce współczesnej i z bezpieczeństwa pracy. Donata nieustannie myślała, że gdyby jej ojciec był tak dokładnie obznajmiony jak ona, może wcale nie doszłoby do tego wypadku.

Personalna pytała po kolei, tak jak siedzieli. Wreszcie doszła do Donaty i od razu zapytała, dlaczego do partii robotniczej należy także inteligencja, uczeni i artyści.

— Bo wszyscy, którzy pracują, obojętne w jaki sposób — zaczęła Donata — i nie wiedząc o tym dokończyła zdanie, które ongiś, przed laty, ojciec jej powiedział starym Patrzylasom.

— Z czasem, im więcej będzie ulepszona technika, maszyny zastąpią ludzi i coraz mniejsza będzie różnica między pracą umysłową i fizyczną, aż w końcu zupełnie zniknie i wtedy na świecie zapanuje...

...Komunizm — dokończyła z z niejakim zdumieniem. Jakby teraz dopiero naprawdę uwierzyła, że to nie jest czcza obietnica, a przyszłość, ku której zmierza ludzkość.

Egzamin ciągnął się do godziny szóstej, następnie egzaminatorzy udali się na krótką naradę, po czym wrócili odczytać wyniki i wręczyć świadectwa.

„Donata Patrzylas... z wynikiem dobrym... Zajęła drugie miejsce zarówno w egzaminie z praktyki jak z teorii.

Od 12 czerwca zacznie pracę jako spawaczka w hali „Nr 1“.

Późnym wieczorem idąc przez las od stacji kolejowej Donata rozmyślała o tym, jaką radość zrobi matce, kiedy przyniesie premię niemniejszą niż Franek Kaczmarek.

— No, może nie od razu taką — mitygowała sama siebie. Przecież ma dopiero dziewiętnaście lat. A później, galopowały jej myśli, może zrobi jakieś usprawnienie, ale prawdziwe, nie z książek. Dopiero te wstrętne Kaczmarki rozdziawią gęby. A Gębus? Stary Gębus, rodem z Częstochowy, będzie uradowany. Babka, ta dopiero się zadziwi.

— A ojciec? Na myśl o ojcu ogarnęła ją niezmierna tkliwość. Przestanie się wreszcie trapić, że nie ma w domu mężczyzny, który by rodzinie mógł zapewnić byt.

Ale pod tym codziennym i pospolitym nurtem myśli kotłowały inne jeszcze uczucia raczej niż myśli, jako że nie przywykła do formułowania tego, co nieraz rozpierało jej wnętrze. Szła oto przez las, a nad nią wysoko o tysiące mil oddalony migotał przez gałęzie drzew księżyc. I dziwnie, i cudownie zarazem było jej wiedzieć, że sprawy różne są z sobą związane, że jedne i te same prawa rządzą wszechświatem i najmniejszą cząstką materii. Wiedza, ułamek wiedzy, którą musiała zdobyć, żeby spawać metale, była jak szczelina w murze, która ukazywała nieprzeczuwane przedtem horyzonty.

Już nie o Kaczmarkach, babce Patrzylasowej, premii, spawaniu, Gębusie i matce myślała, tylko o tym, jak inny, nowy i swojski jednocześnie, staje się świat z chwilą, gdy człowiek zaczyna rozumieć jego zjawiska.

Pogrążona w zachwycie nagle stanęła przed domem. Pchnęła drzwi. Z wnętrza buchnął ku niej dobrze znany odór kapusty, zmieszany z wonią cykorii, zapach brudnych mydlin, którymi matka szorowała podłogę przed świętem, i dawno niewietrzonych ubrań.

Babka wróciła właśnie z kościoła, uroczysta i czarna w wiejskim, świątecznym ubraniu, matka, w wypłowiałej bluzce i pretensjonalnie zakręconych loczkach, przygotowywała kolację, a dzieci marudziły, że długo nie dostają jeść. Ojciec siedział sztywno z twarzą czujnie zwróconą w stronę okna, za którym panowała ciemność, choć dla niego nie stanowiło to oczywiście żadnej różnicy.

Na skrzyp drzwi wszyscy odwrócili głowy. Donata stała w granatowym, poplamionym kombinezonie z jarzącymi oczami i twarzą, która nie zdążyła jeszcze ocknąć się z zachwytu.

— Co ty — Donata — chora jesteś? — zapytała z przestrachem matka.

— Dlaczego chora? — powtórzyła Donata.

— Takaś rozpalona.

— Chodź tutaj — zawołał ojciec wyciągając ręce.

Donata ruszyła prosto ku niemu. Dłonie ślepca dotknęły rozpalonych policzków córki.

Jadwiga Żylińska

SEWER (IGNACY MACIEJOWSKI)
PRZYBŁĘDA
*
GŁODOWA POŻYCZKA
Opowiadania
str. 129 zł 4,60
◆
JAN LAM
KORONIARZ W GALICJI
czyli
POWAGI POWIATOWE
Powieść
str. 237 zł 8,50
◆
ZOFIA NAŁKOWSKA
MEDALIONY
Wyd. trzecie
str. 82 zł 6,—
◆
KAZIMIERZ BRANDYS
CZŁOWIEK NIE UMIERA
z cyklu:
MIĘDZY WOJNAMI
Część czwarta
Wyd. drugie
str. 520 zł 20,—
„CZYTELNIK“

ANNA SEGHERS
DZIECI
Nowele
str. 48 zł 2,40
◆
HANS MARCHWITZA
PIERWSZE KROKI
i inne opowiadania
str. 151 zł 6.20
◆
THEUN DE VRIES
ZIEMIA MACOCHA
Powieść
str. 446 zł 17.—
◆
PIERRE MARIVAUX
KARIERA WIESNIAKA
Przekład J. Iwaszkiewicza
Powieść
str. 417 zł 16,—
◆
A. G. VAIDA
ISKRY W MROKU
Powieść
str. 280 zł 10.—
◆
NOWELE RUMUŃSKIE
w wyborze
MIHAI NOVICOVA
str. 342 zł 12,40
◆
JAN NERUDA
WYBÓR OPOWIADAŃ
str. 173 zł 8,50
◆
ZSIGMOND MÓRICZ
KREWNI
Powieść
str. 285 zł 11,—
◆
„CZYTELNIK“

STANISŁAW ŁEMPICKI
RENESANS I HUMANIZM W POLSCE
Materiały do studiów
str. 417 zł 45,—
◆
WASILIJ KURILENKOW
ALEKSANDER SERAFIMOWICZ
str. 132 zł 6,—
◆
S. I. WAWIŁOW
IZAAK NEWTON
str. 245 zł 12,—
◆
„CZYTELNIK“

WIECH
NA PERŁOWO
Ilustr. J. Zaruba
str. 153 zł 5,40
◆
JAROSŁAW HASEK
TASIEMIEC KSIĘŻNEJ PANI
Iustr. Charlie
str. 190 zł 8,60
◆
DIEMIAN BIEDNY
ZNAJOME TWARZE
Ilustr. B. Jefimow
str. 147 zł 8,—
◆
„CZYTELNIK“

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
E. CZARUSIN
ZWIERZĄTKA
str. 12 zł 9,50
◆
ALEKSY TOŁSTOJ
ZŁOTY KLUCZYK
czyli
NIEZWYKŁE PRZYGODY PAJACYKA BURATINO
Wyd. trzecie
str. 129 zł 9,—
◆
IGOR NEWERLY
ARCHIPELAG LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna z roku 1948
Wyd. czwarte
str. 303 zł 11,—
◆
JÓZEF KUŚMIEREK
DROGA DO SZKOŁY
str. 97 zł 3,80
◆
„CZYTELNIK“

Kolumny Greckie

Rys. Jantar

Nie zasłonisz!

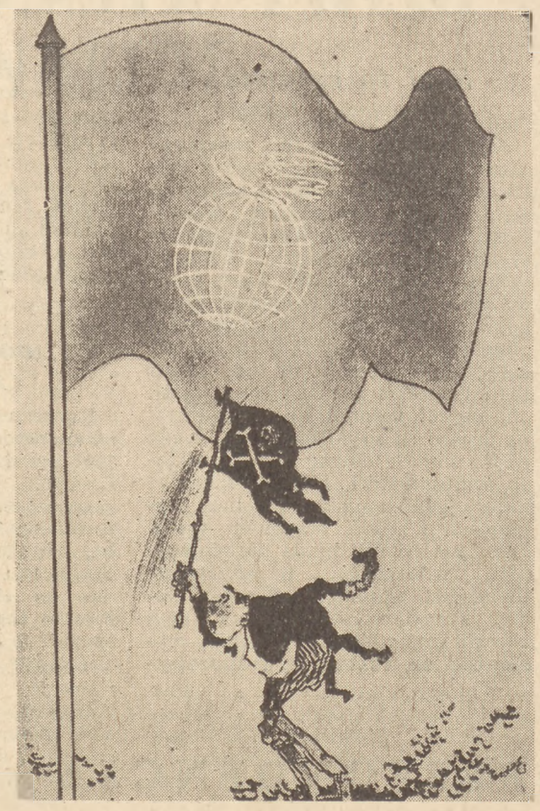

Rys. Stefan Brzozowski

Światowa Organizacja Zdrowia

Światowa Organizacja Zdrowia zaprzedana USA chciała zwalczać epidemie na Korei i w Chinach.

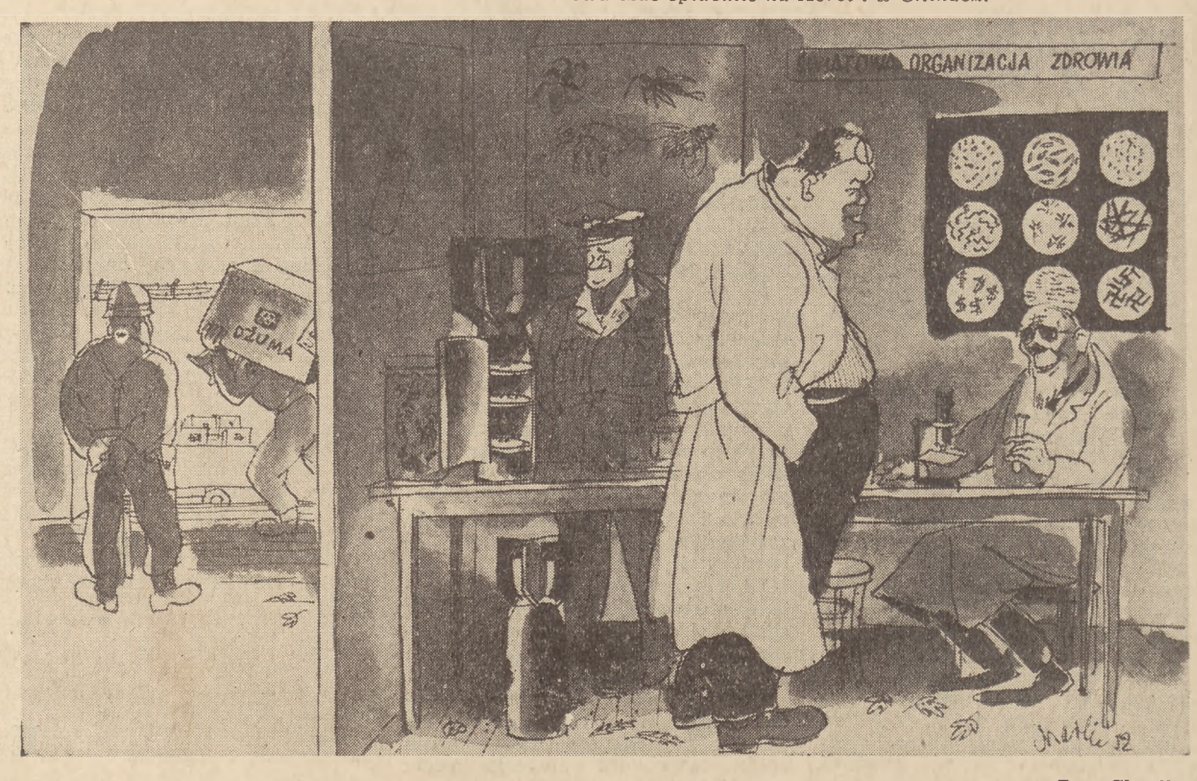

Trygve Lie — Szkoda, że się nie zgodzili...

Rys. Charlie

ZBIGNIEW STOLAREK

BEZ UJMY DLA GODNOŚCI WŁASNEJ

czyli o niejakim Martinie de Hauteclaire

...A jaki on jest?

„Na jego głowie wznosi się sombrero z bobrowego filcu, o rondzie nawisłym z przodu jak brzytwa, wklęsłe z obu stron od ciągłych, macerujących je uchwytów. Wydrążony bochen, wieża honorowa, która świadcząc o liryzmie, wygina się u dołu jak skrzydło kondora i opada przed oczy okapem, przez który przenika groźba...“

A gdy zdejmie sombrero?

„Ukazuje się głowa awanturnika. Naga u szczytu, jak pustynia Jukatanu, pokryta po bokach włosami o kolorze mahoniu, które, wełniąc się, spływają dwoma niekończącymi się bokobrodami aż na wysokość połowy uszu“.

A oczy (o barwie zaprószonego szafiru) co wyrażają?

„Pozwalają sobie na spojrzenia, do jakich nieprzyzwyczajeni jesteśmy pod naszym niebem: na wyzwania, dla których odpowiedzią jest nóż, na brawurę, która niebu rzuca rękawicę. Albo też jest w nich nostalgia więźnia, ciśniętego do lochu gdzieś pośród pustyni Gobi“.

...Tak to obiecująco wyrasta z łamów paryskiego **Figaro (litteraire)** sylwetka człowieka [1]), którego sprawa nie mierzy się tylko ilością atramentu, wypisanego na jego temat.

Człowieka o tym dźwięcznym nazwisku bardziej dokładnie określi następujące pytanie retoryczne z tego samego Figaro litteraire: „Czy istnieją jeszcze ludzie, którzy wyruszali niegdyś w przygodę, rwąc ostrogami ramy społeczeństwa? Muszkieterowie, sięgający po nowość zależnie od swego kaprysu? Dzisiaj spotykam jednego z nich, Martina de Hauteclaire, który wtłoczył swoje przygody w książkę „Cała ziemia dla nas“.

Za tę to właśnie książkę otrzymał ów Martin de Hauteclaire nagrodę o wymownej nazwie „Prix de Verité“.

Nie jest rzeczą przypadku, że książka, apoteozująca awanturę i zaciężne żołdactwo, spotkała się z pełnym uznaniem gaullistów, że Martin de Hauteclaire stał się pupilkiem organu RPF „Le Rassemblement“.

Hauteclaire, „compagnon du RPF“, bez zająknienia odpowiada na pytanie, „czy można wynajmować się do zabijania, tak jakby chodziło o heblowanie lub kopanie łopatą“. Oczywiście, że można. Więcej nawet: „Rozważywszy dokładnie, jest to jedyna rzecz, na jaką może sobie pozwolić w naszej epoce, bez ujmy dla godności własnej, szlachcic z pochodzenia i z losu“. No i jakżeby nie miała entuzjazmować gaullistów lektura „Całej ziemi dla nas“ — zabijania w Nikaraguy, Meksyku, Chinach, Hiszpanii, Paragwaju, Mandżurii... a wszędzie z tą samą dbałością o godność własną.

Należy dodać, że jako swego mistrza stylu wymieniał Martin de Hauteclaire generała de Gaulle, którego fotografii, z dedykacją, nie zabrakło oczywiście u „kompaniona“ z RPF.

Przed nowym wychowawcą charakterów na służbie RPF otwierały się drzwi ekskluzywnych salonów i coraz większe możliwości. Gdy niespodzianie nastąpił nagły zwrot. W dwudziestu czterech godzinach zniknęło w gaullistowskim organie nazwisko Hauteclaire pod kolejnym odcinkiem „Całej ziemi dla nas“. Stało się to akurat w dniu, kiedy okazało się, że Martin de Hauteclaire nie jest Martinem de Hauteclair, lecz Augustem Couderc, na którym ciążą trzy zaoczne wyroki sądowe, w tym jeden wyrok śmierci za zdradę narodu podczas okupacji.

Niby więc znikł Hauteclaire ze szpalt „le Rassemblement“. Jednak paniczne zacieranie śladów, zbyt nachalnie podkreślających łączność zdrajcy z partią RPF, nie mogło być dokładne. Hauteclaire „wyskoczył“ co prawda spod odcinka powieściowego, ale w tym samym numerze pozostała wiadomość, donosząca członkom RPF, że ich „kompanion“ Martin de Hauteclaire będzie miał serię odczytów w Klubie Debat na temat „Przygoda w XX wieku“, że będzie uroczyście dedykował swoją książkę w jednej z księgarń paryskich, że weźmie udział w niedzielnej audycji radiowej...

Oczywiście, nic z tego pięknego programu nie wyszło, mimo że Martin de Hauteclaire włożył dużo dobrej woli, aby wytłumaczyć całą sprawę jako typowe nieporozumienie, w którym absolutnie żadnego znaczenia nie ma nawet fakt, że odciski palców zdrajcy Couderca i pisarza de Hauteclaire są identyczne. Zabawa w protestującą i oburzoną niewinność nie mogła trwać długo.

Okazało się jednocześnie, że pasjonująca gaullistów awantura „od Nikaraguy po Chiny“ była jedną wielką blagą, z tej prostej przyczyny, że nigdy nie postała tam noga Couderca alias Hauteclaira. Jedno tylko, co istniało z całą pewnością, to popełnienie zdrady wobec Francji. Po takim to właśnie starcie wystarczyło Coudercowi zmienić nazwisko, zasiąść w jednej z bibliotek i, nałykawszy się opisów „od Nikaraguy po Chiny“, wykoncypować książkę „wspomnień“, która wzbudziła entuzjazm „kompanionów“ z RPF przez jasne postawienie sprawy, że zabijanie jest „jedyną rzeczą, na jaką można sobie pozwolić w naszej epoce, bez ujmy dla godności własnej“.

Sprawa Couderca nie jest odosobniona. Zupełnie świeża jest jeszcze w pamięci afera posła Ducreux, który spokojnie zasiadał w Parlamencie, mimo że jego rysopis znajdował się na liście poszukiwanych przez policję. Jedynie przypadek (katastrofa samochodowa) sprawił, że opinia publiczna dowiedziała się, iż Ducreux, poseł z ramienia radykałów i radny RPF w departamencie Vosges, nazywał się w rzeczywistości Tacnet i był poszukiwany za dezercję i współpracę ze zdrajcą Sordet. (Według głosów części prasy francuskiej, owe poszukiwania policyjne bardzo dziwnie wyglądały w praktyce, ponieważ sprawa posła „Ducreux“ nie była tajemnicą dla niektórych wpływowych członków partii socjalistycznej i speców od spraw policji tajnej. W każdym razie pozostaje fakt, że pozbawiony praw obywatelskich Tacnet mógł, jako Ducreux, działać w Parlamencie dla „dobra ogółu obywateli“).

Martin de Hauteclaire alias Augusto Couderc znajduje się obecnie w więzieniu. Ciąży na nim wyrok śmierci, wydany zaocznie w 1945 roku. Ale w czasie, kiedy różni Bardeche i Puulhany znajdują pisma i wydawców dla rzucania inwektyw na Ruch Oporu i dla apoteozowania kolaboracjonistów, przyszły proces Couderca nie wywołuje jakoś skojarzeń z możliwością powtórzenia najwyższego wymiaru kary. Zdrada?... Wypuszczony niedawno z więzienia, z powodów „zdrowotnych“ zaciekły propagator faszyzmu — Charles Maurras wzruszyłby ramionami...

*

Post scriptum: W tych samych dniach, kiedy zza gaullistowskiego best-selleru wynurzyło się lapidarne „zdrajca“, w departamencie Sekwany odbywała się inauguracja kolejnej fazy „Bitwy o książkę“, której zasięg staje się z roku na rok większy i której jedną z najbardziej zasadniczych pozycji będzie obecnie „Pierwsze uderzenie“ André Stila, laureata Nagrody Stalinowskiej.

[1] „Figaro litteraire“: „Du Nicaragua jusqu'en Chine... Des hommes vivent l'Arenture comme au plus beau temps du passe“. Propos recueillis par Paul Guth.

Hodowca

Rys. Walerian Borowczyk

WIECH

ROZMOWY O TEATRZE

Baraninka po królewsku

— Pamiętasz pan, panie Gałązka, żelaznego faceta na kamiennej podmurówce, co przed cukiernią Lursa na Teatralnem Placu do samej wojny figurował?

— Tego podobnież derektora teatru, w niemożebnie sknoconem fraku i z rurą czyli cylindrem w ręku?

— Derektora owszem, z cylindrem owszem, ale dlaczego pan uważasz, że frak miał na fuche zrobiony, tego nie rozumie?

— Chybaś sie pan nie przyglądał? Bo ja jako męski krawiec cechowy, nie mogłem na ten frak bez wstydu w oczach patrzyć. Kamizelka bez sznitu czyli wycięcia i za długa. Piersi bez „rybki“ i dlatego klapy odstawali jakby klient bochenek chleba za pazuchą trzymał. Kołnierz odsadzony w tył. Guziki jak spodki. To miała być warszawska robota? Artyste się tak ubiera i na Teatralnem Placu stawia gdzie codziennie wycieczki z prowincji chodzą?

— Licz się pan z tem, że był to niejaki Bogusławski tak zwany ojciec teatru polskiego i za jego życia tak się ludzie nosili.

— Panie szanowny, nie mów mnie pan takich rzeczy. Ojciec nie ojciec — starszy człowiek tyż może się ubrać bez zarzutu. A tak wstyd dla całej Warszawy robił, nie mogłem się na niego patrzyć. Z zamkniętemi oczami przez Teatralny Plac przechodziłem, aż koniec końców nieprzyjemność z tego miałem.

— W jakiem rodzaju?

— W zwyczajnem rodzaju — nerwy uważasz pan raz mnie nie dopisali, wracałem późnem wieczorem ze Starówki po imieninach braciszka żony i wdrapałem się z jakiemś nieznajomem osobnikiem na ten pomnik. Poprawki kredą zaczęliśmy oba na niem naznaczać, gdzie kołnierz podnieść, gdzie pachy wciąć, jak kamizelkie skrócić. Nie chciałem sam tego fraka poprawiać, niech Bóg zachowa i broni, rozchodziło się tylko o to, żeby wskazówek rzeźbiarzowi udzielić. I mimo tego zdjęli nas stamtąd.

— Ale dlaczego właściwie nadmieniłeś mnie pan o tem pomniku?

— Bo uważasz mnie pan, sztukie jak raz w teatrze grają o nieboszczyku Bogusławskiem. Byłem w niedziele, znajomy strażak mnie zabrał, żebym się przekonał, jak pożarnictwo dzisiej stoi, co straż ogniowa potrafi — te sztukie to podobnież brandmajster ochotniczej straży z Zakopanego ułożył, a musze bezstronnie przyznać, że streszczona na medal, jakbyś pan Wypisy Polskie czytał.

Przez bite trzy godziny użyra sie ten Bogusławski o posade derektora teatru w Warszawie zaczem ją nareszcie dostaje.

— To i tak niedługo. Słyszałem, że czasem po pare lat ludzie na to czekają a potem w trzy dni dymisja i na grzybki. No a ten Bogusławski z kiem sie tam tak użyra?

— Z kiem podleci, z derekcją gieneralną, z margrabinią Dewoban, z królem, z narzeczoną nawet, bo o teatrze każden się mądrzy.

— To tam i król przedstawia?

— Zwłaszcza. A detalicznie jest to tak zwany król Stasio, stryjo Józia Poniatoszczaka, któren osobiście tyż się raz pokazuje i niewąską mowe w teatralnej chwestii zakłada.

Ale kudy jem wszystkiem do Bogusławskiego, wszystkich kolejno w dłuższych przemówieniach zagina i koniec końców państwowe placówkie teatralne otwiera.

— No a frak, jak?

— Co frak?

— Lepiej leży jak na pomniku?

— Co pan z tem frakiem jak pragnę zdrowia. Nie uważałem nawet czy dobry, czy zły, bo tam są insze zmartwienia. W pierwszem zaraz akcie rzecz się dzieje uważasz pan w gieneralnej derekcji, ma sie rozumieć starożytnej, w dawnych czasach. Za prezesa był wtenczas jeden starosta podobnież bywszy fryzjer z Piaseczna, niejaki Ryx, któren swojemu koleżce po fachu teatr wynajął, pod tem waronkiem, że tylko francuskie baletnice będą na scenie paryskie hopki odstawiać i cała deklamacja wyłącznie parle franse może się odbywać. Rzecz jasna, że ten ów koleżka dole z biletów staroście odpalał. Bogusławskiemu cała ta prywatna inicjatywa mocno się nie spodobała i jak tylko mógł napuszczał króla na upaństwowienie teatrów, opery i filharmonii. Ale Ryx za pomocą baletnic królewskie osobe blatował i długi czas nie można było nic mu zrobić.

Tu muszę szanownemu panu zaznaczyć, że król Stasio nie cieszy się u nasz tak zwaną opinią. Po prostu w charakterze króla, mówiąc naukowo, był do kitu. Na prezydenta miasta Warszawy może by obleciał, bo do urbanistyki miał duży glik, ale na głowe koronowane w tamtem ciężkiem czasie niestety za frajer. W ogrodniczem fachu facet owszem uzdolniony, czego dowodem, że Łazienki nam założył, które do dziś dnia jak rzadko się nadają dla młodzieży na tak zwane „ksiuty“. A dlaczego? Bo sam król był pod tem względem ogromnie obrotnem.

Na kuchni tyż znał się nadzwyczaj. Lubiał wrąbać cóś dobrego i niezależnie stołówkie dla Związku Literatów w Łazienkach założył, gdzie co czwartek Słowacczaki z całej Warszawy na flaki z pulpetamy się schodzili.

A król siadał między niemi i największe porcje przed sobą kazał postawić, a poeciaki do wiersza się między sobą kłócili. Któren najlepiej drugiego wierszamy obciął, parasola z niego zrobił, dostawał dolewkie i dodatkową setkie starowinu.

To tyż zasuwali te kawałki jeden przez drugiego, ale żaden biskupa Krasickiego nie mógł przegadać. Takie gadki do śmiechu zaiwaniał, że czasem trzy, cztery dodatkowe porcje flaków wygrał.

To tyż zaraz w drugiem akcie tej sztuki widz[illegible] króla Stasia w damskich białych nylonach i pudrowanej ondulacji jak menu jadalne, czyli tak zwany jadłospis z kucharzem układa, na czwartkowy obiad.

Po mojemu jest to troszkie może niewłaściwe bo uwagie publiki rozprasza, zwłaszcza że w tem budynku, gdzie mieści się teatr, restauracja pierwszej kategorii się znajduje, zaraz przez brame.

I kiedy król Stasio staluje u kucharza baraninkie w śmietanie z buraczkamy i o pieczarkach zdaje się nadmienia, cała prawie publika na drzwi wyjściowe się ogląda. Po przedstawieniu panikie w szatni tak że samo to wywołuje.

Ale uniknąć tego się nie da, bo tu się o historyczne ścisłość rozchodzi. Musi król jak się należy obiad zamówić, bo jak nasz historia poucza, nasze poeci znali się mocno na gastronomicznem spożyciu.

Niech by taki królewski kuchara nazwiskiem Lustro czy tam Tremo, taki głupi chociażby bigos myśliwski sknocił, ładnie by go Mickiewicz Adam wziął na papier w „Panu Tadeuszu“.

Jednem słowem jest o czem posłuchać w tej sztuce. Jak taka na przykład podstawna jasna w korone czesana blondyna, bywsza narzeczona Bogusławskiego przyjeżdża w charakterze ciepłej wdówki i zaczyna go w bajer brać, żeby rzucił teatr i osiadł przy niej na roli w majątku ziemskiem, a on przeczuwając PGR-y myśli sobie:

„Nie, siostro, za klasowego wroga z obszarniczej branży mnie nie zrobisz, wole skromne posadkie państwowe. Milcz serce. Adje“.

I zasuwa do Łazienek na audiencje w sprawie nominacji. W dłuższem przemówieniu sztorcuje króla, z należnem ma się rozumieć szaconkiem, i w krótkiem czasie starosta z Piaseczna leży u niego jak neptek. Nominacje posiada na ręku.

I tu właśnie widziem Łazienki jak żywe.

— W całości mieszczą się na scenie?

— Prawie że. Jest teatr na wyspie, sadzawka, pałac, drzewa, lwy z piaskowca, ruiny, wszystko w komplecie.

— I nie odczuwa sie tłoku?

— Może troszkie Pałac z ledwością sie mieści w prawem rogu chociaż liczy tylko pół metra wysokości. W takiem teatrze Polskiem całe to królewskie towarzystwo miałoby więcej luzu, ale za to jaka wygoda i oszczędność. Cały pałac łazienkowski na pół arkuszu dykty namalowany.

Przy zmianie dekoracji bierze go się swobodnie pod pache i wynosi. Ale takie to jest ładne, że na sam widok publika bis bije.

— Musze się wybrać.

— Zobaczyć te Łazienki?

— Detalicznie rozchodzi mnie sie o to, czy Bogusławski „rybki“ ma wszyte do fraka.

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel. 4-01-80, wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa“.
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch“, Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9 —, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa“, W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel 7-38-05. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa“, Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-16935